

DOMINIKA STEC

Mężczyzna do towarzystwa

Copyright © Dominika Stec 2004 Copyright © Prószyński i S-ka SA 2004

Projekt okładki: Maciej Sadowski

Redaktor prowadzący serię: Jan Koźbiel

Redakcja: Jan Koźbiel

Redakcja techniczna: Jolanta Trzcińska

Korekta: Grażyna Nawrocka

Łamanie: Ewa Wójcik

JSJtJLL

ISBN 83-7337-589-9

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:

OPOLGRAF Spółka Akcyjna

45-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12 / ,

fikc, 15/oł

Ja na początku

Pierwsze: uśmiechnij się. Więc uśmiechnęłam się od ucha do ucha. Dzień zaglądający przez okna mojego stryszku zapowiadał się superzaście. Mam nadzieję, że nie przeszkadza wam to słowo? Sama za nim nie przepadam, ale po drugie: miej szacunek dla faktów. Fakty wyglądały tak, że pogoda skrzyła się jak Kilimandżaro w słońcu, nie znajdowałam w pamięci złych chwil i marzyłam, żeby wykonać coś szalonego. Na przykład użyć słowa „superzaście” na dobry początek. Niczym luzacki artysta estradowy. Zachwyt i oklaski! Wystawiłam ręce spod kołdry, przeciągnęłam się szeroko, jak najszerzej, aż do trzasku w stawach. Rozkoszne. Niewykluźnione, że doznałabym ekstazy, gdybym miała większy pokój. A tak moje palce natrafiły na ścianę, pierwszy namacalny objaw czekającego na mnie niecierpliwie wszechświata. Nie zwlekając, usiadłam na łóżku, rozciągająca się jeszcze i radosna jak szczygiełek. Wrodzony optymizm mówił mi, że naprawdę warto. Jeżeli tego dnia coś wydarzy się w moim życiu, nie będę żałowała.

Prawdę mówiąc, tylko wnęka, w której ustawiłam łóżko, jest wąska, bo tak w ogóle mój stryszek liczy pięćdziesiąt sześć metrów powierzchni, choć częściowo nieużytkowej, pod pochyłym stropem, gdzie mieszczą się wyłącznie niskie regaliki ze sprzętem audio-wideo. Metraż wystarczający dla samotnej dwudziestopięciolatki o skromnych, acz atrakcyjnych gabarytach. Sto sześćdziesiąt osiem wzrostu, pięćdziesiąt osiem wagi, osiemdziesiąt dziewięć - sześćdziesiąt jeden - osiemdziesiąt siedem. Nie idealnie, ale blisko ideału. Podobno indeks WHR u króliczków „Playboya”, czyli stosunek talii do bioder, wykazuje tendencje zbieżne z moimi wymiarami. Regularnie odbywam ćwiczenia feeling teum, które dają wyniki w stosunku do P<sup>J</sup>™ roku To gimnastyka wymyślona przez P<sup>f</sup>J<sup>”</sup> skich Azjatów. Po polsku zwie się „SbS” bardziej niż w przestawianiu mebli, choć Gośka, moja Jcolezan oaziej ?? w przestaw

. . . To ona mme na.

ka ze szczenięcych lat, ^?^??2? - sześćdziesiąt -mówiła na/ee/^ ,«\*?\* ^ <^«~^

nie wierzy. Zbyt

dziewięćdziesiąt ale co z ^^to ??>?? telefonu, kie-podrecznikowo.

Facecmr^ekonam ^???

bl ??? bo zapomniałam powiedzieć, że z mojego stryszku też Ł^udoY^SSe sobie

wielki błyszczący parkiet z drewna - istnieć. y^Mordzw                      nośrodku tu i  
ówdzie malutkie

nianą lakierowaną kolumną posroku tu                      ^^  
owalne dywaniki, dwa ukośne ?????? juncyj po drugiej, miękkie kanapy niskie  
stohczki ze szkła

Albo nic sobie nie wyobrażajcie. Kiedy P%?\*™<^ zawsze znajdzie się taki, który  
zacznie wyb^z^Tu?? tek, tam nie siak. Niech wam wystarczy moje słowo, ze  
stryszek jest

oceanu To najcenniejsza rzecz w moim mieszkaniu. Przywiózł Swujek Ryś, właściwie  
stryjek, brat ojca, ale zawsze mówiłam na niego wuiek Ryś jest kierownikiem  
choru mieszanego k??Ti w S «Sn otrzymał zaproszenie na występy w Stanach.  
Szczerze mówiąc, wcale nie w zw^ku z tym. Bez związku. Ktoś ile odczytał nazwę  
chóru mieszanego i wujek I^odbył miesięczną trasę koncertową po Kansas. Sławy me  
zdobył ale przywiózł sporo kasy. Czy zdajecie sobie sprawę, ile amerykańskie  
stanowe towarzystwa kulturalne przeznaczają na kulturę? Budżet prowincjonalnego  
ośrodka me ustępuje budżetowi naszego ministerstwa. Chór mieszany Kantans  
śpiewał po salkach parafialnych i farmerskich stodołach, a za honorarium wuiek  
przywiózł mi w podarunku obraz gościa, o którego zabijają się galerie w Nowym  
Jorku i Waszyngtonie. Nie za całe honorarium nawet Za tę część, na której  
zupełnie mu me zależało.

6

Teraz używam tego płótna do testowania facetów. Czekam na erudyte, który  
wykrzyknie: „Co widzę, u ciebie wisj oryginalny John R. Melg? Chyba straciłaś na  
niego majątek?”. W będzie czempion intelektu, ale jakoś nie zanoszą się na nikogo  
takiego. W ogóle nie zwracają uwagi na obraz. Zwłaszcza Sebek, do którego wizja  
dociera, jeżeli się porusza i ma kolor. Zdjęć w gazetach nie pojmuję, bo  
nieruchome. Czarno-białe filmy w telewizji muszę mu tłumaczyć. Mnie też z  
początku obraz Melga wcale się nie podobał. Miałam zakodowane w głowie, że wujek  
zawsze kupował bohomy. Tyle że tańsze. Trzymałam go za kanapą frontem do  
ściany. Nie wujka, rzecz jasna, tylko Melga. Nie rozumiałam go ani w ząb. Nie  
dlatego nie rozumiałam, że nie rozumiałam, ale dlatego, że tak został namalowany.  
Tak, żeby nie rozumieć. Abstrakcyjnie, chociaż abstrakcja kojarzy mi się z  
kanciastymi kształtami, a ten ma różne pluszowe miękkości i obłości. Dopiero  
kiedy uświadomiłam sobie, że pomarańczowa plama w lewym górnym rogu przypomina  
mi po-duszkę-przytulankę z dzieciństwa, zapalałam do niego nieodpartą sympatią i  
od spojrzenia na niego rozpoczynam dzień.

Ileż on widział moich czarnych najczarniejszych godzin, bo nawet urodzona  
optymistka, jaką jestem, miewa przecież chandry. Wynagradzam mu to coraz lepszym  
rozumieniem. Jak w dobranym małżeństwie, jeżeli takie istnieją. W każdym razie  
obraz można sobie dobrać do charakteru lepiej niż małżonka. W końcu nie jestem  
ćwierćinteligentką, która nie pojmie znaczenia paru kolorowych plam. Pracuję  
jako nauczycielka języka ojczystego w gimnazjum, mam za sobą studia  
polonistyczne. Pracę magisterską pisałam na temat: „Poetyka dygresji w «Kwiatach  
polskich» Juliana Tuwima”. Kwiaty jak kwiaty, ale z dygresji zawsze byłam dobra.  
Żartuję. Właściwie z początku zamierzałam pisać temat „Topika konsolacyjna  
«Trenów» Kochanowskiego”. Wiecie, cała pocieszycielska symbolika, że Niobe miała  
gorzej, że Urszulka jest w niebie, śmierć jako wyróżnienie, czas jako lekarz  
itepe. Prawie się nie wahałam, bo jednak bibliografia nieporównywalna. Na taką  
liczbę opracowań, jaką napisano o Kochanowskim od czasów renesansu, Tuwim długo  
jeszcze poczeka, zwłaszcza że poniekąd wyszedł z mody.

7

feeling teung, które dają wyniki w stosunku do proporcji sprzed roku. To gimnastyka wymyślona przez północnoamerykańskich Azjatów. Po polsku zwie się „czuj nerw”. Wierzę w nią bardziej niż w przedstawianie mebli, choć Gośka, moja koleżanka ze szczenięcych lat, stosuje jedno i drugie. To ona mnie namówiła na feeling teung. Ma dziewięćdziesiąt - sześćdziesiąt - dziewięćdziesiąt, ale co z tego, skoro nikt w to nie wierzy. Zbyt podręcznikowo. Faceci są przekonani, że to numer telefonu, kiedy dowiadują się jej namiarów. Po Goście zupełnie nie widać, że może tyle mieć. Za to po mnie widać mimo skromniejszego wyniku. Jestem wymarzoną bogdanką w wymarzonej mieszkanie. Aha, bo zapomniałam powiedzieć, że z mojego stryżku też istne чудо! Wyobraźcie sobie wielki błyszczący parkiet z drewnianą lakierowaną kolumną pośrodku, tu i ówdzie małe owalne dywaniki, dwa ukośne okna po jednej stronie, kominek po drugiej, miękkie kanapy, niskie stoliki ze szkła...

Albo nic sobie nie wyobrażajcie. Kiedy powie się za dużo, zawsze znajdzie się taki, który zacznie wybrzydzać. Tu nie tak, tam nie siak. Niech wam wystarczy moje słowo, że stryżek jest ekstra. Kiedy siadam rano na kanapie, tak jak siadłam tego pogodnego poranka, mam na ścianie przed sobą obraz Johna R. Melga, podobno cholernie modnego artysty po tamtej stronie oceanu. To najcenniejsza rzecz w moim mieszkaniu. Przywiózł mi go wujek Ryś, właściwie stryjek, brat ojca, ale zawsze mówiłam na niego wujek. Ryś jest kierownikiem chóru mieszanego Kantans i w związku z tym otrzymał zaproszenie na występy w Stanach. Szczerze mówiąc, wcale nie w związku z tym. Bez związku. Ktoś źle odczytał nazwę chóru mieszanego i wujek Ryś odbył miesięczną trasę koncertową po Kansas. Sławy nie zdobył, ale przywiózł sporo kasy. Czy zdajecie sobie sprawę, ile amerykańskie stanowe towarzystwa kulturalne przeznaczają na kulturę? Budżet prowincjonalnego ośrodka nie ustępuje budżetowi naszego ministerstwa. Chór mieszany Kantans śpiewał po salkach parafialnych i farmerskich stodołach, a za honorarium wujek przywiózł mi w podarunku obraz gościa, o którego zabijają się galerie w Nowym Jorku i Waszyngtonie. Nie za całe honorarium nawet. Za tę część, na której zupełnie mu nie zależało.

6

Teraz używam tego płótna do testowania facetów. Czekam na erudyte, który wykrzyknie: „Co widzę, u ciebie wisi oryginalny John R. Melg? Chyba straciłaś na niego majątek?”. To będzie czempion intelektu, ale jakoś nie zanoszą się na nikogo takiego. W ogóle nie zwracają uwagi na obraz. Zwłaszcza Sebek, do którego wizja dociera, jeżeli się porusza i ma kolor. Zdjęć w gazetach nie pojmuje, bo nieruchome. Czarno-białe filmy w telewizji muszą mu tłumaczyć. Mnie też z początku obraz Melga wcale się nie podobał. Miałam zakodowane w głowie, że wujek zawsze kupował bohomazy. Tyle że tańsze. Trzymałam go za kanapą frontem do ściany. Nie wujka, rzecz jasna, tylko Melga. Nie rozumiałam go ani w ząb. Nie dlatego nie rozumiałam, że nie rozumiałam, ale dlatego, że tak został namalowany. Tak, żeby nie rozumieć. Abstrakcyjnie, chociaż abstrakcja kojarzy mi się z kanciastymi kształtami, a ten ma różne pluszowe miękkości i obłości. Dopiero kiedy uświadomiłam sobie, że pomarańczowa plama w lewym górnym rogu przypomina mi po-duszkę-przytulankę z dzieciństwa, zapałałam do niego nieodpartą sympatią i od spojżenia na niego rozpoczynam dzień.

Ileż on widział moich czarnych najczarniejszych godzin, bo nawet urodzona optymistka, jaką jestem, miewa przecież chandry. Wynagradzam mu to coraz lepszym zrozumieniem. Jak w dobranym małżeństwie, jeżeli takie istnieją. W każdym razie

obraz można sobie dobrać do charakteru lepiej niż małżonka. W końcu nie jestem ćwierćinteligentką, która nie pojmie znaczenia paru kolorowych plam. Pracuję jako nauczycielka języka ojczystego w gimnazjum, mam za sobą studia polonistyczne. Pracę magisterską pisałam na temat: „Poetyka dygresji w «Kwiatach polskich» Juliana Tuwima”. Kwiaty jak kwiaty, ale z dygresji zawsze byłam dobra. Żartuję. Właściwie z początku zamierzałam pisać temat „Topika konsolacyjna «Trenów» Kochanowskiego”. Wiecie, cała pocieszycielska symbolika, że Niobe miała gorzej, że Urszulka jest w niebie, śmierć jako wyróżnienie, czas jako lekarz itepe. Prawie się nie wahałam, bo jednak bibliografia nieporównywalna. Na taką liczbę opracowań, jaką napisano o Kochanowskim od czasów renesansu, Tuwim długo jeszcze poczeka, zwłaszcza że poniekąd wyszedł z mody.

7

Ale pomyślałam, że dajmy na to napiszę pracę, obronię, znajdę się w towarzystwie, na niezłej imprezce, gdzie chwilowo urwie się konwesejszyn i ktoś, nie daj Boże, spyta, na jaki temat pisałam? Mało prawdopodobne, ale jednak. Co wtedy odpowiem? „Topika konsolacyjna «Trenów» Kochanowskiego”? Wezmą mnie za smutasa, a przecież jestem wesoła z natury. Mam zszargać sobie opinię, bo u narodowego poety w Czarnolesie trafiło się nieszczęście, o którym już nikt nie pamięta? Więc zdecydowałam się na Tuwima. Kwiaty zawsze kobiecie pasują.

Do szkoły idę na ósmą, ale nie martwcie się, że nie zdążę, gdy tyle gadam.

Przede wszystkim w tym czasie zdążyłam wziąć prysznic i ubrać się. A po drugie jest sobota. Zawsze jadam, na śniadanie tosta i popijam sokiem pomarańczowym.

Dawniej, kiedy się odchudzałam, nie jadałam śniadań, ale musiałam zrezygnować z tego pomysłu. Około dziesiątej zaczynało burczeć mi w brzuchu. Na normalnej lekcji to mały pikuś, ale na klasówce, kiedy panuje cisza jak makiem zasiał?

Wyobraźcie sobie dwadzieścia sześć pochyłonych nad zeszytami głów, które unoszą się jak na komendę i patrzą na ciebie z drwiącym uśmieszkiem. Tam Tristan i Izolda, tu burczenie w brzuchu, tam uduchowiona miłość, tu fizjologia. Można się pod ziemię zapaść ze wstydu. Więc jadam tosta i popijam sokiem pomarańczowym.

A propos, nie tylko wielka literatura istnieje w moim życiu. Nie mówiłam wam, że napisałam książkę. Sumiennie przeczytałam wszystkie klony Bridget Jones i pomyślałam sobie: Teraz ja! Nie wiem, dlaczego tak sobie pomyślałam, niemniej pomyślałam. Wujek Ryś twierdzi, że literatura demoralizuje. On sam wysłuchał wszystkich kompozycji Pendereckiego i nie wpadł na pomysł, że teraz skomponuje operę „Od stworzenia świata do apokalipsy”. Coś w tym jest. Z tym że ja nie napisałam żadnego modnego dziennika Bridget Jones, tylko jakby baśń fantasy. O zaczarowanym chłopcu, który spotkał ostatniego jednorożca na Ziemi. Lubię takie symboliczne opowieści. Odrealnione, pastelowe. Bez rozlewu krwi jak w całej tak zwanej typowo męskiej literaturze. Różnimy się z facetami w postrzeganiu sztuki tak samo jak różnimy się w postrzeganiu świata. Dla mężczyzny krew to kwintesencja okrucieństwa. Kobieta wpada w popłoch, kiedy krwi akurat nie ma w planowanym terminie.

Zaniosłam wydruk do wydawnictwa i dałam nieznannej mi bliżej pani redaktor.

Szykowniejszej niż piękniejszej i na odwrót. Chryste, jakie ona miała rajstopy!

Z lycry i pajęczyny, jeżeli takie połączenie jest możliwe. Pierwszy raz w życiu widziałam coś takiego, ale przecież nie będę jej pytać, gdzie kupiła to чудо.

Tym bardziej że miała minę, jakby na chwilę wyszła z prywatnej sali tronowej. Na dzień dobry zapodała mi, że codziennie dostają pocztą czterysta dwadzieścia sześć maszynopisów powieści. Albo coś koło tego. Jeśli się mylę, to tylko co do liczby. Naród nie ma czasu czytać, bo pisze. Każdy ma nadzieję na karierę, gdyż

w obliczu tej oszałamiającej podaży tekstów pisarzem zostaje się losowo, jak szczęśliwym zwycięzcą w audiotele. W końcu redaktorka łaskawie wzięła moją powieść i powiedziała, żebym dowiadywała się najwcześniej za trzy miesiące. Ona ma biurko zavalone i małe dziecko.

Muszę wam wyznać, że to była jedna z paskudniej szych przygód mojego życia i raczej staram się o niej nie myśleć rankami. Zęby nie zapeszyć dnia. Robię wyjątek dla was, bo nie będziecie mieli okazji dowiedzieć się inną drogą, że jestem pisarką. Zwykle szykując się do wyjścia z domu, wykonuję tylko te pozostałe czynności, to znaczy ablucje, śniadanie, makijaż, strój, myślę zaś o sprawach budujących. Na przykład o moich ideałach. Głównie o ideale faceta, albowiem musi kiedyś przyjść dzień, gdy wreszcie go spotkam. Będę sobie szła ulicą jak zwykle, a tu nagle zatrzyma się przy krawężniku najnowszy model, powiedzmy, forda harrisona. Nie mogę wymienić prawdziwej nazwy tego wozu z powodu kryptoreklamy, ale uwierzcie mi, że jest szałowy. Uchyli się okienko od strony chodnika, kierowca przechylił się w moją stronę, zsuwając na czoło czarne okulary, i zapytał matowym barytonem: „Przepraszam panią, jak dojechać do ulicy...”. I tu zamilknie, porażony moją urodą. I tak się zaczyna. A właściwie to on w moich marzeniach zawsze przerywa w tym miejscu, bo tak naprawdę nie mam zielonego pojęcia, o jaką ulicę zapyta.

Wiem za to doskonale, jak będzie wyglądał. Brunet o gęstych, zrastających się nad nosem brwiach, sto osiemdziesiąt

9

centymetrów wzrostu, barczyste ramiona i stalowe spojrzenie. Najchętniej jednodniowy zarost, ale to najmniejszy problem. Zawsze mogę mu zapuścić. Wytrzymam jeden dodatkowy dzień, skoro wytrzymuję rok. Półtora roku. Dokładnie tyle upłynęło od mojego rozvodu z Markiem. Wiecie, ile to jest półtora roku w dzisiejszych superszybkich czasach? To nie osiemnaście miesięcy, to wieczność. Ale wracam do powieści o jednorożcu. Zjawiłam się w wydawnictwie punktualnie po wymaganych trzech miesiącach. Redaktorka najpierw nie mogła sobie przypomnieć książki, potem znalazła wydruk i okazało się, że przeczytała. Już dawno przeczytała, zdążyła zapomnieć szczegóły. Dlaczego nie zjawiłam się wcześniej? Najlepiej żebym przyszła za tydzień, ona sobie odświeży. Miała jeszcze szykowniejsze rajstopy niż poprzednio, ale już mi się tak nie podobały. W ogóle zauważyłam, że kobieta zaczyna się starzeć. Skąd u niej w tym wieku małe dziecko? Widocznie zajęta karierą ocknęła się, gdy wybił ostatni dzwonek. Typowa. Zorientowałam się, że chyba jej czegoś zazdroszczę, ale czego? Rajstop, dziecka czy tego, że może zrobić z moją książką co chce, podczas gdy ja mogłam ją tylko i wyłącznie napisać? To znaczy nie zazdrościłam jej tego dosłownie, raczej wydawało mi się, że z powodu tego czegoś niezidentyfikowanego ona bije mnie na głowę.

Jednakże przyszłam za wymagany tydzień. Pani redaktor była uśmiechnięta, przywitała mnie jak dobrą znajomą, a rajstopy marzenie. Ósmy cud świata. Wcale nie miałam już ochoty pytać, gdzie je kupiła, bo zyskałam głęboką wewnętrzną pewność, że to nie na moją kieszeń. Wyciągnęła z półki znajomy wydruk i powiedziała, że książka jest niedobra. Wydawnictwo nie jest zainteresowane. Teraz tak dużo się pisze, że w związku z tym niewiele się wydaje. Jeżeli wydawnictwo nie wydaje, to wychodzi bardziej na swoje, niż gdyby wydawało, bo wydając, ponosi koszty, nie wydając zaś, ma zyski z tego, czego nie straciło, a moja książka jest zbyt układna, zbyt poprawna. Istna czy-tanka. Nie można mi odmówić umiejętności pisania, niemniej umiejętność ta nie służy niczemu poza

formułowaniem hiper-poprawnych zdań. Idzie się zanudzić. Muszę może coś przero-

10  
bić, wymyślić inaczej, popracować, zmienić zamysł twórczy. W każdym razie w tym kształcie nie nadaje się, niestety.

- Jak to, za poprawnie napisana? - zapytałam.

- Za pomocą okrągłych zdań, które nikogo nie poruszają. Nie zainteresują.

- Jeżeli napiszę niestylistycznie i z błędami ortograficznymi, zainteresują się wszyscy, ale chyba jako jakimś hip-hopem?

- Nie rozumiemy się! - obraziła się na mnie redaktorka w rajstopach. - Mam na myśli to, że pani pisze bez jaj! Jak kobieta bez jaj!

Musiałam zrobić zdumioną minę, bo wytłumaczyła się nie-pytana:

- Pani pisze oczywistości, banały, językiem poprawnym do bólu zębów. Jest takie powiedzenie „głupi jak but”, prawda?

- Nie wiem - odpowiedziałam podejrzliwie, bo nie chciałam jej dawać noża do ręki.

- Jest - zapewniła mnie. - I pani właśnie pisze „głupi jak but”! Żeby raz napisała pani coś zaskakującego. Na przykład „głupi jak sanki”!

- Jak co?

- Jak sanki.

- Jeżeli napiszę „głupi jak sanki”, to wydacie mi książkę?

- Nie umiem pani odpowiedzieć na tak postawione pytanie - obraziła się znowu. - Skąd mogę wiedzieć, co wydamy, a czego nie? Ale cóż pani ryzykuje, stosując się do mojej rady? W najgorszym razie będzie pani oryginalna.

Rajstopy miała już kompletnie beznadziejne. Jakieś broka-towo połyskliwe, różowe. Pretensjonalne i tyle. Ciekawa jestem, komu mogłyby się spodobać, tym bardziej że i nogi nietęgę. To znaczy - zbyt tęgie. Współczuję gustu jej facetowi.

Wyszedłam z tego całego wydawnictwa, ze starego ponurego gmachu przy ruchliwej ulicy, w pieskim nastroju. Jeździły samochody, świeciło słońce, więc podniosłam głowę do góry i pomyślałam: czy ja matkę i ojca zabiłam, żebym się gryzła? A po co mi, kurczę, być oryginalną? O nie, pomyślałam znowu i uśmiechnęłam się sama do siebie. O nie, Grocholo, Sowo, Pisa-rzewsko, muzy moje niedościgłe! Nie wiedziałam, co mnie cze-

11

ka, czy spotkam na szlaku przeznaczenia tego bruneta ze zrośniętymi brwiami oraz jednodniowym zarostem metr osiemdziesiąt, ale wiedziałam, że w życiu już nie napiszę żadnej książki. Nie zależy mi.

Prezent dla Gośki

Nienawidzę wychodzić z domu w sobotę do południa, kiedy wreszcie mogłabym wyleżeć się, wyleniuchować, zwalczając w ten sposób przyszłe zmarszczki i wory pod oczami. Niemniej zawsze wychodzę z domu w sobotę do południa. Bo kiedy znajdę lepszą porę na położenie po sklepach? Kiedy wracam ze szkoły, mam akurat tyle siły, żeby kupić coś na chybcika w markecie po drodze. A tej soboty koniecznie musiałam kupić prezent dla Gośki, która jutro urządza urodziny.

Dwudzieste siódme. Jest ode mnie starsza o dwa lata, więc mnie przyjemniej balować na jej urodzinach niż jej na moich.

Ale poza wiekiem Gośka miała w życiu więcej szczęścia ode mnie. Mieszka w domu z ogrodem i basenem, i tarasem, i biznesmenem, i złotą kartą kredytową. Ledwie otworzy oczy, widzi wokół siebie to, co inni ludzie widzą, kiedy zamkną oczy i pomarzą. Ale narzeka. W okolicach dwudziestki słowo „orgazm” występowało w jej słowniku częściej niż w filmach Woody'ego Allena, teraz zastąpiła je słowem „horror”. „Wiesz - dzwoni do mnie na przykład - Berniemu całkiem odbiło! Jacuzzi

ma być bez cyburatora! Horror!". Wyjaśniam, że jej mąż jest Bernard, czyli Berni. Co to jest cyburator, nie wyjaśniam, bo nie wiem. Albo: „Horror, Do! (Nazywa mnie Do, jak moja rodzina. To jeszcze z dzieciństwa.) Berni zabiera mnie na sylwestra do Rosji! Kuligiem przez zaśnieżoną tajgę, kiedy na Florydzie takie cudowne upały!". Na kilometr jedzie od jej wyrzekań kiepskim teatrem i nie daje sobie przetłumaczyć. „Kiedy byłam biedna jak mysz kościelna, mówiłam to, co wypada. Teraz mówię, co mi się podoba". Rzecz w tym, że ona nigdy nie mówiła tego, co

12

wypada. Występuje u niej organiczna niezdolność do takiego zachowania. Ale nie to jest u Goški najgorsze. Najgorsze jest to, że uparła się, żeby mnie wydać za mąż. Jak sięgnę pamięcią, próbowała mnie swatać ze wszystkimi dostępnymi facetami. Z wyjątkiem Marka, mojego byłego męża. Z tym wyswatałam się sama, czego Goška nie omieszkała mi wytknąć w stosownym czasie. „Nigdy mu nie dowierzałam!" - oznajmiła, choć piała hymny pochwalne na jego cześć. Podówczas doskonale ją rozumiałam. Marek nie miał brwi zrastających się nad nosem, ale poza tym mógłby stanowić kanon męskiej urody. Barczysty brunet o stalowym spojrzeniu, metr osiemdziesiąt i śnieżnobiałe zęby. Czym mógł podbić nieuleczalną optymistkę, jaką jestem, jeżeli nie najszczerzym uśmiechem świata? Zresztą identyczny szczerzy uśmiech miał, gdy mi oznajmiał, że odchodzi z Marzeną. Goška wyswatała mnie również z Sebkiem, z którym spotykam się od czasu do czasu. Zbyt rzadko, żeby mogło to znaczyć coś poważnego, a zbyt często, żeby to mogło nic nie znaczyć. Jutro idziemy razem na jej urodziny. Jednakże prezenty dla Goški tradycyjnie kupuję sama, od lat. To cała skomplikowana ceremonia. Nie da się kupić byle czego komuś, kto wszystko już ma. Byle co także. Z braku funduszy staram się wykręcić nieszablono-wością. W zeszłym roku kupiłam Gošce na bazarze gipsowego amorka. To znaczy wyglądał jak gipsowy - taki biały, połączany - ale chyba nie był wcale gipsowy, tylko, o dziwo, z całkiem solidnego materiału. Pierwsze, co Goška zrobiła, to wypuściła go z rąk, a on przetrzymał upadek bez najmniejszego uszczerbku.

Planowałam, że powiesi go sobie w narożniku sypialni, pod sufitem, żeby mierzył z połączanego łuku w jej okrągłe łóżko (naprawdę okrągłe, nie kłamię!). Miało się to nazywać „Miłość na okrągło". Ale wylądował w ogrodzie na zegarze słonecznym. Bernard, czyli Berni, kazał go jakoś tam przyśrubować do tarczy zegara i teraz amorek zamiast frunąć stoi na jednej nodze, pokazując strzałą godziny. Nazwali to „Miłość czasami". Są siedem lat po ślubie.

Na początku jednak, kiedy kupuję dla niej ten urodzinowy prezent, zawsze idę na łatwiznę. Zaglądam do naj wykwiniej-

13

szego sklepu w mieście i myślę sobie, że gdybym miała więcej pieniędzy, nie musiałabym wysilać się na nieszablonowość. Kupiłabym największy flakon perfum i kazała go dostarczyć tirem wystrojonym kwiatami. Otóż to! Gdybym miała kasę, umiałabym być jeszcze bardziej nieszablono-wością niż teraz.

Najwykwintniejszy sklep w mieście nazywa się z lekka bez sensu Moulin Rouge Shop i mieści się przy Starym Rynku w starym centrum miasta. Obecnie mamy już nowe centrum. Za mojego dzieciństwa stare centrum było przytułkiem dla meneli, unosił się w nim fetor przetrwanego alkoholu, a rozsądny człowiek nie zapuszczał się tam po zmroku. Dzisiaj Stary Rynek jest odrestaurowany w stylu „nowa przedsiębiorczość". Latarnie stylizowane na gazowe, kwietniki, kolorowe kamienice i zakaz ruchu kołowego.

W Moulin Rouge Shop od progu tak pachnie, że nieprzy-zwyczajonego może zabić. A jeżeli przeżyje, wystarczy, żeby zerknął na ceny. Też trup. Więc nie zerkałam na ceny, tylko na pewniaka przeszłam wzdłuż wszystkich tych błyszczących półek, lad, kas, pomiędzy którymi firmowe panienki w krótkich majtkach jeżdżą na wrotkach. I patrzą ci na ręce, jakby cię znały z listów gończych publikowanych w prasie. Już ukradła czy dopiero ma zamiar? Nienawidzę tego, więc zawsze podchodzę do lady, za którą stoi najbardziej ekskluzywna ekspedientka. Ta jest szkolona, żeby doradzić, potrzebę ci po przegubie szklanym koreczkiem, pokonwersować i w ogóle. Tym razem ekspedientka składała się ze znudzonej miny, dekoltu i rzęs. Chyba klejone z trzech warstw na upalne dni, żeby ocieniały twarz.

Zerknęłam z miną koneserki za jej plecy, gdzie na półkach stały, Chryste, jakie perfumy, w jakich wymyślnych kształtach i wymyślnych cenach! Wskazałam palcem na flakon jak kryształowe bonzai tej najlepszej firmy, wiecie. Nie mogę powiedzieć, jakiej, ale sami się domyślicie. Z rajskim ptakiem.

- Ten? - Obróciła się znudzona z rzęsami. - To raczej nie dla pani.

Normalnie mnie zatkało. Sama wiedziałam, że to nie dla mnie, i nie wiem, co mnie podkusiło do oglądania tego nieszczęsnego flakonu, ale żeby powiedzieć coś takiego człowiekowi

14

w oczy?! Na dodatek będąc ekspedientką, czyli osobą, dla której klient to drugi pracodawca?! Naprawdę nie ubieram się byle jak, nie myślcie. Nie stać mnie może na krótką serię u Cardina, nawet na pewno mnie nie stać, ale nie wyglądam na nędzarkę. W moim zawodzie to niedopuszczalne. Wystarczy trochę zaniedbać się w ubiorze, a już na szkolnej wycieczce przewodnik zwraca się po instrukcje do najlepiej ubranej uczennicy. A tymczasem ta klejona do mnie: „To raczej nie dla pani!”. Takim piskliwym głosikiem sadystki erotycznej.

- Co pani ma na myśli, proszę mi wyjaśnić - powiedziałam zimno.

Zreflektowała się, pomyślała i powiada z drwiącym uśmiechem:

- Nie będzie w pani guście. Tak mi się zdaje.

- Proszę pozwolić, że sama ocenię, co jest w moim guście. Proszę podać to, o co proszę. Tak będzie najprościej proszę.

Zawsze, jak się zdenerwuję, przesadzam ze słowem „proszę”. Wydaje mi się, że ono podkreśla wyniosłość, tymczasem brzmi, jakbym się jąkała. Ale nie mogę tego z siebie wykorzenić. Kiedyś w czasie sprzeczki krzyknęłam do Sebka: „Proszę mi proszę proszę!”. Sama nie wiem, o co mi chodziło, ale musiałam być zirytowana do ostateczności.

Ta z rzęsami podała mi flakon i od tej pory nie spuszczała go z oczu. Ja przestałam istnieć dla niej, zrobiłam się przezroczysta. Kiedy podnosiłam dłoń z flakonem, jej wzrok podnosił się, kiedy opuszczałam ją, jej wzrok się opuszczał. Dla eksperymentu postawiłam flakon na ladzie i szybko przesunęłam dłoń w drugą stronę, ku torebce. Urzęsiony wzrok pozostał przy flakonie, jakby źrenice przymarzły do kryształu. Wcale się nie dziwię. Gdybym stłukła to cacko, szef potraciłby jej miesięczną pensję. Ale zaraz sobie uprzytomniłam, że mnie poszłaby na to konto pensja kwartalna, więc oddałam perfumy czym prędzej.

-Wiedziałam, że pani nie weźmie! - ucieszyła się ekspedientka, uśmiechnięta złośliwie od kolczyka do kolczyka. Kolczyki w cenie mojej pensji miesięcznej.

Choć mogłabym już na dobrą sprawę odejść, w tej sytuacji nie mogłam. Moja cześć została nadszarpnięta. Wypatrzyłam

15

sobie flakon tańszy o 127 złotych. Nawet opłacenie tej różnicy byłoby dla mnie

nieuzasadnioną rozrzutnością, niemniej musiałam godnie odegrać swoją rolę do końca.

Stałam nad okazanymi mi perfumami i udawałam rozległe zainteresowanie. Ta z rżęsami znów patrzyła na flakon, ale już bardziej drwiąco, z luzem.

A gdybym tak zatkała jej twarz i kupiła to paskudztwo? -pomyślałam w desperacji.

Ale zaraz pomyślałam: Opanuj się, proszę, wiesz, jaka czeka cię za to pokuta?

Makaron z wody do końca miesiąca, bo nic innego do jedzenia w domu nie masz! A jest dopiero dwunasty, proszę bardzo.

Spojrzałam w bok, gdzie daleko za wielkimi oknami wystawowymi Moulin Rouge Shopu świeciło przecudne majowe słońce i znowu pomyślałam: Nie stać cię, żeby dla honoru pojeść trochę makaronu? Przecież lubisz spaghetti, a to niemal spaghetti, tyle że bez sosu. Z tego zaciętrzewienia już prawie byłam zdecydowana, kiedy oprzytomniałam. A skąd weźmiesz pieniądze? Masz w torebce w sam raz na korek i etykietkę. Oczywiście zawsze jeszcze pozostawał mi tak zwany wariant Winnony Ryder. Wchodzę dyskretnie za ladę, a wychodzę ze sklepu na bezczelnego. Niestety, ten wariant w swoim klasycznym kształcie ma to do siebie, że wybiega za tobą ochroniarz. A na koszty postępowania sądowego też mnie nie stać. Niektórzy z biedy kradną, inni z biedy są uczciwi. Widocznie to mój przypadek.

Oddałam tej z rżęsami flakon, nie zważając na jej niemądry uśmiezek.

- Perfumy powinny być banderolowane jak alkohol - powiedziałam. - Inaczej człowiek nie ma za grosz pewności, że to nie podróbka.

Wyobraziłam sobie perfumy Chanel nr 5, które Marilyn Monroe ubierała do snu, pędzone w piwnicy na zardzewiałej aparaturze, i pożałowałam tego bon motu. Ale ta zza lady zatrzepotała rżęsami, jakby odfruwiała. Widocznie takiego spostrzeżenia nie zaserwowała jej żadna klientka. Nie miała pojęcia, czy to żarty, czy serio, i formalnie ją zamurowało.

- Niech pani się nie głowi nad tym, co mówię - pocieszyłam ją nonszalancko. - To raczej nie dla pani.

16

I wyszłam z Moulin Rouge Shopu jak królowa angielska od Harrodsa. Chociaż za nią, zdaje mi się, wynoszą jednak zakupy.

A u mnie Gośka nadal nie miała swojego prezentu.

Szłam wzdłuż rynku, zerkając na wystawy. Księgarnię mogłam swobodnie skreślić.

Nie miałam pojęcia, do czego Gośce przydałaby się książka. Mieli w gabinecie regał z tomami o jednakowych złożonych grzbietach, żadna normalna książka do tego wystroju nie pasowała, a jeszcze połowa to były atrapy. Same grzbiety, za nimi barek. Tam dopiero stały ekskluzywne edycje!

Odpadało też coś do ubrania. Kiedyś wysadziłam się na sweterek i tydzień później zobaczyłam, jak gosposia rwie go na szmaty. To nie była, broń Boże, wielkopańska pogarda Gośki. Gosposia po prostu się pomyliła. Bogata przyjaciółka jest przekleństwem. Zawadza i nie przydaje się do niczego, jeżeli ktoś -jak dajmy na to ja - nie uznaje pożyczania pieniędzy. Czasami odpala mi coś ojciec, ale to nie jest klasyczne pożyczanie. Mój papcio jest neurologiem z prywatną praktyką, kochanym i kochającym rodzicem jedynaczki, więc nie ma na kogo wydawać, póki nie dorobi się wnuka. Co, mam wrażenie, prędko nie nastąpi. Ech, życie! Najłatwiej kupowało mi się prezenty dla Gośki, kiedy jeszcze biegałyśmy po tym samym podwórku i huśtałyśmy się na tym samym trzepaku. Dlaczego przeminałaś, trzepaku przy śmietniku, gdy nie ma cię kto zastąpić?

Zapomniałam wam jeszcze powiedzieć, że osobny problem to prezenty od Gośki. Pół biedy, kiedy daje mi kredkę do oczu Bukcharra, ale w zeszłym roku dostałam od

niej telefon komórkowy, który miał książkę telefoniczną ze zdjęciami i w ogóle prawie że arie śpiewał.

- Nie mogę go przyjąć, Gośka - orzekłam. - Nie stawiaj mnie w takiej sytuacji.

To jest stanowczo za drogie. Chyba że chcesz mnie zarzącać przy rewanżu.

- Za drogi? - Gośka na to. - To zapytaj mnie, ile kosztował.

- No ile?

- Nie wiem. Rozumiesz? Nie mam pojęcia. Kupiłam go nie dlatego, że kosztował mało albo dużo, ale dlatego, że jest taki cud6\$fon!^pqsuje do ciebie jak ulał. O co ty mnie w ogóle posądzasz? 0 (kuńpwanie za pieniądze?

f ? ? \\ \ ( \ ??? n I

"> Ś 17

U i

?01 ężczyzna. ?^?

2.

Wzięłam t^n telef^n- Logika nie jest mocną stroną Gośki, ale ma dobre serce przynajmniej dla mnie.

W bocznej uliczce ???? Starym Rynku upatrzyłam porcelanowy wazon d0 ^jadania ikebany, wielki, w formie karaweli pod żaglami. Oośka uwielbia takie kiczowate bibeloty. Ale ka-rawela okazała się niewiele tańsza od pierwszej wyprawy Kolumba, ???? tym ??? TM? m^o ? zwrócić w indiańskim złocie.

Już miałam zmienić tereny handlowe, kiedy stało się coś, co sprawiło, że ugięły się pode mną kolana. Krew odpłynęła mi z twarzy, uszy ^apłonefy mi żywym ogniem, serce wpadło w nerwowe staccato, stało się ze rnną wszystko, co możecie sobie wyobrazić na podstawie romansów książkowych, filmowych i każdych innych. To był on!

Wpadłam ?? niego za rogiem, jak wpada się na znajomego, na pijaka, na sprzedawcę baloników, tak całkiem po prostu. Był brunetem o gęstych brwiach zrosniętych nad nosem. Jego zarost był jednodniowy a nawet bardziej. Miał co najmniej metr osiemdziesiąt dwa, szerokie bary i być może stalowe spojrzenie, choć tego akurat nie widziałam, gdyż stał bokiem. A właściwie pochylał się bokiem- To było najgorsze.

Nie to, że pochyle się> ale to, w jakim celu się pochylał.

Nie ku mnie^ zsuwając na czoło ciemne okulary. Nie siedział w fordzie harriSonie i nie pytał, jak dojechać gdzieś, gdzie on nie wiedział, jak dojechać, a ja ewentualnie mogłabym wiedzieć. Pochylał się, a właściwie przyklękał na jedno kolano nie przede mną.

Klękał pr?;ed siedzącym na składanym stołeczku facetem, który stawiał t\0gę ?? drewniany, umazany czarną pastą podnózek. W dłoni ^a? mojego ideału mężczyzny dostrzegłam szczoteczkę ze sztywnym włosiem i uchwytem na pięć palców.

Tak, owsz^jil, R obrze zrozumieliście.

Mój wyśniOlly wymarzony książę był czyścibutem. Takim zwyczajnym czyścibutem, który czyści cudze buty w celach zarobkowych. Cjtyba zresztą nie ma innych czyścibutów, prawda? Bardziej eleganckich, rzutkich zawodowo, z wyższą pozycją

18

społeczną. Patrzyłam na niego z rozdziawionymi ustami, stojąc na środku chodnika, i dopiero teraz rozumiałam naprawdę, do końca, do serdecznego bólu, co ma na myśli Gośka, wołając: „Horror!”.

Stracony weekend

Też słyszałam o optymistycznym micie „od pucybuta do milionera”. Ale po pierwsze, to było dawno temu w Ameryce, kiedy nosiło się getry i jeździło fordami o

białych oponach. I to wszystko robił na niby Ciarę Gable. A po drugie, mam już dwadzieścia pięć lat. Kiedy on dorobi się pierwszego miliona, czyszcząc buty, będę miała sto dwadzieścia pięć. Nawet wykwintnego grobowca rodzinnego nie doczekam w tym związku męsko-damskim.

Ale z drugiej strony -jednak ideał. Niełatwo trafić na ideał. Oczywiście na razie mogłam go ocenić wyłącznie pod względem czysto fizycznym. Wciąż istniała nadzieja, że przy bardziej duchowej wymianie myśli objawiłby się jako idiota. Ale jeżeli miałabym pecha i on nie okazałby się idiotą?

Więc z trzeciej strony najlepiej byłoby zapomnieć o tym facecie od progu raz na zawsze, ale z czwartej strony nie udawało mi się to i on mi się odbijał jak kanapka bez popicia.

Czy można się dziwić, że w tej sytuacji przeżyłam najbardziej zmarnowany weekend spośród moich zmarnowanych weekendów, głównie tych z Markiem? Na dodatek z tego wszystkiego kupiłam Goście film DVD „Koszmar minionego lata” i byłam pewna, że gorzej nie mogłam trafić. Co mnie pod-kusiło? Gośka wprawdzie co drugie słowo mówi „horror”, ale horrorów nie cierpi. Kiedyś oglądałam z nią już nie pamiętam co na wideo, o rekinie albo o krokodylu, to albo krzyczała, albo siedziała z poduszką na głowie.

Sobotni wieczór spędziłam przed telewizorem. Zrobiłam sobie drinka z martini i lodu i pomyślałam, że urznę się na chan-

19  
drę. Bo przecież nie zacznę ćpać Bóg wie dla kogo! Ale jak można urznąć się jednym drinkiem z przewagą lodu? Drugiego nie chciało mi się zrobić, ponieważ wciągnął mnie film o kobiecie, która sprzedała dziecko, a potem postanowiła je odzyskać. Bardzo głupie, ale nie sposób się oderwać, zwłaszcza że pomyślałam sobie o moim dziecku, którego nie miałam z Markiem, ale gdybym miała, to nie wiem, co by było teraz i w ogóle. Zwłaszcza z tym rozwodem z powodu zgodności charakterów. Mojego męża i Marzeny. Nawet inicjały im się zgodziły. Ja chciałam mieć dziecko, to on nie chciał. To znaczy mówił, że na razie nie chce, ale z tego wszystkiego widać, że wcale nie chciał. Nie chciał ze mną. Może chciał z Marzeną, chociaż nie słyszałam, żeby ona była w ciąży. Zaraz sobie pomyślałam, że może mam jakieś nie takie geny i Marek to wyczuł? W tym momencie byłam już na granicy pójścia po drugiego drinka, tylko zrobiłam się zbyt senna po tym pierwszym, żeby chciało mi się zwlec z fotela. Tym bardziej że kobieta w filmie postanowiła wyrznąć nożem nową rodzinę swojego dziecka. No, to już było przesadzone, niemniej wciągało.

Potem przypomniała mi się Gośka ze swoim dzieckiem. Ściśle mówiąc, Gośka nie ma jeszcze dziecka, ale ma wiele poglądów na ten temat. Uważa, że posiadanie dziecka przez kobietę jest dyskryminacją płciową.

- Dlaczego wymyśla się ulgi dla kobiet w ciąży, a gdybym chciała dostać pracę, najgorszy mężczyzna miałby przede mną pierwszeństwo? To mi ubliża!

- Po co ci praca? - pytam ją. - Berni zastrzegł numer konta?

- Po co mi praca? Coś ty! - Gośka na to. - Mówię przykładowo. Co to za przepisy, że kobiecie w ciąży przysługuje to albo tamto. Co za wyróżnianie, jak jakiegoś ginącego gatunku zwierzęcia? Czy kobieta nie jest takim samym człowiekiem, Do?

- Jak zwierzę?

- Jak mężczyzna. A nie, że kobieta w ciąży to albo tamto.

- Więc jak powinni napisać?

- Ze człowiek! Człowiek w ciąży ma takie i takie prawa. Ta-Be same. Bez wydziwiania! Bez udawania, że nikogo się nie dyskryminuje.

- Na jedno wychodzi. Przecież kobieta w ciąży jest człowiekiem.

- Nie jest, Do! To znaczy jest, oczywiście, że jest, ale innym człowiekiem. W ciąży.

Logika nie jest mocną stroną Gośki, mówiłam już, za to ma ona silne poczucie sprawiedliwości. W pewnej chwili wydało mi się, że Gośka z nożem w ręku czyści buty zamienionym dzieciom w stanie Kansas, a potem obudziłam się na fotelu z pustą szklanką w dłoni. W telewizji był już chyba następny film, tym razem mężczyzna bez ręki terroryzował rodzinę wczasowiczów w nadmorskim kurorcie przy użyciu snopowięzałki. Albo re-kultywatcra, ja ich nie rozróżniam. Obudziłam się pod prysznicem, ale wycierając się, znów zasnęłam. A i tak zanim wkułnęłam się pod kołdrę, przypomniał mi się mój idealny czyścibut i na pewno przez całą noc śniło mi się coś bzdurnego. Tyle że nie pamiętam.

Rano obudziłam się z przeświadczeniem, że chyba jestem głupia. Jakaś staroświecka! No to co, że czyścibut? Mamy podobno demokrację. Czy jest jakaś dyskryminacja rasowa czyści-butów czy co? Czym ja się właściwie przejmuję? Taki sam człowiek jak każdy inny.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością do obrazu Johna R. Melga, zjadłam tosta z sokiem pomarańczowym i nagle pomyślałam sobie: No oczywiście, że taki sam człowiek jak każdy inny. Ale czyścibut.

W południe zadzwonił Sebek z pytaniem, o której ma po mnie podjechać. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie odwołać tego imprezowania, szczególnie z Sebkim, ale pomyślałam, że Gośka by mi tego nie darowała. Więc powiedziałam, żeby wziął taksówkę na dziewiętnastą. Potem usiadłam na podłodze przed otwartą szafą i zrozumiałam, że nie mam nic sensownego do włożenia na grzbiet i beznadziejnie zrobiłam, umawiając Sebka razem z tą taksówką. Niby dlaczego Gośka miałaby mieć mi za złe? Nie takie rzeczy mi wybaczała. Mojej nieobecności nikt nawet nie zauważy, zresztą nieobecności - w gruncie rzeczy - usprawiedliwionej. Przecież właśnie walą mi się na głowę moje ideały, wali mi się na głowę cały świat. Zaczęłam szukać nu-

meru Sebka, ale telefon nie działał, a kiedy się zorientowałam, że mam blokadę klawiatury, i odblokowałam, odechciało mi się dzwonić i w rezultacie popłakałam się. Choć z wrodzonym optymizmem. Płakałam mianowicie nad tym, że nic się nie stało i prawdopodobnie nic się nie stanie.

Kiedy usiedliśmy w taksówce, Sebek powiedział, że pięknie wyglądam i przeprasza mnie, że tak długo się nie odzywał, ale naprawdę miał urwanie głowy w firmie.

Komputeryzują sieć sklepów obuwniczych w mieście. Akurat obuwniczych, wyobrażacie sobie?

- Nie szkodzi, domyśliłam się - powiedziałam, udając, że mam humor.

Przyszło mi do głowy, że wcale nie zauważyłam, że Sebek tak długo się nie odzywał. Najwidoczniej nie tęskniłam za tym, żeby się odezwał. Ale przyszło mi też do głowy, że już nawet Sebkowi nie chce się do mnie odzywać zbyt często. Bo gdyby zechciał, znalazłby czas. Na początku znajomości znajdował codziennie, chociaż wtedy komputeryzowali kioski Ruchu. Albo coś innego, ale pamiętam, że było tego dużo i drobne. Widocznie jestem oto świadkiem własnego końca, przynajmniej w sferze kontaktów damsko-męskich. Banalna codzienność odwraca się do mnie plecami, a ideały ukazują swą bolesną przyziemność. Kończą się na wysokości wypucowanych cholewek. A na Gośkowej imprezie będzie zatrząsienie facetów we frakowych koszulach z brylantowymi spinkami, którzy gwałtownie

potrzebują takich panienek jak ja, ale na jakieś pół godziny. Najwyżej. Impreza odbywała się w ogrodzie. Nastawiano krzeselka, parasole, stojaków z żarówkami, a poczciwy Berni biegał między gośćmi i zapowiadał sztuczne ognie jako największą spodziewaną atrakcję wieczoru. Najpierw były alkohole, potem grill i alkohole, potem znowu alkohole, a w przerwie płonące lody polane alkoholem. Najdalej po półgodzinie ktoś się tak spił, że wpadł do basenu w wieczorowym stroju i od tego momentu zrobiło się naprawdę wesoło. Ale nie mnie. Cały czas próbowałam pogadać z Goską sam na sam, lecz musiałam gadać sam na sam z Sebkim. Sebek tańczy jak noga,

22

a w przerwach tańców zabawiał mnie komputeryzacją sieci sklepów obuwniczych. Kiedy tańczyłam z kim innym, Sebek pił z nudów, więc wolałam tańczyć z Sebkim, gdyż pijany Sebek puszcza pawiego wsiem. Już dwa razy najadłam się z nim wstydu właśnie z tego powodu. Nie licząc innych powodów.

Wreszcie Gośka znalazła chwilę czasu i zamknęłyśmy się w gabinecie na parterze. Zgasiałam światło, żeby nikt nas nie wypatrzył i nie wparował przeszkadzać, więc siedziałyśmy po ciemku, a na dworze za tarasowymi oknami Berni odpalał właśnie fajerwerki, których sam najbardziej nie mógł się doczekać. Od ich blasku Gośka zieleniała na twarzy albo żółkła, co sprawiało nieprzyjemne wrażenie, że tak właśnie chorobliwie reaguje na moją dramatyczną opowieść. Poza tym była wyraźnie zaniepokojona, czy Berni ujdzie z życiem spośród piekielnych wizgów, rozbłysków, kołujących ogonów ognistych. Nie mogła skupić się należycie na historii o mnie i zagadkowym czyścibu-cie. Ja też nie mogłam się skupić, nawet nie wiedziałam, co Gośka włożyła na siebie na swoje urodziny. Szarawary i jakąś fruującą narzutkę z czarnego tiulu, zdaje się.

- Może weź się z nim po prostu prześpij i przejdzie ci! - poradziła mi w końcu z irytacją.

To była jej zwyczajowa rada, toteż nabrałam pewności, że słuchała powierzchownie.

- Skup się, Gośka, proszę! - zdenerwowałam się. - Tu nie chodzi o przespanie.

Nie o żadne przespanie, proszę. To nie jest temat na przespanie albo też na nieprzespanie.

- No to na co?

- Ja się chyba zakochałam!

- W czyścibucie? Którego zobaczyłaś przelotnie na ulicy?

W jej głosie słyszałam lekko zdezorientowane niedowierzanie. Westchnęłam. Za oknem opadał na trawniki świetlisty śnieg, goście bili brawo i śpiewali coś z repertuaru Republiki. Jeśli dobrze rozpoznawałam słowa, bo o melodii nie było mowy.

- Tego właśnie nie wiem - odpowiedziałam Goście. - Niczego nie wiem. Ale od wczoraj bez przerwy o nim myślę. Nie wierzę, że to nic nie znaczy. Co mam zrobić?

- Weź może się z nim... - rozpoczęła Gośka, ale otrzeźwiała

23

w połowie zdania. - Aha, to już nieaktualne. A właściwie nieaktualne jeszcze.

Czy w ogóle nieaktualne?

- W ogóle przestań się tym zajmować, proszę. Z tym sama sobie poradzę. Ja cię pytam o to, czy moje zachowanie jest normalne? Czy mi nie odbiło? Z tym czyścibutem. Bo jeżeli mi nie odbiło, to coś z tym muszę zrobić.

- Jeżeli ci odbiło, to też coś z tym musisz zrobić - zapewniła mnie Gośka.

- No i właśnie chodzi o to, co takiego?

- Nie wiem. Miałam w życiu do czynienia z różnymi facetami, ale z czyścibutem nigdy. Nawet nie wiedziałam, że jeszcze istnieje taki fach. Może po prostu film kręcili?

- Jaki film? Bez kamery?

- Z ukrytą kamerą. Teraz wszystko kręcą z ukrytej kamery. Z jawnej nie ma oglądalności. Jak mają pozwolenie na pokazanie, to nikogo nie obchodzi, wiadomo, że nic ciekawego. Może to podstawiony aktor? Brunet mówisz? Ze zrosniętymi brwiami? A ten, co gra dziennikarza w środowym serialu... Jak mu, Brunon?

- Gośka, tam nie kręcili żadnego serialu, proszę. Nie jestem idiotką i umiem rozpoznać, co się dzieje. Czyścili buty bez użycia ukrytej kamery. On sam. Własnoręcznie.

- Ale w ogóle się do niego nie odezwałaś? Ani słowem?

- A co niby miałam powiedzieć? Jak ci się czyści?

- Dlaczego zaraz tak? Mogłaś powiedzieć... Cześć mogłaś powiedzieć, na przykład.

- Cześć i co dalej?

- Cześć, jak ci się czyści.

- Nie żartuj, Gośka, proszę, bo mnie nie jest do śmiechu.

- Łatwo powiedzieć! Co ci mam poradzić na poważnie? Horror! Po prostu idź do niego wyczyścić buty, jeżeli jeszcze -tam klęczy. Temat sam się nasunie.

- Uważasz, że powinnam go poniżyć ja także?

- Jak poniżyć, dlaczego poniżyć? Przecież on to robi zawodowo, sama mówisz. Zdaje ci się, że Berniego poniża, że zrobił majątek na utylizacji śmieci? Fach jest fach.

Rzeczywiście, uświadomiłam sobie, że przecież Berni jest w gruncie rzeczy śmieciarzem. Tylko że po nim tego nie widać,

24

tak samo jak po Goście jej idealnych wymiarów. Kwestia rozmachu. Gdyby tamten facet czyścił tysiące butów na godzinę, też nie byłoby po nim widać, że jest czyścibutem. Poza tym żadna profesja nie hańbi, a już zwłaszcza profesja czyścibuta. Miłość do czyścibuta też nie hańbi.

Jasne, miłość do radcy prawnego nie hańbi oczywiście jeszcze bardziej. Ale przecież niedawno marzyłam o zrobieniu czegoś szalonego. Jak można zrobić coś szalonego z radcą prawnym? To niewykonalne. Za to z czyścibutem - kto wie? Z tym że najlepsze byłoby coś szalonego w rozsądnych granicach.

- Dobra, Gośka - powiedziałam, gdy na niebie rozkwitły purpurowe palmy fajerwerków. - Pójdę na całość.

- A konkretnie? - przestraszyła się Gośka. - Konkretnie wyczyszczę sobie buty. Skoro tak ma być,

niech będzie. Przeciwno przeznaczeniu nie poradzisz.

Kiedy wróciłam do ogrodu, Sebek właśnie rzygał do basenu, w którym pływała jakaś na pół goła paniąka i dwóch podstarzałych facetów w garniturach. To dopełniło miary rozgoryczenia i postanowiłam, że nie strącę mojego ideału na bruk, póki dokładnie mu się nie przyjrzę. A nuż ma coś na swoją obronę?

Buty do wyczyszczenia

W poniedziałek wstałam godzinę wcześniej niż zwykle, a i tak o mało nie spóźniłam się na lekcje. Rano ani zerknęłam na Johna R. Melga, więc pomyślałam, że to przez to. Nie miałam czasu. Musiałam wywalić pół szafy łącznie z pawlaczem, żeby znaleźć odpowiednie buty. Przecież nie pozwolę sobie jakimś czarnym mazidłem czyścić włoskich czółenek, w których chodzę do pracy. Od Gośki wróciłam po północy, przez pół godziny namawiałam pijanego Sebka, żeby nie odprowadzał

mnie na górę, sama miałam lekko w czubie i udało mi się zasnąć dopiero przed trzecią, a zerwałam się na nogi przed szóstą, bo mimo wszystko wczoraj nie zapomniałam o przestawieniu budzika. Oczy mi się

25

kleiły i ledwie odróżniałam buty od beretów. Wszystko, do czego się brałam, wydawało mi się głupie jak sanki.

Adidasy od razu odłożyłam na bok. Były dwie pary: białe, w których schodziłam góry na trzecim roku studiów (teraz już bardziej szare niż białe), i żółte, w których niczego nie schodziłam. Od małości były na mnie za ciasne. Kupiłam je w wiejskim sklepiku, gdzie stało mydło i powidło. Żeby ukoić się po odejściu Marka. W tym ponurym stanie ducha musiałam udać się na konferencję młodych polonistów, gdyż nasza dyrektorka nie pozwala mieszać spraw zawodowych z prywatnymi. Choć mnie się akurat wtedy same pomieszały. Oprócz adidasów mogłam nabyć tylko oponę rowerową albo komplet osełek, więc w zasadzie nie miałam wyboru. Podobnie jak z dyrektorką i z Markiem. Zakup był zdecydowanie nieudany, ale, o dziwo, ulżyło mi. Może dlatego, że w cisnących butach nie sposób myśleć o niewiernym mężu.

Przynajmniej nie bez przerwy.

Odłożyłam też białe satynowe z perełkami, w których brałam ślub, choć te osobiście wysmarowałabym ongiś czarną pastą na znak żałoby. Ale już mi przeszło. Obok odłożyłam czerwone na wysokim obcasie, w których przetańczyłam jedyne sylwestra z moim mężem. Tak w ogóle przetańczyłam z nim cztery sylwestry, ale tylko jednego jako ze ślubnym małżonkiem. Był całkiem udany. Bał, rzecz jasna. Marek miał okazać się mniej udany, choć balując nie miałam o tym pojęcia. Odłożyłam też szmaciane ze sznurowadłami, o których nie wiedziałam, skąd wzięły się w mojej szafie. Mogła je zostawić przez zapomnienie któraś z koleżanek, kiedy tu nocowały. Charakterem pasowały do Martyny. Miałyśmy z nią wspólne praktyki pedagogiczne na ostatnim roku i przez ten czas mieszkała u mnie. Martyna była jakaś taka szmaciana właśnie. Uczy prac ręcznych gdzieś nad morzem, gdzie jest nadkomplet polonistów. Już nie dzwoniemy do siebie, choć wciąż mam ją w telefonie.

Odłożyłam wszystkie sandały i klapki, a było tego łącznie osiem par.

Odłożyłam kozaki i buciora na futrze, bo przecież nie wybiorę się w nich w letni dzień na Stary Rynek, choć najgorsze czyszczenie im nie zaszkodzi. Zahartowane w solach i saletrach, któ-

26

rymi roztapia się styczniowy lód na chodnikach. W tych łaciatych z napami zwichnęłam nogę na schodach przed kinem. Po „Titanicu”, który najwidoczniej jest nadal pechowym statkiem. Jak Marek mnie obskakiwał! Kupował stosy gazet, żebym się nie nudziła, herbatę z konfiturami malinowymi od mamusi przynosił do łóżka, nieomalże kołysanki mi śpiewał. Fałszywiec! To znaczy wtedy jeszcze nie był fałszywy, prawdopodobnie szczerze się mną opiekował, ale z perspektywy czasu okazuje się, że tak czy owak wszystko było fałszywe, z nim na czele.

Siebie oczywiście nie liczę.

Pamiętam, jak jeszcze na początku roku szkolnego przerażało mnie, że w moim życiu jest tyle śladów po Marku. Teraz zdumiewało mnie, że nie wywołują już we mnie żadnych odczuć. Są martwe tak samo jak mój były, który żyje gdzieś tam sobie w najlepsze z Marzeną, a może już wcale nie z nią - i to też było mi obojętne.

Popatrzyłam na ten kłębiący się na środku pokoju stos butów i pomyślałam pod adresem nieznanego czyścibuta: Chryste, człowieku, przecież ty już wywróciłeś

moje życie do góry nogami! Co to będzie dalej?

Wybrałam lekkie skórzane botki powyżej kostki, które od biedy pasowały do majowej pogody. Były najzgrabniejsze ze wszystkich wchodzących w grę. Niestety, ocknęłam się z zamyślenia, gdy właśnie pierwszy z nich odczyściłam do połysku.

Co za tępota! Mówi się, że zburzyć łatwo, zbudować trudno. Nieprawda.

Przynajmniej w odniesieniu do butów. Już nie udało mi się doprowadzić tego wypucowanego do stanu nieużywalności, w którym pozostawał drugi od pary. W końcu złapałam półbuty z niezgrabnym, szerokim rantem, wpakowałam je do reklamówki, bo nie zamierzałam paradować po szkole w zabytkach sztuki szewskiej, i pobiegłam na lekcje.

Pierwszą godzinę miałam w klasie I ? „Pieśń o Rolandzie”. Wyobraziłam sobie, że włożę moje zniszczone buty jak krzyżowiec zbroję, rzucę na kolana saracena ze Starego Rynku i zwyciężę w świętej sprawie. To była udana lekcja.

Na drugiej godzinie omawiałam „Lalkę” w III a. Też nie poszło najlepiej.

Wokulski bohatercko wybił się z kompletnego

27

dną społecznego, brylował w najlepszym towarzystwie, szastał pieniędzmi na prawo i lewo, a Izabela Łęcka wcale nie była beznadziejnym manekinem, tylko świadomą swoich walorów kobietą. Za pomocą niewinnych sztuczek doprowadzała ukochanego do wyższej duchowości, którą łatwo zatracić, gdy pnie się na szczyt z nędznej pozycji czyścibuta. To znaczy, sorry, subiekta w sklepie Mincla. Co zresztą nie jest powodem do wstydu w demokratycznym społeczeństwie tak samo jak pod zaborami.

W II g miałam powtórzenie wiadomości z gramatyki, więc odetchnęłam, a później robiłam z I b czwartą część „Dziadów”. To mnie z kolei trochę przygnębiło. Z tym że „Dziady” przygnębiały mnie jak sięgnę pamięcią, ponieważ najpierw ja ich nie rozumiałam, a później moi uczniowie. Nad wyraz fatalistyczna sztafka pokoleniowa. Postawiłam pięć jedynek, w tym dwie temu samemu uczniowi, który od początku roku myli Marylę Wereszczakównę z Szelą z „Wesela”. Jestem przekonana, że robi to złośliwie. W każdym razie „Dziady” do końca życia będą im się kojarzyły z martyrologią. Dobrze i to.

Na piątej godzinie lekcyjnej w II d był sprawdzian z „Bajek robotów” Lema. Tu przez całe czterdzieści pięć minut tłukła mi się po głowie optymistyczna maksyma, że człowiek nie jest robotem, ale nie wiem, jaka wskazówka praktyczna miałaby z niej wynikać. Może o potrzebie uczyć?

Od początku szóstej godziny siedziałam jak na szpilkach, z boleśnie podniecającą świadomością, że to tuż-tuż. Jeszcze tylko jeden dzwonek.

Mówiliśmy o filmie „Ziemia obiecana”, a ja przez cały czas słyszałam tego walca, którego napisał Kilar, i do którego wtóru Nehrebecka tak pięknie przeskakuje płótek przy trawniku, i właściwie w tym samym rytmie wybiegałam z klasy, choć wciąż jeszcze de facto siedziałam pod tablicą czarną jak rozpacz. Poza tym jednak biegłam boso przez szmaragdową łąkę, na której żółciło się i bieleło, i niebiesciło, i kraśniało zatrzęsienie kwiecica, a przede mną niby brama tryumfalna rozpościerała się na niebie tęcza. Wtedy właśnie jeden z uczniów zapytał mnie z wyrzutem -jakbym to ja była winna, że w nowej wersji filmu wycięto scenę między Olbrychskim a Jędrusik w salonce,

28

podobno całkiem ostrą jak na tamte lata - gdzie da się dostać oryginalną wersję, ponieważ w wypożyczalniach brak. Inny natychmiast zapytał, czy to możliwe, że pulman jest nazwą wagonu, a nie figury erotycznej. Powiedziałam im, żeby lepiej przeanalizowali problemy społeczne w państwie wilczego kapitalizmu, ale i tak

miałam tę łękę z głowy.

Szłam z dziennikiem do pokoju nauczycielskiego, żeby wziąć reklamówkę z butami, gdy zaczęła mnie dyrektorka.

- Świetnie, że panią widzę, pani Dominiko, właśnie pani szukam.

Jestem wprawdzie młodą siłą pedagogiczną, ale tyle już wiem, że kiedy dyrektorka cieszy się na mój widok, to nic dobrego nie wróży. I rzeczywiście.

- Chcę panią poprosić o nagłe zastępstwo w II b. Zachorowało dziecko pani Kryńskiej, a w planie widzę, że pani już teraz nic nie ma, pani Dominiko.

Doskonale powiedziane, zwłaszcza że do tego nic-nie-mania przygotowywałam się od trzech dni. Zmarnowałam na to całut-ki weekend i sześć dzisiejszych lekcji.

Dziecko pani Kryńskiej zawsze choruje przez zaskoczenie. Wiem, że dzieci zwykle o tym nie uprzedzają, ale dziecko pani Kryńskiej dziwnym zrządzeniem losu zaskakuje tylko i wyłącznie mnie. Grono pedagogiczne spodziewa się jego choroby od trzech poprzedzających dni, jak wynika z późniejszych rozmów. W te dni dziecko pani Kryńskiej grymasi, budzi się po nocach, traci apetyt, tylko ja jedna o tym nie wiem. Dlaczego to maleństwo, którego w życiu nie widziałam na oczy, uwzięło się akurat na mnie?

- To jest mi dzisiaj wyjątkowo nie na rękę, pani dyrektor, tak nagle - wyjaśniłam.

- Wiem, pani Dominiko, dlatego nie wydaję pani polecenia, tylko proszę. Zrobi to pani dla mnie, prawda? Wiem, że na panią zawsze można liczyć. Do kogo mam się zwrócić, skoro pozostałe koleżanki mają mężów, dzieci, domy? - wzięła mnie pod włos z właściwym sobie brakiem delikatności.

Dlaczego z faktu, że nie mam męża i dzieci, zawsze wynika, że jestem bezdomna?

Poza tym to nieprawda. Aneta też nie ma męża i dzieci, a nocuje, gdzie popadnie.

Tylko że Aneta jest wu-

29

efistką, chodzi po szkole w dresie i z gwizdkiem na szyi, więc gdyby posiać ją do normalnej klasy, gdzie są ławki i tablica, wyglądałaby szokująco. Drugi polonista, Błażej, też jest samotny, ale on z kolei jest mężczyzną i zawsze ma na głowie mnóstwo fundamentalnych obowiązków na wczoraj, na przykład pisze przemówienia przewodniczącemu rady miejskiej, którym przypadkowo jest szwagier naszej pani dyrektor.

A ja jestem apolityczna. Nie popiera mnie żadna partia, frakcja, fikcja, reakcja, koło poselskie bezpartyjne, bar mleczny, zajezdnia tramwajowa i z wzajemnością, że tak powiem. Transmisje posiedzeń sejmowych przyprawiają mnie o wysypkę, a ich skrót o nerwowe wypieki. Z wyrazów na „poli” podoba mi się jedynie Polinezja” Uwielbiam palmy, ale akurat me te, które odbijają.

- To jest raczej argument przeciw, pani dyrektor - powiedziałam bez uśmiechu, którym ona szantażowała mnie ze swojej strony - że ja nie mam męża i dzieci. Pozostałe koleżanki mają ustabilizowany byt i jedno zastępstwo mniej czy więcej nie robi im różnicy. A jeżeli ja w tym czasie minę się z największą miłością mojego życia?

- Oj, pani Dominiko, ja też kiedyś spotkałam największą miłość mojego życia - pocieszyła mnie dyrektorka. - Niech mi pani wierzy, że do dzisiaj nie jestem pewna, czy me wolałabym wtedy mieć zastępstwa.

Wobec tak osobistego argumentu powędrowałam potulnie na drugie piętro, gdzie siedziała klasa II b. Akurat świętowała odwołaną matematykę z panią Kryńską, więc moje wejście me zrobiło specjalnego wrażenia. Dla zabicia czasu spróbowałam wciągnąć ich do dyskusji, którzy z bohaterów literackich byłiby entuzjastami

Unii Europejskiej, a którzy eurosceptykami. W rezultacie jednak to ja zostałam wciągnięta do dyskusji, które lektury szkolne Unia powinna wyrzucić z programu szkolnego po naszym wstąpieniu do niej, gdyby była przyzwoita.

Obawiam się, że aż na taką przyzwoitość, jaką postulowała II b, Unii nie stać, a Rzeczypospolitej tym bardziej.

Mniej więcej w połowie lekcji niebo za oknem zachmurzyło się, potem zaczął padać deszcz. Znaczyło to, że wszyscy, którzy pracują pod gołym niebem, mają od tej pory fajrant.

30

Wróciłam do domu z brudnymi butami w reklamówce i obiecałam sobie, że jeżeli za dwadzieścia lat, kiedy może będę już dyrektorką albo kimś takim, zdarzy mi się przydzielać zastępstwo, ominę wszystkie rozwódki i panny. Bo mogę niechcący sprowadzić na całe ich przyszłe życie deszcz, burzę, oberwanie chmury i gradobicie. I nawet feeling teung ich z tego nie wyciągnie, jakkolwiek będzie się wtedy nazywał.

Puściłam sobie płytę Edith Piaf i chyba z godzinę gapiałam się w zadeszczone okno. To się nazywa melancholia.

Pedro

Następnego dnia padało, mimo że nie zapomniałam spojrzeć na Johna R. Melga. Budząc się w nocy, słyszałam krople bębniące po dachu nad moją głową, a nocne światło zza szyb wiło się po ścianach jak robactwo. W telewizji zapowiadali deszcz i w radiu zapowiadali deszcz, sprawdziłam tu i tu. Nie dlatego, że jestem blondynką, która myśli, że w powtórcie Wiadomości samobójca nie skoczy z dachu, ale dlatego, że radia słuchałam później, więc mogli mieć aktualniejszą prognozę. Chociaż, nawiasem mówiąc, ja faktycznie jestem naturalną blondynką, aczkolwiek z tych kasztanowatych. Teraz mam włosy rozjaśnione, już mi odrastają. Zimą zamierzałam zrobić się na rudo i może wrócę do tego pomysłu. Z moim ilorazem inteligencji nie muszę obawiać się żadnego koloru. Umiem grać w szachy, lubię rozwiązywać krzyżówki i w dwóch powieściach Agathy Christie rozszyfrowałam mordercę przed końcem. W tej chwili nie pamiętam tytułów. Raz zabiła dziewczynka z lalczką, co rozpoznałam po śladach butów na krześle, a drugi raz już nie pamiętam kto i po czym to odgadłam. Poza tym lubię sernik na zimno, najlepiej z galaretką owocową, morze w każdą pogodę, gadanie, hotele, choć te coraz mniej, czarno-białe filmy, ładnie wydane albumy na dowolny temat, porcelanowe figurki,

31

jazz, leniuchowanie, gorącą kąpiel (naturalnie bez przesady, nie chodzi o masochizm), wełniane golfy, tenis (to też bez przesady). Kiedyś zdawało mi się jeszcze, że lubię ciszę górskich dolinek, po których płyną skrzące się na kamieniach strumyki. Dopóki nie wybrałam się samotnie do zacisznej kotlinki z rączym potokiem. Chryste, ta woda robi większy hałas niż pedałowa maszyna do szycia, której używała matka Gośki. Jako dzieci przykładaliśmy ucho do jej drewnianego blatu - porównywalne wrażenie. Lubię także deszcz, ciepły letni deszcz albo zimny deszcz jesienny, ale już zwłaszcza tu bez przesady. Nienawidzę, kiedy pada dzień po dniu, a ja mam akurat w planach spacer po Rynku. Spośród rzeczy bez sensu ta jest najbardziej bez sensu! Podczas lekcji patrzyłam tęsknie przez okno i na trzeciej godzinie spostrzegłam, że zaczęło się jakby przejaśniać. Na czwartej deszcz ustał, ale na piątej zauważyłam go znowu. Na powierzchniach kałuż. Z tym że teraz była to taka zanikająca mżawka. Coś, co mój tata nazywa „powietrzem w kropelkach”. Postanowiłam zaryzykować.

Jadąc autobusem 63 w stronę ulicy Zamkowej, bo dalej stoi zakaz wjazdu na Rynek,

zastanawiałam się, jakie cechy osobowe musi mieć młody, zdrowy mężczyzna, który decyduje się zostać czyścibutem. Ogólną niemoc? Ze swoją urodą, gdyby zechciał, zrobiłby karierę przynajmniej jako model, zawód powszechnego pożądania. To chyba lepiej niż czyścibut? Jasne, że bywają modele głupie jak sanki, ale ogólnie biorąc, głupotę łatwiej namierzyć w dyskusji panelowej niż na wybiegu. Więc co, że głupi, kiedy nie wygląda?

Może to demonstracja z jego strony? Coś takiego jak Hare Kriszna albo mnisi buddyjscy, którzy spalali się na widoku publicznym? Protest. Przeciwno, powiedzmy, dziurze ozonowej. Ewentualnie przeciwko bezrobociu. Albo upadkowi autorytetów. No ale to trzeba byłoby mieć zdrowo nastukane, żeby z butów urządzić sobie religię!

Oczywiście nie rozwiązałam tej zagadki i znalazłam się na Starym Rynku stłamszona intelektualnie. Mżyło, ale chwilami przestawało. Przespacerowałam się wzdłuż deptaków z pseudo-gazowymi latarenkami i spostrzegłam go w bramie. Jednak był.

32

Rozłożył się z tym swoim warsztatem pracy w sklepionym przejściu na podwórze kamienicy.

W sąsiedniej bramie nałożyłam półbuty z reklamówki i ruszyłam. Po dwóch krokach zatrzymałam się z niepokojem. Przecież jeżeli on zobaczy mnie w takich staromodnych brudnych kapciach, weźmie mnie za flejtucha. Od razu widać, że nieczyszczzone od lat. Ale niby dlaczego mam się przejmować pogardą czyścibuta? Dlatego, że brwi zrastają mu się nad nosem w niespotykany seksowny sposób? O, nie!

Poszłam dalej, wybierając po drodze największe kałuże.

- Cześć! - powiedziałam maksymalnie obojętnym głosem. Złożyłam parasolkę i wskazałam nią na kempingowy stołeczek z podnóżkiem. - Można?

Podniósł głowę, bo akurat przeglądał gazetę. Nie narzekał na popyt. Jeszcze jeden powód, żeby rzucić w diabły to zajęcie. Co za dziwaczny facet! Ale brwi - z bliska - miał po prostu oszałamiające. Zapierały dech. A pod nimi oczy głębokie, ciemne, o wejrzeniu w temperaturze rozżarzonego węgielka, mądre, dojrzałe, nieustraszone, oczy czyścibuta, psiakość!

- Jasne, proszę - odpowiedział. - Ta przyjemność kosztuje pięć złotych.

- Strasznie drogo, nie uważasz?

- Bo to dla bogatych. Biedni czyszczą sobie buty sami.

- Więc widocznie źle trafiłam.

Popatrzył na moje buty taksująco. W tym momencie myślałam, że zapadnę się pod ziemię ze wstydu. Przesunął wzrokiem po moich półbutach, potem po moich nogach. Nie wiem, co go przekonało, w każdym razie akceptuję skórę moją głowę.

- Siadaj, wyczyszczę ci buty za pół ceny. To chyba uczciwa propozycja?

- A niby dlaczego? - odpowiedziałam, siadając z wyrafinowaną godnością. - Płacę tyle, ile kosztuje.

- Dobite - zgodził się. - Nigdy nie potrafiłem się targować. Rozpoczęła się ceremonia czyszczenia butów. Nie mogę użyć innej nazwy, ponieważ zabrał się do tego jak, nie przymierzając, ksiądz do mszy. Poodkręcał płaskie pudełeczka z pastami: ciemnobrązową, bezbarwną i czarną. Wyczyścił prostokąt-

3. Mężczyzna.

33

na szczotkę za pomocą okrągłej szczotki. Rozłożył na kolanie flanelową szmatkę.

Wyciągnął ze skózanego futerału metalowy skrobak do zbierania błota. Obawiałam się, że na samo czyszczenie już mu nie wystarczy czasu. Czy on nie wie, że dzisiaj ludzie się spieszą? Że dni pędzą jak wichry? Że to nie dziewiętnasty wiek, kiedy przez cały wieczór kontemplowało się zachód słońca nad łąkami? Słońce zniknęło szybciej niż widzowie. Trudno się dziwić, że klientów mają na lekarstwo. Ci, których stać na pięć złotych, nie mają czasu na obijanie się u pucybuta, a ci, którzy mają wolnego czasu po dziurki w nosie, nie mogą doliczyć się pięciu złotych. Marketingowe myślenie na pewno nie było jego powołaniem.

- Dlaczego czyścisz buty? - zapytałam, ale tak, żeby nie myślał, że mnie to interesuje.

- Zamówiłaś u mnie usługę.

- Pytam, dlaczego w ogóle się tym zajmujesz? Nie nęci cię co innego?

- Nęci, czemu nie. Chciałbym poskakać na bandzi.

Albo udawał głupiego, albo, co gorsza, istotnie nim był. Co lepsza chyba?

- Miałam na myśli inny zawód. Jesteś młody, bystry... - ugryzłam się w język, gdyż o mało co dodałabym „i masz seksowne brwi”. - Na przykład mmm... (Kurczę, znowu wdepnęłam w tego nieszczęsnego modela!)...mmmakler giełdowy.

- Mmmakler? Nie, makler mnie nie nęci. Maklerów teraz jak psów. Gdzie spluniesz, makler, a ja, czyścibut, jestem jeden na całe miasto!

Nie mogłam mu odmówić silnego poczucia własnej wartości. Nie miał kompleksów. Już prędzej katastrofalny zanik ambicji.

Aczkolwiek do butów podchodził ambitnie. Z pasją. Nakładał na nie drugą warstwę pasty, tym razem bezbarwnej, z zupełnie miłosnym zapamiętaniem. Posuwiste, pewne ruchy jego dłoni, którym przyglądałam się spod opuszczonych rzęs, gdy on klęczał u moich stóp z pochyloną głową, wywoływały na plecach powolny, nieustający dreszcz. Szuu-szuu... szuu-szuu... Flanelowa ściereczka, pociągana jego dłońmi za oba końce, polerowała piętę mojego półbuta, niekiedy zahaczając o ścięgno

34

Achillesa. To było już trudne do zniesienia. Niewyobrażalne. W pewnej chwili przyłapałam się na tym, że zapomniałam oddychać. Wciągnęłam powietrze gwałtownie, spazmatycznie i zrobiło mi się głupio. Ten dźwięk nie brzmiał niewinnie.

- Masz jakoś na imię? - zapytałam szybko, żeby zatrzeć kretyńskie wrażenie.

- Pedro. A ty?

O, i to mi się wreszcie podobało. Pozbyłam się upiornego dreszczyku z pleców.

Nie lubię imienia Pedro. Nie literalnie „Pedro”, ponieważ akurat nie znam nikogo o takim imieniu, ale w ogóle nie lubię obco brzmiących imion. Na przykład Berni, który skądinąd jest sympatycznym Polakiem. Mój czyścibut też nie wyglądał na cudzoziemca. Mam na myśli to, że nie miał śladu akcentu. Gdyż tak w ogóle, z urody, był trochę rumuńsko-italiański. Z tym że imię Pedro jest raczej hiszpańskie, o ile wiem. Ale Włochy a Hiszpania, co za różnica w dobie jednoczącej się Europy...

- Twoi rodzice nie byli stąd?

- To nie rodzice. Znajomi nazywają mnie Pedro. Z przytułku, tam, gdzie mieszkam.

Chryste! Tym razem to nie był dreszcz. Tym razem serce mi się zatrzymało. W gardle. Głośno przełknęłam ślinę i pomyślałam w popłochu, że w życiu nie wymyślę następnego pytania. W tej sytuacji? Jest czyścibutem i mieszka w przytułku. No, logiczne, czego się spodziewałam? I wcale nie jest mu z tym źle. Nie wygląda, żeby tęsknił za czymkolwiek innym, nie mówiąc o lepszym! Te jego brwi to po prostu pułapka natury. Zmyłka, nic więcej. Coś takiego jak cudowne ubarwienie kwiatu, który jest trujący dla owadów. Groźny dla otoczenia. Ten czyścibut jest

po prostu toksyczny dla mnie!

-Dlaczego akurat Pedro? - wykrztusiłam. Ponieważ nie mogłam znaleźć nowego sensownego pytania, postanowiłam rozwinąć któreś z poprzednich.

- Kiedy zjawiłem się u nich, była akurat kolacja. Na dworze burza z piorunami, przed paroma minutami wichura zerwała daszek z kotłowni, lało jak z cebra...

- Aha - wtrąciłam, żeby nie pomyślał, że nie rozumiałam.

35

rhociaż nie rozumiałam. Ale w tej chwili nie rozumiałabym wiasnego imienia. I dodałam: - A ja Dominika - gdyż przypomniało mi się, że nie tak dawno pytał o to.

Po czym widząc, że składa swoje szczotki i pasty, zapytałam w nieustającym oszołomieniu. - Ile ci płacę?

- Pięć złotych - powtórzył bez zdziwienia. Przynajmniej za to byłam mu wdzięczna.

A kiedy ślamazarnie grzebałam w portmonetce, ni stąd, ni zowąd zadał pytanie, z powodu którego jeszcze dziś rano skoczyłabym z radości.

- Co robisz wieczorem?

Dziś w południe to pytanie sparaliżowało mnie.

- Jestem zajęta - odpowiedziałam w popłochu, wrzucając pięcioletówkę do jego blaszanego pudełka. Jakże ona straszliwie zabręczała! - Bardzo zajęta. Dziś wieczorem jestem najbardziej zajęta w życiu.

-Zatem niech ci się uda ten najważniejszy wieczór. -Uśmiechnął się do mnie sympatycznie i wetknął nos w gazetę.

Wróciłam do domu, usiadłam z bezsilnie opuszczonymi rękami naprzeciw równie bezradnego Johna R. Melga i popadłam w letarg, jaki zdarza się jaszczurkom, a nie ludziom. Jedno wiedziałam na pewno: jeśli chcę zachować dla siebie odrobinę szacunku, muszę w sobie zabić to, co tam kiełkuje. Zabić bez litości i bez namysłu. Dla zdrowia. Dla lepszej przyszłości. Dla moich dzieci i wnuków.

Ponieważ to wcale nie jest miłość. Ja, była mężatka, kobieta po przejściach, chyba wiem, co to jest miłość, prawda? To nie jest miłość. Nazwij to, jak chcesz, czyści-bucie. Nazwij to, jak chcesz, Johnie R. Melgu. Nazwijcie to, jak chcecie, wy wszyscy. Aleja wiem swoje.

Przez resztę dnia widziałam jego ręce, smukłe palce bez obrączki i śladu po niej.

Wieczorem zadzwoniłam do Gośki, żeby od czegoś zacząć planowane zabijanie.

Opowiedziałam jej o szkole, a ona opowiedziała mi o wizycie u kosmetyczki. Ja

powiedziałam jej, że w przyszłym tygodniu mam zamiar zrobić to elektryczne

złuszczenie skóry, po którym jest się gładkim niczym pupa noworodka, i żeby

powiedziała mi, jak to się nazywa. Ona powiedziała mi, że w przyszłym tygodniu

ma zamiar zapisać się na kurs

36

hiszpańskiego. Akurat hiszpańskiego, choć nigdy wcześniej o tym nie wspominała.

Więc przerwałam na chwilę zabijanie.

- Powiedz mi, Gośka - zapytałam - co to znaczy, jeżeli kogoś nazywają Pedro?

- Że tak mu dali na chrzcie.

- Nie na chrzcie. Tak tylko. Że niby co? Że ma hiszpański temperament czy co?

- Bo ja wiem? - zastanowiła się Gośka. - Pamiętasz tego gościa z Juraty, o

którym ci mówiłam dwa lata temu? Miał temperament jak trzech Hiszpanów, a

nazywał się Niuniek.

- To musi być co innego. Rusz głową!

- Coś ty, Do, masz mnie za wróżkę? A po co ci to? Znałam w życiu rozmaitych

facetów, ale Pedra nigdy. Z wyjątkiem tajemniczego don Pedra Carramba, pamiętasz?

Chryste, oczywiście, że tak! Z dobranocki! Tajemniczy don Pedro z Krainy Deszczowców! A tamten przyszedł do przytułku, kiedy była burza i lało jak z cebra!

- To on, Gośka! - wrzasnęłam. - Mam go!

- Jaki on?

- Ten, który zawrócił mi w głowie! Tajemniczy don Pedro z Krainy Deszczowców.

- Więc czyścibut już nieaktualny?

- Czyścibut jest z Krainy Deszczowców! Tylko czemu nazywają go tajemniczy?

W słuchawce zapadła cisza, potem Gośka cmoknęła z zadumą.

- Wiesz, Do, pytałaś mnie, czy ci nie odbiło. Zdaje się, że dzisiaj mogę ci już odpowiedzieć.

- Nie, Gośka - zaprzeczyłam. - Dzisiaj to ja o nic cię nie pytam. Dzisiaj sama znam odpowiedź.

W ramach zabijania

W środę zadzwonił Sebek, że ma dwa bilety na „Carmen” o dwudziestej. Dlaczego na środę, a nie na sobotę, dlaczego na

37

„Carmen”, a nie na „Raport mniejszości” z Cruise'em, dlaczego Sebek, a nie kto inny? Wszystko nie tak. Kiedy indziej odmówiłabym od ręki, ale skoro już miałam w sobie zabijać to, co wiecie, zgodziłam się. Uprzedziłam tylko Sebka, żeby ta „Carmen” nie była za długa, bo w czwartek mam lekcje od ósmej rano.

Sebek po całych dniach komputeryzuje, co się da, więc kiedy raz na pół roku uzna, że czas się ukulturalnić, wali z grubej rury. Opera, pantomima, chór starocerkiewny. Wszystko przyjezdne, ponieważ u nas nie ma pantomimy ani opery, tylko dom kultury. Włożyłam czarną mini, czarne rajstopy, czarny golf i srebrny łańcuch na wierzch. Do tego przewiązałam głowę czerwoną apaszką. Gdyby nie Carmen, byłabym najoryginalniej odstrzelona na całej sali. Nie co dzień zabija się miłość swojego życia.

- Pięknie wyglądasz - powiedział Sebek.

- Drobiazg - odpowiedziałam, a pomyślałam: I co z tego? Oceny Sebka nie są miarodajne. Dwa miesiące temu zastał mnie w czasie wieszania zasłon na oknie. Otworzyłam mu z trzema metrami lnianego płótna przerzuconego przez ramię, a on ucałował mnie szarmancko w policzek i powiedział: „Jeszcze cię w tym nie widziałem. Pięknie wyglądasz!”.

Na operze nie mogłam się skupić, ponieważ wciąż śpiewali. Naturalnie nie jestem ćwierćinteligentką i wiem, że w operze się śpiewa. Po to jest opera. Ale tym razem czułam nabitą głowę i nie miałabym nic przeciwko temu, żeby dali sobie spokój. Trochę ciszy. Tym bardziej że zachowanie pozostałych widzów świadczyło, że nie zrobiliby im to różnicy. Niestety, artystom zapłacono za śpiewanie, pracowali uczciwie. Co mogło ich obchodzić, że ktoś na widowni naprawdę cierpi z miłości, podczas gdy oni tylko udają. Don Jose, habanera, korrida, zabiłem byka, cóż to dla mnie byk, fabryka cygar w Sewilli, niczego mi nie oszczędzili. Tyle dobrego, że ani jedna z występujących osób nie miała hiszpańskiej urody. Uznałam to za plus inscenizacji. Przed domem powiedziałam Sebkowi, że na jutro muszę jeszcze poprawić zeszyty i że zadzwonimy się.

- Nie wiem jak ty, ale mnie opera pozwala złapać dystans

38

do świata - powiedział mi na odchodnym (na odjezdny) Sebek. - Czuje, że ludzka małość jest złudzeniem.

Widocznie odkrył w sobie giganta dwa razy, bo widział jeszcze „Toscę”.

W domu postanowiłam, że kupię sobie rybkę. W szklanej kuli z kolorowymi kamykami i wodną roślinką. Nie ma nic gorszego niż powrót do mieszkania, w którym nikt na Ciebie nie czeka. Mogłabym też kupić chomika. Po chomiku lepiej widać, że czeka, niż po rybce. Rybka ma zawsze taki sam wygląd, nie wiesz, czekała czy nie. Najbardziej spektakularnie czeka pies, oczywiście, ale nie mam warunków ani czasu na wyprowadzanie psa.

Myśląc o tym, robiłam sobie herbatę i szklanka wypadła mi z ręki. Kwadrans wymiatałam okruchy z zakamarków kuchni, jakby szklanka nie wypadła mi z ręki, tylko eksplodowała. Wszystko przez Sebka. Jak nie sieć sklepów obuwniczych, to opera. Wykończyłabym się przy nim raz-dwa. Zamieniłabym się w jakiegoś żywego trupa. A on by popadał w zachwyt: „Jaka śliczna trupia bladość, jak uroczo zapadnięte oczy, pięknie wyglądasz!”.

Co to jest, że w operach wszyscy umierają? Epidemia. Przy finałowych aktach można się załamać. Nie pamiętam opery, w której ocalałby ktokolwiek poza reżyserem. Dlaczego dawni artyści osiągają nieśmiertelność za cenę życia niewinnych bohaterów? To sadyzm. Absolutnie przestarzała forma sztuki. Dzisiaj mogę od rana do nocy oglądać telewizję, film po filmie na dowolnym kanale, i nikt nie umrze, jeśli go nie zastrzelą gangsterzy. Jesteśmy delikatniejsi. A taki Szekspir? Co mu szkodziło, żeby pozeńił tych biedaków, Julię i Romea? Jak pięknie mogło wypaść wesele, skoro już na co dzień ludzie nosili się wtedy wystrojeni niczym na maskaradę. Co za wredna cecha charakteru podszept-nęła mu na finał pogrzeb zamiast ślubu? I to, i to jest wystawną uroczystością, jeżeli już zależało mu na scenie masowej.

Mało, że zabił, to zabił po dwa razy. Zwłaszcza Julię. Raz naprawdę, a raz na niby. W normalnym życiu żałoba przydarza się jednej stronie, ale jemu było mało. Julia skrapia łzami zwłoki ukochanego i Romeo skrapia łzami zwłoki ukochanej, ona

39

i on, chociaż to absurd, jeśli się zastanowić. Przymuszanie widzów do bezmyślnego szloch.

Położyłam się do łóżka i już w półśnie zobaczyłam wszystkie utwory świata i wszystkie kończyły się happy endem. W końcu jestem optymistką. Romeo i Julia wychowywali piątkę udanych dzieci, Anna Karenina zakładała z Wrońskim dochodową smażalnię kurczaków, Raskolnikow przeprowadzał staruszki przez jezdnię, Izabela Łęcka czekała na Wokulskiego z ciepłym obiadem. Faktem jest, że nikt już dzisiaj nie pamiętał o tym ich nowym szczęśliwym życiu, ich groby zdążyły zapaść się pod ziemię i na świecie nie było nic godnego wzruszeń z wyjątkiem nominacji w „Big Brotherze”. Nie wiedziałam, czy to na pewno jest optymizm, czy po prostu nie zabiłam jeszcze tamtego w sobie do końca.

Postanowiłam, wciąż w tym półśnie, że kiedy Sebek odezwie się, wygarnę mu prawdę w oczy. Sieć sklepów obuwniczych, „Carmen”, rzyganie do basenu, to, że nie odróżnia sukienki od zasłony, że nie telefonuje, a potem głupio się kaja, to, co zrobił z moim życiem, co zrobił z życiem Romea i Julii, i madame Bo-vary, i w ogóle.

I nawet śniło mi się, że dzwoni telefon od Sebka, ale to nie był telefon, tylko budzik.

W czwartek nie kupiłam rybki, bo naprawdę miałam do poprawienia prace klasowe, a w piątek po pracy zajrzałam do rodziców. W ramach zabijania. Mam z nimi wygodną umowę, że oni nie odwiedzają mnie bez uprzedzenia, a ja wpadam, kiedy tylko mam ochotę.

Mama postawiła na stole sernik na zimno z galaretką brzoskwiniową. Kawałki brzoskwiń tkwiły w niej jak złote okruchy zatopione w bursztynie. Rodzynki przypominały słodkie klejnociki. Do tego kawa ze śmietanką, biszkopt i kieliszek wina.

Nie mam pojęcia, jak to się dzieje, że mama wyczuwa moje odwiedziny.

Nieodmiennie trafiam na mój ulubiony sernik na zimno. A kiedy Gośka wpada beze mnie (mówiła mi), jest keks albo piernik, albo kruche ciasteczka z blachy, ale sernik się nie zdarza. To jakaś metafizyka, której nie ogarniam swoim umysłem.

40

Rodzice mieszkają w domku jednorodzinny, gdzie na pięterku czeka mój dawny pokój, ale ja nie wyprowadzę się ze stryszku, na którym przestał już straszyć duch Marka. Ostatecznie nigdzie, ani tam, ani tu, nie odnajdę trzepaka przy śmietniku. Proustowi zaginął utracony czas, mnie zaginął metalowy trzepak przy śmietniku, ale boli tak samo.

Wyszłam na taras do ojca, który palił papierosa. Położyłam głowę na jego ramieniu, a on pachniał tą modną wodą kolońską z pojemnika w kształcie latarki, wiecie, której używają wszyscy mężczyźni bohaterowie telenoweli „Układ”, bo producent jest sponsorem. Tata zawsze starał się trzymać rękę na pulsie mód i obyczajów. Lekarski nawyk. Z tym pulsem. W głębi domu Hanna Banaszak śpiewała o truskawkach w Milanówku. Że ich nie pamięta. Bardzo mnie to wzruszało. Sorry, odwrotnie rzecz jasna - że je pamięta. Bardzo mnie to wzruszało. Papierosowy dym szczypał pod powiekami, przed sobą widziałam tonące w słońcu krzaki porzeczek, pod których osłoną rok temu zastanawiałam się, leżąc beczynnym w hamaku, czy na Marku robi większe wrażenie, jeśli się otruję, czy raczej jeśli podetnę sobie żyły, nie miałam żadnych planów na weekend, na stryszku nie czekała na mnie rybka w szklanej kuli. Wszystko razem sprawiło, że po moim policzku spłynęły dwie dorodne łzy.

- A to co? - zapytał ojciec, przytulając mnie do siebie. Pociągnęłam nosem.

- Tak bardzo was kocham - wyjaśniłam. - Taka jestem szczęśliwa.

- Szczęście bywa ulotne i krótkotrwałe - powiedział ojciec, głaszcząc mnie po głowie jak małą dziewczynkę. - Jeżeli to cię pocieszy.

Nie pocieszyły mnie ani jego słowa, ani sernik z brzoskwiniową galaretką i winem

- otuchę w moje serce wlał dopiero „Cztery pancerni i pies”. Od dwóch lat tata wyszukiwał ich każdego tygodnia na kolejnym programie, który nadawał serial, i zażarcie oglądał w prywatnym cyklu „Nauczmy się tego na pamięć”. Dodatkowo miał ich jeszcze nagranych na wideo i polował na wydanie DVD z dodatkami.

Prawdopodobnie ten film był jego trzepakiem przy śmietniku, tak jak mamy trzepakiem

41

była cukrowa wata na patyku. Są smaki i smaczyska. Tym razem dzielna załoga „Rudego” uratowała mnie.

Przejechali czołgiem kolejno przez rzekę, mur, sad owocowy i hitlerowską dywizję, a ja pomyślałam, skulona w klubowym fotelu naprzeciw telewizora: Oczywiście! Na wojnie muszą być ofiary! A ja przecież właśnie zabijam w sobie. Rzece nie zaszkodzi, mur się ośbuduje, sad odrośnie, a hitlerowcom się należało!

Wróciła mi werwa. Poprosiłam mamę o dokładkę sernika, pomogłam pozmywać i opowiedziałam jej o Rapcuhowiczu z II d. Mama uwielbia słuchać o Rapcuhowiczu, od kiedy dowiedziała się, jak Rapcuhowicz za cechy wewnętrzne Kmicica uznał wnętrzności.

Wyszłam w znacznie lepszym nastroju, niż przyszłam. Co dom rodzinny, to dom

rodzinny. Poręczna maksyma. Nikt nie zarzuci, że nietrafna, a pasuje do każdej sytuacji, w której trzeba zabłysnąć. Co ojciec, to ojciec. Co honor, to honor. Co drzewo, to drzewo. Byle krótko. Długo już nie to samo. Co stara widokówka wyrzucona do śmieci, to stara widokówka wyrzucona do śmieci. Nie pasuje. Co list, to list - pasuje. Tak się zachwyciałam, radowałam, żonglowałam wyrazami, aż już na schodach trafiłam na to, na co musiałam trafić. Co Pedro, to Pedro. No i teraz wystarczyło mi otworzyć drzwi na stryszek, żeby zauważyć od progu, że rybka na mnie nie czeka, jutro muszę solidnie odkurzyć, gołębie napaskudziły na szybę, kran w łazience znowu się przekręcił, gaz w butli skończy się lada chwila i w ogóle szkoda słów.

Nazajutrz Gośka zabrała mnie do lasu swoim zielonym schwarzeneggerem (powiedzmy) z ABS-em, szyberdachem i kwadrofonią. Nie chodziło o poodychanie świeżym powietrzem na spacerze, ponieważ Gośka nie uznaje niczego poza cywilizacją stworzoną rękami człowieka. A las jest pozostałością pierwotnej natury. Nawet ten, do którego mnie zabrała - złożony bardziej ze śmieci niż z drzew. Idolami Gośki są krezusi, którzy na brzegu lazurowego oceanu budują sobie baseny z regulowaną temperaturą wody. Odpowiadałby jej las w doniczce z widokiem na prawdziwy nieprzebrany bór. W doniczkowym byłyby sarenki jedzące z ręki, zbierałoby się poziomki ze śmietaną, pachniałoby perfumami Laury Sol.

42

Do lasu prawdziwego, o którym opowiadam, Gośka zabrała mnie w sobotę dlatego, że mieszka w nim wróżka. Dom jest była leśniczówką, cuchnącą psami i kotami, w drzwiach wiszą pluszowe kotary, a gospodyni przyjmuje w kwiecistej spódnicy i w chustce na głowie. Ma nawet szklaną kulę, choć wydawało mi się, że w dzisiejszych czasach szklana kula jest już wyłącznie metaforą. Gośka uznała, że tylko wróżka - i to zastosowana bez zwłoki - wypłacze mnie z matni.

- Nie wierzę w takie rzeczy i nie zamierzam wierzyć - uprzedziłam ją, gdy bez ostrzeżenia wysadziła mnie przed była leśniczówką.

- No to co? Berni też nie wierzy w mój intelekt, co nie przeszkadza, że wysłuchuje mnie bez protestu. I to ja mam zwykle rację, niestety.

- Tu będę słuchała za moje pieniądze.

- Nieprawda, ja stawiam. Sama byś na to nie wpadła. Przywiozłam cię tu i stawiam.

- Niby dlaczego?

- Niewierzący nie dają na tacę - zakończyła Gośka. Wróżka potasowała karty, kazała mi przełożyć i ułożyć

z nich jakieś puzzle. Drugą rękę trzymała na szklanej kuli. Patrzyła na mnie tak, jakby rozmazał mi się tusz. Na dobry początek wywróżyła, że mam trójkę dzieci.

Powiedziałam, że raczej wykluczone, więc spuściła z tonu i stwierdziła, że

urodzą dużo dzieci. Tu też zaprzeczyłam na zapas, więc orzekła, że w takim razie pracuję z dziećmi. Za trzecim razem każdy by trafił. Potem zamieniła dwie karty

miejscami i orzekła, że widzi obok mnie mężczyznę o poważnych zamiarach, z którym być może byłam niedawno za granicą. W Hiszpanii lub w którymś z hiszpańskojęzycznych. W tym momencie zaczęłam główkować, czy chodzi o czyścibuta

Pedra, czy o Sebka z tą nieszczęsną „Carmen”? To właśnie mi się nie podoba u wróżek, że mówią tak, jakby rzeczywiście coś wiedziały. Człowiek zaczyna mieć wątpliwości, których wcześniej nie miał.

-Jest we mnie zakochany? - zapytałam. Gdyby był zakochany, mogłoby chodzić tylko o Sebka, z tym że też nie na pewno.

43

- O to musi pani jego zapytać. Karty mówią jedynie, że

wchodzi to w rachubę.

Odzywała się jak starsza księgowa, nie wróżka. Zresztą do tego na dobrą sprawę sprowadzało się jej zajęcie. Do liczenia pieniędzy od klientów. Reszta była nieistotnym dodatkiem, ozdobną wstążeczką. Gośka czekała na mnie na ganku leśniczówki, paląc papierosa.

- No i co?

- Bzdury! - Machnęłam lekceważąco ręką. - Kazała jego zapytać, co z nami będzie.

- Kogo?

- Nie wiem. Może Pedra?

Gośka popatrzyła na mnie z niedowierzaniem i zdepnęła niedopałek.

- Poczekaj na mnie. Teraz ja.

Wróciła za godzinę. W tym czasie zdążyłam się natykać po uszy świeżego leśnego powietrza cuchnącego psami i kotami i pełnego fruujących kłaczek. Nie dziwię się, że podczas mojego seansu Gośka wypaliła trzy papierosy, jak wynikało z niedopałków na deskach ganku. Policzyłam je z braku zajęcia. Z zadumy wyrwał mnie głos Gośki. Nawet nie poczekała, aż zamknie za sobą drzwi.

- Ona chyba jest pokopana! - wygarnęła od progu. - Mówi, że Berni mnie kocha!

- Wątpisz?

- Coś ty! Kocha mnie jak szalony, ale to widzę gołym okiem, nie potrzebuję wróżyc.

- Za to u mnie nakręciła! Czy ja wyglądam na trójkę dzieci?

- Nie wybrzydź - zachnęła się Gośka. - Nakręciła czy nie, zawsze jakaś pewność. W przeciwieństwie do niej nie miałam pewności. Nie byłam nawet pewna, czy już dostatecznie zabiłam to, co wiecie.

W niedzielę po obiedzie wybrałam się sprawdzić. Na Starym Rynku nie było czyścibuta. Nie było go też przez następny tydzień. Sprawdziałam sumiennie dzień po dniu, nie znalazłam nawet czasu, żeby wpaść do sklepu z rybkami. Dzień po dniu nic. Rynek pełen obcych ludzi. Pustka. Wtedy zrozumiałam, że jed-

44

nak zabiłam. Udało się. Wygrałam z samą sobą. Teraz jest naprawdę okay!

Przeplakałam w poduszkę do świtu, a ponieważ świty w maju są wczesne, płakałam dalej. Póki nie zaczęłam szykować się do szkoły.

Olśnienie

Olśniło mnie kilka dni później na trzeciej lekcji. Omawiałam doktora Judyma.

Może to, że lekarz, a może ludzie bezdomni, sama nie wiem. Pomyślałam nagle: A jeżeli on jest chory? Obłożnie? Nie ma sił, żeby czyścić buty ludziom na Starym Rynku. Jak ja w takim momencie mogłam cokolwiek w sobie zabijać? Czy jestem podła? Bezlitosna? Nie ma we mnie nic oprócz egoizmu? Jak mogłam zostawić na pastwę losu człowieka prawdopodobnie z wysoką gorączką? Czy słyszałam w życiu o podobnym świństwie, nie mówiąc o robieniu go osobiście? Komuś, kogo na dobrą sprawę wcale się nie zna. Jak mogłam upaść tak nisko?

Ledwie doczekałam dzwonka na przerwę. Musiałam koniecznie zadzwonić do mamy, która nadal jest dla mnie wyrocznią. Myślę, że jej autorytet bierze się stąd, że mama nigdy nie każe mi robić tego, co powinnam robić, chociaż doskonale wie, co to jest.

Jeżeli zakładaliście, że z naszej szkoły można na przerwie spokojnie

zatelefonować, byliście w błędzie. Ganiałam z komórką po wszystkich piętrach jak kot z pęcherzem. W pokoju nauczycielskim grono omawiało brak podwyżek. Podczas

przerw od dawna więcej rozmawiamy o tym, czego nie ma, niż o tym, co jest. W gabinecie polonistycznym ambitni uczniowie (cała trójka) robili gazetkę ścienną o ekologii na ocenę wyróżniającą. Nie mam pojęcia, dlaczego gazetki o ekologii nie robili w gabinecie przyrodniczym. W szatni ochroniarz instalował czujniki na dym papierosowy. Od razu mogłabym mu powiedzieć, czym to się skoń-

45

czy - alarm będzie dzwonił bez przerwy, celowo poddymiany, czym się da.

Ochroniarze są szkoleni do walki z gangsterami, na uczniów nie poradzą.

Zmarnowałam pół przerwy na poszukiwanie zacisznego kąta, wreszcie wpadłam w panice do nauczycielskiej ubikacji. Biologiczka Sylwia suszyła ręce pod suszarką. Uśmiechnęła się do mnie sympatycznie swoim uśmiechem pierwszej naiwnej, ale wyminęłam ją i zatrzasnęłam się w kabynie.

Wcisnęłam numer domu. Odezwała się oczywiście automatyczna sekretarka. Mama nie odbiera telefonów w obawie przed pacjentami ojca. Ich problemy ją przerastają, zwłaszcza sposób, w jaki je referują. Założyłabym się, że jest w domu. Siedzi na fotelu pod lampą z kloszem z frędzelkami, nie tą z czerwonymi, tylko tą ze złotymi, i czyta miesięcznik „Życie Rodzinne”, popijając cappuccino. Jeżeli dzień mija planowo, o tej porze kończy stronę sto siedemnastą. Nie wie, że córkę gnębi niecierpiący zwłoki problem, gdyż nie wszystkim życie układa się tak stabilnie, jak niepracującym żonom neurologów.

- Odbierz, mamo! - zawołałam do słuchawki. - Potrzebuję cię, pomocy!

Pstryknęła wyłączana suszarka do rąk. Biologiczka Sylwia zapukała w drzwi kabiny.

- Co ci się stało? - odezwała się niepewnie. - Źle się czujesz?

- Nic się nie stało, czuję się doskonale! - odrzuciłam jej z irytacją.

- Więc dlaczego dzwonisz jak na alarm? - zapytała w słuchawce moja mama.

- Dzięki Bogu, jesteś! - ucieszyłam się. - Musisz mi szybko pomóc.

Sylwia załomotała drzwiami.

- Jak mam ci pomóc, skoro zamknęłaś się na zasuwkę? Z wściekłością kopnęłam w drzwi i Sylwia zamilkła.

- Co u ciebie tak łomocze? Jedziesz pociągiem? - zainteresowała się mama.

- Nie jadę pociągiem, tylko zamknęłam się w ubikacji dla spokoju. Chcę, żebyś mi...

- Wiem, że zamknęłaś się w ubikacji, ale drzwi są zacięte! - wrzasnęła histerycznie Sylwia. - Co się z tobą dzieje?

46

Zakryłam telefon dłonią i przysunęłam usta do drzwi.

- Przestań się drzeć, Sylwia - syknęłam. - Wszystko zagłuszasz, tak się drzesz.

Zdjęłam dłoń z mikrofonu. Mama czekała, aż dokończę, czego chcę, żeby ona mi.

- Powiedz mi jedną jedyną rzecz - poprosiłam. - Czy człowiek powinien się w swoim życiu kierować przede wszystkim uczuciem?

- Czyżbym dotąd ci tego nie powiedziała?

- Chcę, żebyś mi to powiedziała jeszcze raz. Właśnie w tej chwili.

- Jak mogę zagłuszać sama siebie? - odezwała się za drzwiami Sylwia, która widocznie przemyślała moje pouczenie. - Co ma do tego uczucie? Kiedy facet jest zamożny, możesz kierować się uczuciem. Nie odpowiem ci na takie pytanie w tym miejscu!

Zignorowałam ją. Na korytarzu rozdzwonił się dzwonek na lekcję.

- Jeżeli młody człowiek pęta uczucia wyrachowaniem, jest cyniczny - wypowiedziała się mama w słuchawce. - Jeżeli dojrzały człowiek zaniedbuje obowiązki pod wpływem nieokiełznanych uczuć, jest lekkomyślny. Nie potrafię odpowiedzieć ci jednoznacznie.

- A ja? Jestem jeszcze młoda czy już dojrzała?

- Ty jesteś moją córką i cokolwiek uczynisz, spróbuję znaleźć w tym sens.

- Dzięki, mam! Muszę lecieć! - krzyknęłam radośnie, otworzyłam z impetem drzwi ubikacji i zobaczyłam Sylwię leżącą na kafelkowej posadzce.

- Co ci się stało? - zaniepokoiłam się.

- Mnie?! Najpierw wołasz mnie na pomoc, a potem walisz drzwiami w czoło!

- Po co w ogóle stałaś w tym miejscu? - zapytałam, pomagając jej pozbierać się i otrząpać sukienkę. Na czole miała guza wielkości jaja. Chryste, jaka ona była czasem głupia. Jak te ameby, o których uczę. Dziewczyna lekkomyślna do bólu. Nie wiem, jak można być tak naiwną, jeżeli studiowało się te wszystkie walki o byt, dobery naturalne, twarde prawidła ewo-

47

lucji. Związki białka składające się na Sylwię zdumiewały mnie. - Zapamiętaj dobrą radę: każde zamknięte drzwi kiedyś się otwierają. Gdybym potrzebowała twojej pomocy, zawołałabym cię. Zwyczajnie konsultowałam się przez telefon, a ty się wtrącasz. Jakież bzdurne złote myśli o uczuciach mi recytujesz, których na pewno nawet sama nie wymyśliłaś!

Sylwia zdjęła lustro ze ściany i stojąc tyłem, oglądała plamę na pupie sukienki. Co to jest, że kobietę zawsze bardziej interesuje plama z tyłu niż krwisty guz na samym froncie? Przyłożyłam jej zmoczoną chusteczkę na czoło. Nawet nie zauważyła, wykręcając głowę ze łzami w oczach. Rzeczywiście, pacnęła pechowo. W kawę, która rozlała się komuś na posadzce. Albo w coś innego. Nawet nie chcę się domyślać, co to mogło być.

- Zawsze z ubikacji dzwonisz do psychoanalityka? - zezłościła się poniekąd na mnie, choć w gruncie rzeczy na plamę. - Wiesz, Dominika, że ja cię nie rozumiem!

- Nie dziwię się. Pogadamy, kiedy będziesz po pierwszym rozwodzie.

Sylwia odwróciła wzrok od swojej pupy i popatrzyła na mnie z niesmakiem.

- Dlaczego mam się rozwieść?

- Nie wymagaj ode mnie za dużo - oświadczyłam jej tonem wybacającym. - Powód musisz już sobie znaleźć sama.

Autorytet mamy pomógł mi zebrać siły i myśli. W mieście był tylko jeden dom opieki, imienia Stefana Żeromskiego, toteż wybrałam się tam zaraz po lekcjach. Mijałam go wielokrotnie, ale nigdy mu się nie przyjrzałam. Dopiero teraz. Był dwupiętrowym budynkiem, zbudowanym we wczesnogomułkowskim stylu, to znaczy jeszcze z cegły, ale już z koślawością wielkiej płyty. Wokół zadbane trawniki, ławeczki, asfaltowe alejki. Pod ścianą mężczyźni grali w karty, kilku kibicowało, kobieta w kufajce zamiatała chodniki. Nie słyszałam, żeby pod jej miotłą brzęczały puste butelki po denaturacie. Może tu mieszkają spokojni, bogobojni ludzie, którym po prostu nie powiodło się w życiu? Wygrzewają się na słońcu, rozgrywają partyjki szachów, wspominają lepsze czasy i bardzo się ze sobą zżywiają. Widziałam taki amerykański film. Wprawdzie gdy go oglądałam, wydawał mi

48  
się nieprawdziwy, ale teraz nabierał w moich oczach wiarygodności.

- Gdzie mogłabym znaleźć tutaj kogoś, kogo szukam? - zapytałam enigmatycznie sprząającą kobietę. Nie zamierzałam zapytać enigmatycznie, ale tak mi wyszło. Drżenie w brzuchu nie pozwalało na sformułowanie szczerego, otwartego pytania. Oparta na miotle, przyglądała mi się, mrużąc oko przed dymem papierosa, którego nie wyjmowała z ust. Miała tyle zmarszczek, że wyglądała, jakby nosiła na twarzy siateczkową pończochę.

- Już tu jego nie ma.

- Kogo?

- Pedra.

Na chwilę znów poczułam się u wróżki. I to spojrzenie, jakbym miała rozmazany tusz. Czyżby wiadomość o infantylnym zauroczeniu pewnej polonistki rozniosła się po mieście? Uczniowie naśmiewają się za moimi plecami, a ja nieszczęsna pozostaję w słodkiej nieświadomości? Może moja twarz jest tak przejrzysta, że nie ukryje najbardziej żenującej myśli? Chryste, mam to od dawna, od zawsze? Jeżeli tak jest, zabiję się. Mój charakter z taką twarzą to byłby koszmar!

- Skąd pani wie, że szukam Pedra?

- A kto tu więcej jest? - odpowiedziała pytaniem, zataczając ręką pogładowy krąg. Zmieściły się w nim obłuszczone z farby ławki, murszejący mur i zarośnięci po oczy faceci w zanedbanej odzieży, drapiący się ze znużeniem, popluwający przed siebie, które to zachowania brałam dotychczas - z niewiadomych przyczyn - za grę w oczko. Może kobieta z miotłą lepiej niż leśna wróżka wywróżyła mi za sprawą kobiecej intuicji, że pasuję tylko do Pedra, a on do mnie?

Ale jak on może tu być dla mnie jedyny, kiedy już go tu nie ma?

- Wyniósł się. Co tu trzyma fajnego chłopaka? Poszukał lepszego życia.

Nie wierzyłam własnym uszom. Więc miał ambicje, choć podejrzewałam go o ich brak. Tylko co to za życie, do którego odszedł? A zwłaszcza z kim dzielone? Nie przesadzałabym na razie ze szczęściem.

4. Mężczyzna...

49

- Ożenił się, tak? - wygarnęłam wprost, bo nie miałam sił na dyplomację.

- Z kim niby?

Chryste! To jednak nie ma się z kim ożenić. Chyba zwariuję z radości!

- Gdzie mieszka?

- Tego nie wiem.

Przeczuwałam, że w beczce miodu pojawi się w końcu łyżka dziegciu. Jej „nie wiem” mogło równie dobrze oznaczać, że wyemigrował do Australii. Lepsze życie, które znalazł, to posada postrzygacza owiec.

- Nie wie pani?

- Na Topolowej, każdy u nas wie. Ale gdzie detalicznie, to się nie spowiadał.

Nie zwierzył się nikomu? Są granice tajemniczości nawet w Krainie Deszczowców. Czyżby nie miał powiernika oprócz mnie? Czyżbym istotnie była mu przeznaczona? Czyżby w moje życie niepostrzeżenie wkroczył przynoszący szczęście jednorożec, choć wydawało mi się, że zadusiła go swoimi rajstopami redaktorka z wydawnictwa? Na Topolową pofrunęłam na skrzydłach euforii. Wracając już autobusem, gdyż niczego nie ustaliłam. Ulica należy do najdłuższych w mieście. W każdym razie nie rozglądałam się za klęczącym na chodniku czyścibutem. Coś mi mówiło, że Pedro naprawdę zmienił tryb życia. Ambicja pozwoliła mu wyrwać się szczebelek

wyżej, może dwa, z tego dna, gdzie go spotkałam. Nie szkodzi, że nie wiem, gdzie się podziewa. Będę chodziła ulicą Topolową dzień po dniu, aż wpadnę mu prosto w ramiona.

Żeby wpaść w ramiona, nie wystarczy jednak, niestety, zapach i uroda. Tak uczyło żmudnie zdobywane doświadczenie. Przez parę dni odwiedziłam Topolową więcej razy niż w ciągu całego dotychczasowego życia. Po trzech dniach umiałabym z pamięci narysować jej plan. Na początku, za torami, stały cztery wieżowce, w których łącznie mogło mieszkać z pół tysiąca osób. Potem była nieczynna cegielnia sprzed wojny, jednorodzinny domek ze sklepem spożywczym na parterze i skrzyżowanie z Lemieszki. Dalej stał neoklasycystyczny pałacyk

50

fabrykanta, w którym miał siedzibę klub osiedlowy, naprzeciw elegancka dwupiętrowa willa z 1920 roku, kiosk Ruchu, warzywniak i trzypiętrowy blok mieszkalny. Potem było skrzyżowanie z Oryńskiego. Za skrzyżowaniem plac porośnięty nędzną trawą, kolejne osiedle wieżowców, tym razem mogące pomieścić nawet dwa tysiące mieszkańców, kino Oscar (grali „Raport mniejszości”, a potem „Ediego”), ciąg handlowy i carska rogatka, w której zainstalowała się wypożyczalnia kaset i płyt. Topolowa kończyła się zaniedbanym parkiem. Właściwie tylko co do tego parku miałam pewność, że Pedro tam nie mieszka. Skoro wybrał lepsze życie, to chyba nie w parku?

Trzeba jakoś inaczej zabrać się do szukania, uzmysłowiłam sobie. Bez koncepcji powłóczę się tylko do niedzieli. Ewentualnie jeszcze do następnej niedzieli.

Musi istnieć miejski rejestr wynajmowanych pokoi albo coś w tym rodzaju.

Do niedzieli nie znalazłam Pedra, za to uprzytomniłam sobie, że miejski rejestr na pewno jest omijany przez najemców. Nie znam się na tym, ale sądzę, że to kwestia podatków, jak zwykle. Takie czasy, że najupojniejszy romans mogą ci zepsuć podatki.

Do kolejnej niedzieli też nie znalazłam Pedra, ale uznałam, że to się właściwie nie liczy, bo w tygodniu byłam tylko trzy razy na Topolowej. Miałam radę pedagogiczną, wypełniałam arkusze ocen. Niech będzie jeszcze do następnej niedzieli, uznałam.

Dobrze zrobiłam. Następnego dnia spostrzegłam Pedra, nim wysiadłam z autobusu.

Za oknem. Szykownie ubrany, z jednodniowym zarostem, w ciemnych okularach.

Prawie jak w tym wymarzonej fordzie harrisonie. Ledwie go poznałam. Kiedy dojechałam do przystanku, zdążył zniknąć mi z oczu. Przecież go nie będę goniła, bo jeszcze zobaczy - pomyślałam i pobiegłam z wywieszonym językiem, klucząc pomiędzy przechodniami.

Gdy zziąjana dobiegłam do furki w ogrodzeniu, Pedro wchodził do domu.

Zobaczyłam ponad krzakami głogu, jak przekręca klucz w zamku i znika w drzwiach.

A potem zamarłam z otworzonymi ustami. Tak samo jak tego dnia, kiedy ujrzałam go po raz pierwszy.

51

Dom, w którym zniknął Pedro, był willą z 1920 roku. Najelegantszym budynkiem w mieście. Przed wojną należał do książęcej rodziny. Nie wiedziałam, jak się zwali i czyj był ten budynek teraz, ale co to zmieniało? Jeżeli Pedro wynajmował tam pokój, płacił za miesiąc roczny czynsz przypadający na moj stryszek. Bo przecież chyba nie był księciem właścicielem, Chryste?!

Nad basenem u Goški

Pedro stanowczo za szybko przebył tę drogę. Można dostać zawrotu głowy. Poza tym od pucybuta do milionera to prawdopodobnie jednak skrót myślowy. Nie należy

rozumieć go dosłownie. Na początku podejrzewałam, że Pedro prowadzi podwójne życie. Ukrywa prawdziwe personalia, raz jest czyścibutem, raz mieszka w superwilli, a ogólnie ma coś wspólnego ze szpiegostwem przemysłowym. Ileż ja naczytałam się wymyślnych kryminałów, których bohaterki zakochują się w tajnych wywiadowcach, nie mając oczywiście pojęcia, w kim się zakochały! Jednakże w realnym świecie najwymyślniejszy był kaskader filmowy, którego poznałam na balandze. Straszliwy wysportowany nudziarz. Nie znał tytułów filmów, mylił fabuły, rwał się do bicia z kimś, kto nie dowierzał mu, że w „Królu Lwie” też robił śmiercionośne numery. Pozostali mężczyźni w moim życiu prozaicznie nie dorastali Bondowi do pięt. Zresztą, do podwójnego życia Pedra potrzeba, żeby miał te swoje wcielenia równoległe. Rano w domu opieki doktor Jekyll, po południu na Starym Rynku mister Hyde. Albo odwrotnie. Tymczasem Pedro, zanim zamieszkał na Topolowej, skończył z przytułkiem. Jego życie biegło pojedynczym torem, choć w jakichś nieprawdopodobnych zygzakach.

Jak teraz mogłam planować związaną się z nim? Kim byłam dla niego? Zwykłą, ubogą nauczycielką. Chryste, nie przypuszczałam, że kiedykolwiek będę roztrząsała takie problemy

52

rodem z „Trędowatej”. Ten świat w ogóle nie idzie z postępem. A przecież jestem córką lekarza, mogłam być kimś! Co mnie pognało na tę kretyńską polonistykę? Zdając tam, nie chciałam jeszcze ani uczyć dzieci, ani napisać tej powieści o jednorożcu, nic. Więc po jakie лихо zdawałam? Żeby czytać te same książki, co zawsze, tylko w stresie przedegzaminacyjnym? I do czego takiego doszłam? Do gimnazjum. Normalni ludzie wychodzą z gimnazjum, żeby do czegoś dojść. Choć naturalnie nauczyciele zrobili dla świata więcej niż lekarze. Sokrates nauczył Platona, Platon nauczył Arystotelesa, a który lekarz ich wyleczył? Poumierali. Tylko co z tego, kiedy ludzie mało wiedzą o filozofach, a wiele o lekarzach. Sama nie pamiętam, kiedy urodził się Sokrates, ale wyrwana ze snu wymienię godziny, w jakich przyjmuje ginekolog Papużek. Taki nasz paskudny ludzki los, że wątroba kłuje, w dołku gniecie, zgaga piecze po smażonym - czy ktoś w tych warunkach ma czas zastanowić się, po co na przykład istnieje wszechświat? Powiedzcie sami, kiedy zastanawialiście się ostatnio nad tajemnicą bytu?

Wyżaliłam się Gośce, zgnębiona tym wszechświatem i całą resztą. Rozłożyłyśmy się na leżakach na brzegu jej basenu, była sobota rano, słońce przygrzewało, trawniki pachniały świeżo skoszoną trawą. W domu warczał odkurzacz pani Lidki. Alf wylegiwał się w cieniu, bo Gośka nie pozwalała mu zbliżyć się do basenu, żeby potem nie otrząsał się z wody. Berni konferował w sprawie swoich śmieci gdzieś na Ukrainie czy na Madagaskarze. W zasięgu mojej ręki stał stolczyk z pysznymi napojami, z których sterczały kolorowe słomki. A mnie ciągle tłukło się po głowie pytanie: I co z tego?

Na domiar złego po Gośce, ubranej w dwuczęściowy kostium, tym razem gołym okiem widać było jej idealne wymiary. Ze mną, ubraną w kostium jednoczęściowy, zachodziła sytuacja odwrotna. Było po mnie widać odrobinę za wąskie biodra, odrobinę za płaski biust, odrobinę za obfitą warstewkę tłuszcz-czyku w talii, odrobinę za chude uda. Niezadowolające elementy mojej budowy odbijały się w okularach Gośki, w wodzie basenu, w szklankach z napojami, w szybach tarasu, jakby cały świat stał się idealnie lśniący, żeby zrobić mi na złość. Powielony

53

w takich monstualnych ilościach każdy pryszcz na skórze zamienia się w

niebotyczną wadę. W garb. Siedziałam więc przybita i garbata nad basenem Goški, nie widząc dla siebie perspektyw.

- Najgorsze jest to, że moja głupota ma solidne racjonalne podstawy - wyjaśniłam Gošce z żalem. - Dlatego trudno z nią walczyć. Na przykład czekam cały czas, że on zadzwoni. Dzwoni Sebek, zdaje mi się, że to on, dzwoni mama, zdaje mi się, że to on, dzwonią ze szkoły, to samo, nawet jak miałam pomyłkowy telefon, myślałam, że to on. A on przecież w ogóle nie zna mojego numeru. Zdaje ci się, że nie da się tego logicznie wytłumaczyć? Da się! Powiedzmy, że on zrobił się ostatnio nerwowy, nie może spać, obawiając się włamania do tego wielkiego domu. Potrzeba mu jakichś pastylek, rozumiesz. I poszedł do lekarza po receptę, akurat przypadkowo do ojca. A tam na biurku moje zdjęcie. Od słowa do słowa, wziął od taty numer mojej komórki. Czy nie może teraz zadzwonić w każdej chwili? Może. Albo zgadał się z ojcem ucznia na meczu piłkarskim. „Kto go uczy polskiego? Taka szatynowata blondynka, której już odrasta pod rozjaśnieniem? Z parasolką? Znam ją! Jaki ona ma numer telefonu?”. Przecież rodzicom uczniów rozdałam numer jeszcze na początku roku. Więc może odezwać się w każdej chwili. Sama powiedz.

- Teoretycznie może - zgodziła się Goška. - Ale praktycznie chodzi o to, że wpadłaś. Cierpisz na przerost wyobraźni, a to się nazywa miłością. Przerost wyobraźni. Wiesz, dlaczego Berni jest we mnie zakochany na zabój siedem lat po ślubie? Czyli w roku kryzysowym? Bo widzi we mnie wszystkie kobiety świata. Ja nimi nie jestem, ale on je we mnie widzi, więc czuje miętę, a czując miętę, widzi we mnie wszystkie kobiety świata. Przerost wyobraźni, rozumiesz? Błędne koło.

- Tak to wygląda - powiedziałam i na chwilę zamilkłyśmy. No tak, w sumie miłość to rzeczywiście coś, co dzieje się w głowie człowieka. Taka schizofrenia. Widzi się księżąt albo księżniczki, których nie ma. Można z nimi porozmawiać, dotknąć ich, nawet wziąć z nimi ślub. Ale to schizofrenia. Goška ma rację. Miałam jednak wrażenie, że każda z nas mówi o własnych rozterkach.

54

Mój problem wymaga osobnego potraktowania. Szczególnego, analitycznego. Może chodzi o to, że Gošce brak danych?

Pociągnęłam przez słomkę zimny napój pomarańczowy, aż zaszczypały mnie zęby. Latem Goška zawsze ma zmrożone napoje, a ja mam napoje w temperaturze pokojowej, choćbym wyciągnęła je prosto z lodówki. Zimą jest odwrotnie.

- Ja go trochę śledziłam - wyznałam z zażenowaniem. - Podpatrywałam go.

- Gdzie?

- W tym domu. Przez okna balkonowe.

- Od łazienki?

- Odbiło ci!? Nawet ty nie masz balkonu w łazience. Tak tylko podglądałam. Co robi, kiedy jest w środku. Po drugiej stronie ulicy rośnie drzewo. Jeżeli ma się lornetkę...

- Podglądałaś przez lornetkę?

- Takie dziwne? Ty przez co byś podglądała? Przez masel-niczkę?

Goška usiadła na leżaku, opuszczając nogi, jakby chciała napić się napoju, ale wcale po niego nie sięgnęła. Wzruszyła ramionami, że jasne, że ona też by przez lornetkę i w ogóle się solidaryzuje, ale patrzyła na mnie, jakbym miała rozmazany... A może naprawdę mój tusz jest do bani?

Chociaż z drugiej strony sama nie mogłam się nadziwić, że wlałam na to drzewo. Nawet mniejsza o ewentualny upadek. Pod spodem jest daszek kryty papą. Ale przecież mógł mnie zobaczyć przechodzień. Obok działa klub osiedlowy i kręcą się

ludzie. Nie zdajecie sobie sprawy, ilu nieznajomych zna statystyczną nauczycielkę. Czasem na ulicy kłania mi się ktoś, kogo w życiu na oczy nie widziałam. Wezwie mnie na dywanik nasza dyrektorka i powie: „Pani Dominiko, zawiodłam się na pani. Doszły mnie słuchy, że w czasie wolnym od zajęć chadza pani po drzewach jako podglądaczka”. Co na to ja? „Pozory, pani dyrektor. W rzeczywistości uprawiam platoniczną miłość!”. A ona: „Ależ pani Dominiko, rozumiem, że zakochany Rapcu-chowicz podglądał dziewczęta w szatni po wuefie, ale żeby pani? Co rodzice powiedzą?”. „Mama obiecała, że doszuka się sensu w moim postępowaniu”. „Mówię o rodzicach uczniów, pani

55

Dominiko!”. I to jest zwykle, niestety, argument ostateczny. „Więc niech mnie pani wypisze w diabły z tego gimnazjum, pani dyrektor, które gnębi miłość, prawdę, piękno i sprawiedliwość!”. „Miłość, prawda, piękno i sprawiedliwość nie rosną na drzewach, pani Dominiko!”. Chryste, ta rozmowa śniła mi się po nocach, od kiedy tylko zlażłam.

- On tam wcale nie wynajmuje pokoju, Gośka - oznajmiłam ponuro. - On tam kogoś ma. Kobietę. Może to jej dom?

-Widziałaś?

- Inaczej bym ci nie mówiła. Myślisz, że włożę na wszystkie drzewa, które mam po drodze? Najpierw zobaczyłam go na balkonie z szalem w rękach. Z czarnej koronki, wytworny. Przymykał z nim drzwi balkonowe. Pomyślałam, że zrobiło mu się chłodno, wiesz. Stąd szal. Ale chłodno w ciepły dzień? Aż poznałam, że damski. Ten szal. Wtedy już nie mogłam się powstrzymać. Wlazłam na drzewo z lornetką...

- Skąd wzięłaś lornetkę? - zapytała przytomnie Gośka.

- Miałam w torebce.

- Przyszłaś z nią?

- No wiesz - odchrząknęłam niepewnie - przewidywałam, że nie będę mogła się powstrzymać. Widziałaś, jakie tam są wielkie okna?

- Aha. No i co dalej?

- Dalej patrzę, a w pokoju kobieta. On ją otulił szalem. Jeździ na wózku inwalidzkim i jest sporo starsza od niego. Tak na oko. Jak zobaczyłam, że na wózku, pomyślałam: Nie, nie wolno mi tego niszczyć! To wyjątkowy mężczyzna. Ale jak zobaczyłam, że stara, pomyślałam: Zrobię, co mi się podoba! Przecież to ordynarny interesowny utrzymanek!

- Kto interesowny?

- Oj, nie wiem, jak to się nazywa. Facet do towarzystwa za pieniądze.

- Aha - powtórzyła Gośka. - Nie próbuj iść z nim do łóżka. Jeszcze coś złapiesz. Zauważyłam, że jest zszokowana. To u niej rzadkie jak białe niedźwiedzie w Afryce. Odłożyła przeciwsłoneczne okulary na stolik i wskoczyła do basenu. Za chwilę wynurzyła się obok

56

mnie jej mokra głowa. Gośka przyglądała włosy, aż oblepiły jej skronie, oparła się łokciami na obmurowaniu basenu. -I nic więcej nie widziałaś?

- A co, mało?

- Ty chyba jesteś pokopana. Przecież to może być jego ciotka, którą on się opiekuje.

- Mieszkał w przytułku, gdyż wyleciało mu z głowy, że ma ciotkę z mieszkaniem?

- Byli skłóceni. Teraz się pogodzili. Czyj to dom, wiesz?

- Dowiedziałam się. To może być ona, ta z wózka. Olga Reńska, stara arystokracja. Dom należał do rodziny. Dopiero rok temu wróciła do Polski na stałe. Więc gdyby

to była jego ciotka, on byłby księciem w piętnastym pokoleniu.

- To źle?

- Nie mam przesądów klasowych, ale nie zamierzam spędzić życia, stojąc sztywno w drzwiach i witając wystrojonych gości, jak jakaś nieszczęśliwa Diana. Chcę żyć.

- Zaraz gości w drzwiach. Skąd wiesz, że by się z tobą ożenił? Teraz się nie popełnia mezaliansów - otrzeźwiła mnie Gośka i zanurkowała. Za moment wynurzyła się ponownie. - Wiem! Ona go wynajęła do opieki!

- Z przytułku. „Przyślijcie jakiegoś menela, który mnie zarznie dla pierścionka!”.

- Coś ty? - Dłonie Gośki poślizgnęły się z wrażenia na basenowych kafelkach, woda prysnęła w moją stronę. - Myślisz, że on byłby ją w stanie zarzącać?

- Nie chodzi o to, że byłby, tylko co ona mogła myśleć. Wzięłaby kogoś pewnego.

- Może zna jego rodzinę?

- Rodzina w przytułku?

- Cholera z tym przytułkiem! - zirytowała się Gośka. - To może z ogłoszenia?

Chyba ogłoszenie wolno dać, będąc w przytułku, nie? Nie sprawdziłaś, gdzie on się obraca?

- Sprawdziłam. Poszłam za nim trzy razy. Kiedy był pieszo. -I co?

- Kupuje dużo gazet, poza tym zachowuje się jak normalny człowiek.

57

- Dziennikarz?

- Dziennikarz pisze gazety, a nie kupuje. On w ogóle nie pja-cuje, nigdzie.

Odbiera jakiś zasiłek. Zaglądał też do szpitala, może w związku z nią?

- Wiesz, co myślę, Do? - powiedziała Gośka, siadając na brzegu basenu i wycierając się wielkim żółtym ręcznikiem. Alf wyszedł z cienia, szczerką, truchcikiem pobiegł w stronę domu. Słońce lśniło na wodzie jak wielki diament. - Koniecznie musisz zapoznać się z tym facetem.

- Koniecznie?

- Inaczej długo nie pociągniesz. Przerost wyobraźni cię zabije. A tak ustalisz sobie, co i jak, i będziesz miała spokój. Przejdzie ci jak ręką odjął.

- Myślisz?

- Dziewięćdziesiąt procent facetów tak ma, że zamieniasz z nimi słowo i ci mija.

- Raz już zamieniłam. A jeżeli on należy do dziesięcioprocentowej mniejszości?

- Wtedy przyjdziemy tu jeszcze raz i utopię cię w basenie, żebyś się nie męczyła.

Poleżałyśmy nad basenem do trzynastej. Nie pozwoliłam Goście odwieźć się do domu.

Kiedy wyszłam z jej ogrodu na ulicę, z nieba lał się sobotni czerwcowy przedwakacyjny żar. Coś załaskotało mnie w sercu, zawróciłam do furtki. Pani Lidka otworzyła mi drzwi z miotełką do odkurzania w ręce, jak w filmowej komedii z życia wyższych sfer. Ale to nie była żadna komedia. To było moje najprawdziwsze życie. Powiedziałam jej, że jeszcze czegoś zapomniałam, i pobiegłam na górę. Gośka szykowała kąpiel, żeby zmyć z siebie ekskluzywne kremy do opalania z komputerowo dobranymi filtrami. Siedziała goła na brzegu wanny, rozbełtując ręką puszystą pianę. Wparowałam do niej ze wskazującym palcem wystawionym karcąco przed siebie.

- Nazwij to, jak chcesz! - wygarnęłam od progu, jak miała w zwyczaju ona. -

Nazwij to, jak chcesz, Gośka, ale to nie jest schizofrenia! Wiem na pewno!

A potem dumnie wyszłam z jej domu jeszcze raz. Gośka zdążyła tylko zakryć się

pośpiesznie rękami. Jakby mój nie-  
58

spodziewany atak uświadomił jej, że jest naga i bezbronna. Ten nieoczekiwane wstydlivy gest wcale mnie nie rozśmieszył, choć innym razem rozśmieszyłby mnie. Dopiero idąc w stronę przystanku autobusowego, uświadomiłam sobie, że Gośka mówiła o przeroście wyobraźni. Słowa „schizofrenia” użyłam ja sama w skrytości duszy, a ona nie miała o tym fakcie bladego pojęcia. Niedobrze, zaczynam boksować się sama ze sobą, kopiąc przy okazji niewinnych widzów wokół ringu.  
Koniec roku

Nauczyciele nie mogą być normalnymi ludźmi, skoro koniec roku obchodzą w jego połowie. Innym koniec roku kojarzy się z nocnym kuligiem, mrożonym w zaspie szampanem, śniegiem kolorowym od fajerwerków. Mnie koniec roku kojarzy się z drętwą mową naszej pani dyrektor, zaduchem więdnących kwiatów i spoconym, nudzącym się na szkolnym boisku tłumem dzieciaków i rodziców. Nie dałoby się tego wytrzymać psychicznie, gdyby nie to, że potem następują wakacje. Pierwszy ich miesiąc miałam przepracować na półkoloniach w naszej szkole, a w sierpniu planowałam wyskoczyć z Sebkiem do Paryża na dziesięć dni. Byłam w Paryżu tylko raz z wycieczką i od tamtego czasu bez przerwy miałam ochotę wrócić nad Sekwanę, zjeść bagietkę w parku, posłuchać akordeonu na placu przed katedrą. Ratowałam się namiastkami. Postawiłam sobie na biurku miniaturową wieżę Eiffla z plastiku, puszczałam w kółko Edith Piaf i Yves'a Montan-da, zaprenumerowałam w księgarni dzieła Moliera w sześciu tomach ozdobnych, kupiłam sobie „Amelię”, jak tylko wyszła na kasecie. Czytuję też komiksy o Asteriksie w oryginale. To znaczy, szczerze mówiąc, oglądam obrazki, ponieważ dymków prawie nie rozumiem. Zapiszę się na francuski, kiedy znajdę trochę czasu. Przynajmniej tyle zyskam, że odtruję się z zalewającej nas angielszczyzny. Nie licząc poręcznego powo-  
59

du, żeby zrezygnować z feeling teung. Po co mi wymiary w Paryżu? Tam każdy ma powodzenie!

Od dziewiątej rano siedziałam w pierwszym rzędzie na wprost szkolnej estradki, ubrana jak na „Carmen”, tylko z białym kołnierzykiem zamiast srebrnego łańcucha. Bez rajstop, bo upał. I bez czerwonej apaszki. Styl nobliwy. Najpierw produkowała się dyrektorka. Wypowiedziała chyba wszystkie złote myśli, jakie pasowały do okazji. Przeważnie cudze, poczynając od Sokratesa, którego pomyliła z Kartezjuszem. Początek roku szkolnego i koniec roku szkolnego to jedyne chwile, gdy nasza pani dyrektor obcuje z filozofami.

Następnie II d zaprodukowała się w specjalnie przygotowanym programie artystycznym. Tak zapowiedział Rapcuchowicz, choć przez ostatni miesiąc uczyłam go, żeby nie mówił „specjalnie przygotowany”, ponieważ wynika z tego, że można też program artystyczny przygotować niechcący. Z tym że Rapcuchowicz prowadził konferansjerkę rapując, co wiele tłumaczy. Towarzyszył mu chórek klasowych koleżanek, które nosiły wprawdzie skąpe mini, ale nie rzucało się to w oczy, gdy podrygiwały na estradce ponad nami. Polonista Błażej, siedzący obok mnie, krztusił się przy każdej zmianie choreografii. Facet pod czterdziestkę. Dawniej wydawało mi się, że pedagogowie ogólnie są lekkimi erotomanami i ma to źródło w codziennym obcowaniu z nieletnimi. Aż zrozumiałam, że wszyscy faceci to mają. W każdym razie słynne dziewięćdziesiąt procent, którym uwielbia podpieierać swoje teorie Gośka. Siedziałam sobie w tym pierwszym rzędzie ciut nieobecna i zastanawiałam się, co mnie właściwie różni od polonisty płci męskiej? No chyba nic? Cóż to wysublimowanego ciągnie mnie do tego całego Pedra, oprócz tak

zwanego zwierzęcego pożądanego? Pospolity instynkt przedłużenia gatunku. To samo, czym kierują się te wszystkie ameby Sylwii. Czy inne płazińce. Jak mogą zwać pierwszy lepszy ordynarny popęd miłością? Brwi zrastające się nad nosem i dyskusja na temat cennika czyszczenia butów. Nawet Szekspir nie wykrzesałby z tego love story. Może nie ma już dzisiaj wielkich uczuć? Taki czas. Nie Szekspir, tylko teledysk. Mignęło, huknęło, oczarowało i zmiana kanału. Nie wiadomo, kto śpiewał, nie wiadomo, dlaczego ładne, nie

60

wiadomo, krótkie czy długie. Wiadomo, że w Luwrze tego nie powieszają, a jutro będzie nowe i ładniejsze. Tyle że wpadnie w ucho i obija się człowiekowi po głowie. Najlepsze lekarstwo na zapomnienie: szybciej operować pilotem. Dostałam naręczę kwiatów, więc Błażej podrzucił mnie po drodze do domu swoim malutkim dannydevito, który krztusił się ze strachu przed każdym skrzyżowaniem. Otworzyłam drzwi plecami i szłam po schodach, wymacując stopnie na ślepo, gdy wtem w mojej torebce odezwała się komórka. Mimo fatalistycz-nych rozważań o teledyskach z Szekspira (co brzmi jak schabowy z tartej bułki), od razu pomyślałam, że może jednak zakochany Pedro. Mógł dostać mój numer jeszcze od sprzątaczkę przed przytułkiem. Choć nie wiem, skąd ona go wzięła. Spróbujcie odebrać telefon, kiedy stoicie w połowie stromych schodów i trzymacie przed sobą górę kwiatów. Z czego większość to róże, które kłują w twarz przy najmniejszym ruchu. Słodka uczniowska zemsta.

Ambitnie chciałam znaleźć pod pachą torebkę pośród tego kwiatowego korso. Wymacałam coś łokciem, ale to była poręcz. Podtrzymałam kwiaty kolanem, modląc się, żebym zdążyła odebrać, zanim dzwoniącego przepłoszy moja poczta głosowa. Nie dałam rady na jednej nodze bez patrzenia wymacać klawisza OK. Nawet nie wymacałam komórki. Jedyne torebkę wymacałam, która była pod inną pachą, niż mi się zdawało. Z tego zaskoczenia straciłam równowagę i zaczęłam osuwać się po ścianie w dół. Już widziałam, jak leżę zagipsowana na wyciągu, a nieodebrany telefon wciąż dzwoni i dzwoni. Coraz szybciej przebierałam nogami do tyłu, usiłując złapać równowagę, a kwiaty sypały się ze mnie jak z rozpędzonego karawanu. Nie wyrobiłam się przed podestem półpiętra. Wjechałam na niego poślizgiem lewą piętą. Płaskie podesty mają to do siebie, że zakłócają wypracowany na stopniach rytm. Reszta moich kwiatów poleciała pod sufit niczym kolorowy wodotrysk. Kwiatotrysk. Ja sama zaś machnęłam rękami do tyłu w geście ostatecznej rozpaczy.

Telefon nadal dzwonił żałobnie. I szczekał pies, którego nie dostrzegłam. A pachniało do zawrotu głowy, jak w ogrodach Semiramidy.

61

Które wisały na wysokości.

Uratował mnie spadającą z tych ogrodów pan Zenobiusz, sąsiad z trzeciego piętra. Emerytowany księgowy. Wracał ze spaceru z jamnikiem, toteż na półpiętrze wpadłam prosto w jego sąsiedzkie ramiona. Popatrzył ze stoickim spokojem na kwiatowe pobojowisko ciągnące się od połowy schodów, na leżącą wśród połamanego kwiecica torebkę i but, i na mnie w jednym bucie, mokrą ze strachu.

- Pewnie komórkę pani odbierała, pani Dominiko? - zagadnął szarmancko. - To jeszcze nic. Mnie kiedyś zadzwoniła, jak zabijałem karpia na Wigilię. Z życzeniami. Ledwie mnie odratowali.

- Dziękuję panu - wybełkotałam.

- Niech pani nie dziękuje. Niech pani odbierze.

Gdyż wciąż dzwoniło w leżącej torebce. To był Sebek. Nie żaden Pedro, tylko

zwyczajny Sebek. Jak mogłam się na niego nie wściec w tej sytuacji?

- Dlaczego dzwoniisz o tej porze? Przecież wiesz, że mam dzisiaj zakończenie roku!

- Myślałem, że już skończyłaś to zakończenie - wyjaśnił skruszony Sebek.

- No bo skończyłam!

- To może zadzwonię za chwilę?

- Skoro już odebrałam, mów - zgodziłam się łaskawie. -Tylko streszczaj się, kwiaty mi wędzną bez wody.

Krótko mówiąc, Sebkowi chodziło o to, że jeżeli już skończyłam rok szkolny i nie muszę na jutro poprawiać zeszytów ani pisać konspektów, może byśmy spotkali się wieczorem. Co mi szkodziło spotkać się wieczorem z Sebkim? Przecież nie będę analizowała w samotności życia uczuciowego ameby. Zgodziłam się nawet, żebyśmy spotkali się u mnie.

- Przynieść coś do picia? - zapytał uszczęśliwiony Sebek. Może jednak jeszcze trochę mu na mnie zależało?

- Kup wino - powiedziałam. - Czerwone. I w ogóle zabierz wszystko, co trzeba.

Miałam nadzieję, że pojął aluzję. Sebek jest jedynym znanym mi facetem, który pyta, czy przynieść coś do picia. Inni

62

przynoszą bez pytania. Niektórych trzeba z tego powodu przywoływać do porządku. Marek, mój były, podrywał mnie na winną piwniczkę swojego ojca i świeże mule. Zestaw francuski. To mnie wzięło. Kto wie, gdybym przed laty na wycieczce nie zapalała miłością do Paryża, może moje życie uczuciowe potoczyłoby się znacznie łagodniej?

Jeżeli jestem zdrowa, nigdy nie bywam w domu w dzień powszedni przed dwunastą. Jestem wtedy w szkole. Tymczasem dzisiaj włożyłam kwiaty do wazonów, wyrzuciłam te połamane na schodach do kosza, wyniosłam śmieci, zmyłam naczynia, włączyłam pralkę, sprawdziłam, czy mam w lodówce pizzę na obiad, i była dopiero jedenasta czterdzieści siedem. Jeszcze nigdy tak mi się nie dłużyło. Nie wiedziałam, jakim cudem doczekam do dziewiętnastej, kiedy to zjawi się Sebek z czerwonym winem. Na pewno z niezłym, bo w takich wypadkach Sebek nie oszczędza. Zastanowiłam się, czy nie wyskoczyć do marketu po coś ekstra do wina, ale byłam pewna, że wszystko do wina Sebek przyniesie także. Jeśli mus, sama potrafię upichcić coś wspaniałego, ale żeby o to dopraszała, to nie. On o tym wie.

Zrobiłam parę ćwiczeń f?? ling teung, ale nie szły mi. Nie mogłam skoncentrować oddechu. Przejrzałam kolorowy „High Life” z zeszłego tygodnia. Na okładce była Asia Robótek topless, aczkolwiek newralgiczne jej punkty przesłaniał wąż boa owinięty na ramionach. Asia Robótek stała w rozkroku w podkasanych džinsach i w żółtej czapeczce bejsbo-lówce. Z zamaszystym skrzętem tułowia unosiła ponad głowę kij do golfa. Nie rozpoznałam numeru kija. Nigdy nie potrafiłam się tego nauczyć, mimo że spotykałam się swego czasu z chłopakiem, któremu na tym zależało. Żeby mnie nauczyć gry w golfa. No, powiedzmy, żeby mnie uczyć. Niezależnie od efektu. Przypomniałam sobie, że widziałam już Asię Robótek w reklamie wody mineralnej. Albo dziewczynę do niej podobną. Miała tylko inną fryzurę, krótką i nastroszoną na żel w języki. Na pewno widzieliście tę reklamę. Ona szykuje się do wyjścia na randkę, stroi się, maluje, zabiera do torebki puszkę zwykłego pi-

63

wa bezalkoholowego i biegnie do drzwi, a wtedy stojąca na stole butelka wody

mineralnej pieni się, wytryska, obryzguje ją od stóp do głów i woła: „Hej, chyba mnie nie olejesz?!”. Szczerze mówiąc, takie sobie.

Moja ulubiona reklama jest inna. Droga widziana z góry w sinej, nocnej poświacie, wiatr zawiewa liśćmi, w dali wzburzone morze. Pomiędzy drzewami przedziera się dziewczyna w długiej śnieżnobiałej sukni. Jakby ślubnej. I wtedy na wzgórzach zapala się latarnia morska. Jej ciepły rozproszony blask unosi się ponad asfaltową szosą niczym świętojańskie robaczki. Po prostu piękne. Nie pamiętam tylko, czego to reklama.

Chociaż, powiem wam, Sebek był oburzony, że mogę mieć swoją ulubioną reklamę. Z niego jest jednak sztywniak. Gdybym miała ulubioną operę, nie widziałby w tym niczego niestosownego. Nie oburzyłby się. Nawet by nie zwrócił uwagi. A w końcu więcej ludzi ma swoją ulubioną reklamę niż operę.

Włączyłam telewizor przez ciekawość, bo nigdy nie widziałam, co oni tak wcześniej pokazują. Trafiłam na pokaz mody jesiennej. Modelki paradowały w futrach z włóczki z trenami, w pawich piórach we włosach, w butach z ostrogami, w przezroczystych gorsetach, blaszanych czapeczkach, wyglądało to trochę niesamowicie, ale podobało mi się. Nagle pojawiła się Asia Robótek z policzkami pomalowanymi na zielono. Powiedziała, że to nie jest oczywiście kolekcja do biura, tylko na odjazdową imprezę, ale jak zna Ceza-riusza, dyktatora od tych strojów, byłby on przeciwko sztucznemu podziałowi na pracę i rozrywkę. Przestałam jej słuchać na wszelki wypadek, ale wyglądała naprawdę fajnie.

Kim jest Asia Robótek? - zastanowiłam się. Wyglądało na to, że wszyscy ją znają, tylko ja nie. Dawniej nadażałam. Chryste, jakże straszliwie zapuściłam się przez te niekończące się włóczki po Topolowej! Otworzyłam „High Life”, żeby sprawdzić. W środku numeru też nie napisali. Obok zdjęć na polu golfowym była tylko notatka, że lato Asia Robótek zamierza spędzić ze swoim mężczyzną na Karaibach. On namiętnie fotografuje pod wodą, a ona zamierza w tym czasie

64  
korzystać ze słońca. Wieczorami będą tańczyć na plaży wśród krajowców, pijąc energetyzujące tamtejsze drinki. Więc nie tylko nie ustaliłam, kto to taki Asia Robótek, ale jeszcze zabili mi klina z drinkami. Nie miałam pojęcia, jakie są tradycyjne karaibskie drinki.

Postanowiłam wyjść na świeże powietrze, żeby nie rozbolała mnie głowa przed spotkaniem z Sebkiem. I jakoś tak się stało, że zawędrowałam dalej, niż planowałam. Znalazłam się na Topolowej. A tam znowu tak się stało, że wpadłam prosto na Pe-dra. Co to mogło być, jeżeli nie znak z nieba?

- Sorry - powiedziałam i wtedy go poznałam. A on, zdaje się, poznał mnie.

Miał na sobie koszulkę bez rękawów, białe spodnie, wąskie okulary przeciwsłoneczne, powyżej których jego brwi zrastały się nad nosem. Jego kruczoczarne włosy lśniły lekko od potu. Czułam też jego słoneczny, pszeniczny zapach i nie powstrzymałam się.

- Pamiętasz mnie? - zapytałam. - Kiedyś się spotkaliśmy. Czyściłam u ciebie buty. Intrygowało mnie, czy zaczniesz wypierać się pucybuctwa. Gdyby wiódł podwójne życie, powinien się wyprzeć. Ale nie. Patrzył na mnie z uśmiechem, kiwał głową, że mnie pamięta, niemniej nie byłam tego pewna.

- Targowałam się o cenę - podpowiedziała mu szybko, żeby się nie rozmyślił, że mnie pamięta.

- Tak? Tego nie pamiętam. - Pokręcił głową przecząco. - Pamiętam, że miałas

najbardziej zajęty wieczór w życiu. Udał się?

Chryste! Naprawdę mnie pamiętał! To więcej, niż mogłam się spodziewać.

- Wcale się nie udał - odpowiedziałam. - Ani trochę. - Naprawdę? Byłbym hipokrytą, gdybym powiedział, że

mnie to martwi. Dzięki temu mogę powtórzyć pytanie. Czy dziś też masz zajęty wieczór?

Pomyślałam w popłochu o Sebku. Potem pomyślałam w równym popłochu o tej podstarzałej księżnej na wózku. Potem pomyślałam, nadal w popłochu, o czymś, czego nawet nie

5. Mężczyzna.

65

potrafiłam nazwać. A potem ze spokojem pomyślałam: Co mnie to wszystko obchodzi?

- Nie - odpowiedziałam. - Dzisiaj mam wolny wieczór. Dzisiaj mam najwolniejszy wieczór w życiu.

Randka w teorii

Chryste, gdybym wiedziała, że to będzie takie proste!... Spotkamy się? Spotkamy się! Koniec końców wszystkie randki są proste, kiedy już zaliczają się do optymistycznej grupy randek za-klepanych. Chwilę wcześniej jednak zaliczają się jeszcze do wielkiej tragicznej armii randek niedoszłych do skutku. Armii pobitej i żałosnej jak armia napoleońska wracająca spod Moskwy w śnieżną zawieję. Ileż randek niedoszłych do skutku miałam na koncie! Randka z Bruce'em Willisem w podartym podkoszulku w czwartej klasie podstawówki. Randka z Olgierdem Łukaszewiczem, któremu brwi zrastają się modelowo, ale ze zdumieniem stwierdziłam jako trzynastolatka, że jest starszy od swoich bohaterów, w których zakochiwałam się widać długo po premierze. Moja pierwsza randka z Januszkiem Zerkiem, którego mama nie puściła, a ja zapłakałam się na śmierć. Randka z facetem nieznanego mi imienia, którego pół godziny wcześniej zwinęła policja (ongis byłam ryzykantką w doborze znajomości, ale o tym facecie naprawdę nie miałam pojęcia, że taki kryminalny). Większości randek nie żałowałam po latach tak żarliwie jak podówczas, na gorąco, ale niektóre mogłyby dojść do skutku. Zwłaszcza ta z ??????? Willisem. On jest spod znaku Ryb. Uwielbiam Ryby i Strzelców.

Kiedy tylko znalazłam się w domu, po spotkaniu z Pedrem na Topolowej, wykręciłam numer Gośki. Dochodziła piętnasta. - Już! - wrzasnęłam do słuchawki. - Wyobraź sobie, że jestem z nim umówiona! Dzisiaj o wpół do dziewiątej w Krasce.

Kraska to klub Crime Scenę w nowym centrum. W skrócie Kraska. W naszej szkole zdania o nim są podzielone. Nauczy-

66

ciele poniżej rocznika sześćdziesiątego uważają, że już sama nazwa demoralizuje młodzież, nauczyciele powyżej tego rocznika nie mają opinii. Ja sama lubię Kraske, ponieważ grają tam jazz. Moje najbardziej udane randki kojarzą mi się z jazzem.

- Horror! - powiedziała Gośka.

Wprawdzie powiedziała to jakby z lekkim podziwem, ale od razu mnie zdenerwowała.

Jak się nie wie, co powiedzieć, najlepiej nic nie mówić. Gośka zawsze była podejrzliwa, kiedy nie ona mnie wyswatała. Niby popierała, popychała do zacieśniania znajomości, ale im dalej w las, tym stawała się czujniejsza.

Uważała, że moje rozleciane małżeństwo potwierdza jej teorię, gdyż Marka sama znalazłam. Ale z tymi trzema czy czterema, których ona mi znalazła, rozleciałam się jeszcze długo przed ślubem. Tego nie zauważyła? To z kim byłam bardziej

dobrana, z Markiem czy z nimi?

- Proszę, proszę! - powiedziałam z przekąsem. - Dlaczego aż horror?

- Tylko nie daj się skonsumować na dobry wieczór - ostrzegła Gośka, ignorując moje pytanie. Zdążyła widocznie nabrać obsesji. - Jeszcze coś złapiesz.

- Od kiedy jesteś moralistką? - zapytałam. - Mogłabym od ręki wymienić ci całą listę imion męskich, których Berni nie zna. I co, złapałaś coś?

- Ale ja jestem rozsądna, a ty nie.

- To, przed czym mnie ostrzegasz, to nie są chyba choroby umysłowe, żeby atakowały ośrodki rozsądku w mózgu? - powiedziałam z lodowatą ironią, choć nie byłam przekonana co do poprawności tego zdania. Zwłaszcza gdy idzie o przydawkę. A zresztą może i dobrze?

- Znajdujesz się w takim stanie, że u ciebie wszystko jest teraz psychiczne. Do.

- Może w ogóle mam nie iść, proszę? - wściekłam się. - To cię ucieszy, proszę?

- To mnie nie ucieszy, ponieważ namawiam cię od początku rozmowy, żebyś szła. Zatkano mnie na moment, ale odzyskałam dech.

- Dziwne, że nie dotarło do mnie, że mnie namawiasz.

67

- Toteż mówię: już mało co do ciebie dociera. Po co kazałabym ci uważać z facetem, gdybyś miała nie iść? Przed telewizorem ryzykujesz najwyżej zaćmę. Na razie nic kompletnie o nim nie wiesz. Ani ja. Nie licząc rysopisu, odpukać. Być może faktycznie była bardziej rozsądna. W każdym razie na tę jedną chwilę, albowiem pamiętam czas, kiedy chciała rozwieść się z Bernim dla jakiegoś bankowego cwaniaka. Wtedy to ja przepowiedziałam jej rozsądnie, że za miesiąc wróci do Berniego, tylko że znajdzie go wiszącego na którymś z krawatów, które mu bez przerwy kupuje. No, wprawdzie Gośka też wykazała odrobinę rozsądku, bo mi uwierzyła. Dzisiaj jednak jej rozsądek posiał we mnie w końcu zwątpienie. Nie zauważyłam tego od razu, odłożywszy telefon. Najpierw zorientowałam się tylko, że nie mogę zjeść na obiad pizzy, ponieważ jest z czosnkiem. Za to znalazłam jeszcze trzy jogurty w lodówce, więc uznałam, że wystarczą. Nie miałam głowy do obiadu. Potem zaczęłam wybierać kreację na wieczór i wtedy dopadły mnie rozterki.

Stałam przed lustrem w samych majtkach, myśląc: Pójdę, założmy. Założmy, że odsiedzimy godzinę czy dwie, nie znudzimy się sobą nawzajem. Założmy, że będzie miło. Założmy, że ta znajomość okaże się nie na jeden raz, bo przypadniemy sobie do gustu. Założmy, że wkrótce zakochamy się w sobie do szaleństwa. Nie będzie miłosnego dramatu, łez, rozstań. Któregoś dnia zaczniemy myśleć o wspólnej przyszłości, założmy. Wszystko pójdzie jak po maśle, oświadczyny, zaręczyny, pierścionek, ślub. Aż tak, założmy. Będziemy mężem i żoną, założmy. Przecież już raz to zaliczałam. Niczego się nie nauczyłam? Przecież pies, który dostanie kijem, już zawsze ucieka na widok kija. A ja, która jestem nieporównanie inteligentniejsza od psa, nie? W imię czego? Miłości? A może miłość nie istnieje, może to złudzenie, oszustwo, pobożne życzenia, żeby sprawy nie wyglądały ponuro. Żeby nie wydało się, że tak wyglądają w istocie. Może będąc z Markiem, odkryłam ogólną prawdę, której nie chcę zaakceptować? Czy opłaca się walczyć przeciwko prawdzie, skoro można wygrać kawę ze śmietanką, kieliszek wina, orzechowe ciastko, a przegrać całe życie i resztę złudzeń?

68

,"

Założmy, że da się żyć bez złudzeń. Ale założmy, że może nieprawda, że da się tak żyć. Dlaczego mam ryzykować? Założmy, że stoję na środku stryszku w majtkach

z serduszkciem. Założmy, że nie wiem, co mam zrobić. Ale założmy, że wybiorę zaćmę przed telewizorem. Na pewno jest jakiś fajny serial. Codziennie jest jakiś fajny serial, założmy. Jeżeli się zawezmę i się wciągnę w akcję, założmy, nawet nie zauważę, kiedy minie wieczór. Nawet nie pomyślę o tej zarwanej randce. Jutro sobie pomyślę, że mogłam jednak lepiej pójść. Ale pojutrze zapomnę, że wczoraj tak pomyślałam, założmy. Kupię sobie tę rybkę w szklanym słoju, bo ileż można odkładać prosty zakup? Przecież nie przymierzam się do nabycia pałacyku nad Loarą, założmy. Założmy, że z tą rybką stworzę udane stadło i będę sobie żyła, jak żyłam dotąd. Czy moje życie było złe? Czy skarżyłam się na coś jeszcze miesiąc temu czy dwa miesiące? Czy nie jestem urodzoną optymistką? Czy płakałam częściej, niż płacze statystyczna dziewczyna w wieku dwudziestu pięciu lat, której wymiary nie są idealne, ale bliskie zadowalającego wyniku? Czy nie lepiej żałować, że znajomość nie doszła do skutku, niż tego, że znajomość rozwinęła się i trwa, założmy? Czy muszę się podpierać nieznanym facetem, żeby spełnić się prywatnie i zawodowo? Czy nie mogę poprowadzić kółka recytatorskiego i czerpać satysfakcji z licznych nagród, zdobywanych przez moich podopiecznych na konkursach krajowych, a może i, założmy, zagranicznych? Gdzie jest powiedziane, że taki styl życia nie daje radości? Gdzie jest sens w narzucaniu uczuciom ograniczeń, skoro można kochać cały świat, a nie pojedynczą osobę? I gdzie jest bordowa bluzeczka bez rękawów, w której wyglądałabym szalowo w świetle kinkietów, gdybym jednak poszła na tę randkę do Kraski, założmy? Bo niezależnie od wszystkiego, dlaczego, założmy, mam nie iść? Przecież nie muszę jutro wychodzić za mąż po raz drugi. Nie muszę w ogóle wychodzić za mąż, jeśli nie zechcę. Może rozwija się we mnie jakaś choroba i umrę, zanim wyjdę za mąż. W końcu jestem optymistką, założmy!

Jeszcze raz wybrałam numer Goški. Odebrała chyba w gabinecie Berniego, bo plimplało. U Berniego plimpla komputer,

69

w Którym Goška stawia sobie pasjans. To takie melodyjki, które się włączają, kiedy pasjans wychodzi.

- Jednak zdecydowałam się pójść do Kraski! - oświadczyłam.

- A co, miałaś nie pójść?

- A miałam pójść? - zdziwiłam się.

- Dwie godziny temu dzwoniłaś powiedzieć mi, że idziesz.

- No i słusznie, że dzwoniłam, bo właśnie idę - powiedziałam. - Chociaż dopiero teraz się zdecydowałam.

Wzięłam prysznic, umyłam głowę, wyszorowałam zęby. Bordową bluzeczkę znalazłam w szafie na półce z zimowymi podkoszulkami. Nie wiem, dlaczego nie położyłam jej na swoim miejscu. Była wyprana, gotowa do włożenia, więc nie zastanawiałam się nad tym. Do niej zdecydowałam się dobrać spódnicę za kolana. Oczywiście zmieniłam majtki z serduszkciem na czarne i wzięłam koronkowy stanik. Bordowa bluzeczka ma dekol w sam raz do niego. Początkowo chciałam założyć czółenka, ale wymyśliłam, że lepsze będą czerwone na wysokim obcasie. Bordo z czerwienią początkowo mi nie grało, chociaż to nie jest takie dosłowne bordo. Gdzeniegdzie przetykane pomarańczową nitką, która nadaje mu połysk. Przypomniałam sobie wskazówkę pani Zdzisi, która uczy plastyki w naszym gimnazjum: „Jeżeli nie współgra, nie ujmuj. Dodaj”. Tyle że pani Zdzisia jest starszej daty, więc nie wszystko, co radzi, współgra. Zaryzykowałam i dodałam duże czerwone korale. Racja. Było znacznie lepiej. Włosy zaczesalam za uszy, bo wtedy prezentują się czadowo. Włosy i kolczyki w kształcie amfor też się prezentują. Potem zdjęłam

jednak korale. Z nimi wychodziło jakieś disco polo. Zamieniłam je na czarny wisior z rubinowym szkłem. Błyszczał w ten sam sposób co bluzeczka i już było ekstra. Musiałam znowu uczesać się, bo zniszczyłam fryzurę, wymieniając trzy razy korale na wisior. Zmieniłam też spódnicę na brokatową. Bałam się, że przesadziłam, bo teraz przy każdym ruchu mieniłam się jak kałuża benzyny. Ale podobało mi się to. Gdybym miała czas, zrobiłabym sobie jeszcze włosy na pomarańczowo. A przynajmniej na ostry rudy. I założyłabym na szyję jaskrawozielone boa, którego też nie miałam. Ale dobre i to, co

70

miałam. Wyglądałam po wariacku, podobało mi się to. Dotychczas Pedro widział moje stateczne wcielenia pedagogiczne. Niech pozna smak raj! Bruce Willis by się mnie nie powstydział w sercu Los Angeles. Jeżeli jesteś zadowolona z siebie, to randka już się właściwie udała. Faceta prawie nie potrzeba. Chyba żeby nie przyszedł. To wtedy wszystko popsuje.

Chryste, gdyby Pedro się nie zjawił, wyszłabym na kompletną idiotkę. Na taką, co zawsze trafia kulą w płot, gdy chodzi o facetów. Od męża po przypadkowe towarzystwo w lokalu. Przecież go nie znam. Może należy do tych, którzy mówią co innego, a robią co innego? Nienawidzę niesłowności! Dlaczego to musiało trafić akurat na mnie, jak dziecko pani Kryńskiej? No oczywiście, jeżeli tak będzie. Bo może tak nie będzie. Pedro na pewno przyjdzie. Dlaczego ma nie przyjść, skoro sam zapraszał? Jeżeli nie przyjdzie, powiem mu wprost: „Niestety, mój drogi, widzę, że niczym nie różnisz się...”. Od kogo albo od czego? To powinno być coś, żeby mu w pięty poszło! Zresztą wszystko jedno. Jeżeli nie przyjdzie i tak mu nic nie powiem. Nie będzie komu powiedzieć. Będę stała sama na środku Kraski i błyszczała się jak głupia.

Aha, zapomniałam jeszcze wspomnieć o makijażu. Jestem w nim dobra. Zrobiłam sobie wyraźne kości policzkowe, ciemniejsze powieki na błyszcząco, usta bordową szminką. Styl wampowaty z lekka. Kiedy jestem na wysokim obcasie, mogę sobie na to pozwolić. Bo na płaskim jestem trochę za niska. Na płaskim preferuję dyskretniejszy mejkap. Ale do tych dzisiejszych błyskotek było w sam raz. Miałam nadzieję, że Pedro nie przyjdzie w koszuli bez rękawów, w której go spotkałam. A jeżeli jednak przyjdzie w niej? Wtedy też wyjdę na idiotkę. Może lepiej przebrać się po codziennemu? Ale jeżeli on z kolei przyjdzie elegancki? Skąd mogę wiedzieć, jakie są jego obyczaje?

Włożyłam buty, żeby już mieć pełen pogład, i stanęłam przed lustrem, zastanawiając się, czy lepiej wyjść na idiotkę w takiej kreacji czy po codziennemu. I wówczas rozległ się dzwonek do drzwi.

W drzwiach stał uśmiechnięty Sebek z winem w jednej ręce, z wypchaną reklamówką i kwiatami w drugiej.

71

- Nie spóźniłem się? - zapytał.

Sebek nigdy się nie spóźnia i zawsze dopytuje się, czy się nie spóźnił. Chyba tylko po to, żeby potwierdzać jego punktualność. Więc odruchowo pokręciłam głową, że nie, nawet nie patrząc na zegar. Wiedziałam tylko, że nie ma jeszcze wpół do dziewiątej, na którą się szykowałam. Ale też nie wiedziałam niczego ponadto. Ścięło mnie z nóg. Byłabym chętnie sama siebie zamordowała za to, że zapomniałam o Sebku.

A on wkroczył do środka, pocałował mnie bezceremonialnie w policzek, popatrzył z rozmarzeniem na mój wypracowany imydz i powiedział:

- Pięknie wyglądasz!

Godzina i siedemnaście minut

Kiedy Sebek usiadł na mojej kanapce, była dziewiętnasta trzy. Tym razem sprawdziłam na zegarze. Żeby zdążyć do Kraski, powinnam zamówić taksówkę na dwudziestą piętnaście. Jeżeli zamówię ją na dwudziestą dwadzieścia, spóźnię się parę minut i Pedro zaczeka, co wypada lepiej, niż gdybym ja była za wcześnie i czekała. Jeżeli zamówię ją na dwudziestą dwadzieścia pięć, będę pewna, że nie zjawię się pierwsza, ale kto mi zaręczy, że on poczeka tak długo? Ze swoimi brwiami nie musi czekać na kobiety przy pustym stoliku. Więc najmniej ryzykowna jest dwudziesta dwadzieścia.

Z czego wynika, że mam godzinę i siedemnaście minut na wypicie butelki wina we dwoje, na zjedzenie torby wiktuałów, które Sebek przytасzczył w komplecie z winem, i na pozbycie się Sebka. Zadanie niewykonalne.

Zaproponowałam Sebkowi herbatę na rozgrzewkę, zanim zabierzemy się do kolacji. Wszystko mi się kręciło. Na dworze parny wieczór, ja wyskakuję z rozgrzewką. Na szczęście Sebek wziął to oczywiście za żart. Parzyłam herbatę od podstaw, bo przecież niczego nie przygotowałam, nie spodziewając się wizyty. Przez cały czas zażarcie kombinowałam.

72

Udam, że zapomniałam przełączyć komórkę z wibracji na ton i w pewnej chwili odbiorę, że niby ktoś dzwoni, chociaż nie słycać. Zamarkuję rozmowę z ojcem, powiem Sebkowi, że w domu wypadło coś pilnego. Wzywają mnie. Koniecznie muszę. Zaraz. Przepraszam, pa, zdzwonimy się. Już byłam pewna, że obmyśliłam najlepszy plan, kiedy moja komórka odezwała się naprawdę i całe wibracje diabli wzięli. To była Gośka w swojej ulubionej roli pod tytułem „Gośka nie w porę”.

- Może chcesz, żebym odwiozła cię do Kraski, zamiast brać taksówkę? - zaproponowała. - Będzie ci rażniej. Nie zostanę z tobą potem, nie bój się.

- Dziękuję ci - odpowiedziałam słodziutko. - Nigdzie się nie wybieram, mam gościa.

- On sam przyszedł do ciebie!? - Głos Gośki zniżył się do dramatycznego szeptu.

- Jest u mnie Sebek.

- Horror! - szepnęła. - I co teraz zrobisz? Wparował bez uprzedzenia?

- Byliśmy na dzisiaj umówieni od rana.

- Jak od rana? - Głos Gośki powrócił do dźwięcznej normy. - Więc nie wybierałaś się wieczorem do Kraski? Dwa razy dzwoniłaś do mnie w tej sprawie.

- Tak? Może przy okazji coś tam wspominałam, ale głównie dzwoniłam do ciebie, żeby zapytać, czy nie wypadło ci coś pilnego?

Czułam, że przemawia przeze mnie desperacja. Nie jestem sobą. Gadam bzdury, które w niczym mi nie pomogą. Nie ma tak łatwo. Powinnam ruszyć głową. Ale co mogłam powiedzieć Gośce, kiedy Sebek wpatrywał się we mnie jak w obraz. Słyszał każde słowo. Już w kuchni nie spuszczał ze mnie wniebowziętego oka. Przecież nie zabarykaduję się z komórką w lodówce, a wszędzie indziej wlezie za mną.

Pokazałam mu na migi, żeby włączył płytę, ale nie zareagował. Siedział oczarowany. Gdybym miała na grzbiecie byle łach, bez połysku, makijażu i fryzury, nie brałby tego do siebie aż tak emocjonalnie. Ale jakże mogłam ubrać się w byle łach na randkę z Pedrem, żeby uwzględnić erotyczne porywy Sebka? Paranoja!

73

- Co miało mi wypaść? - oburzyła się Gośka. - Pokopało cię? Berni dzisiaj wraca.

Swoją drogą miałam ją za domy siniej szą. Gdybym była innej płci, jej fale mózgowe dawno przeniknęłyby moje najskrytsze pragnienia. Notabene konstruktorzy

komórkowych telefonów wcale nie są bystrzejsi od Goški. Czego też oni nie wtykają do swoich cudeniek! Wszystkie symfonie Beethovena, budzik, wskaźnik stanu wody na Florydzie, zestaw gier i przepisów bon tonu, całuski od twojego ulubionego bankomatu. Ale żaden nie wpadł na pomysł, że przyda się funkcja „zadzwoń sam do siebie”. Troszkę delikatnej, kobiecej dyplomacji. Nacisnęłabym dyskretnie guziczek i mogłabym udawać rozmowę, z kim się zamarzy.

- No to na razie - powiedziałam ni w pięć, ni w dziewięć i odłożyłam telefon.

Wróciłam do kuchni parzyć herbatę, a Sebek przesiadł się tak, żeby mnie widzieć przez drzwi. Bo nie mam w kuchni drzwi, tylko otwór wybity w ścianie.

- Goška? - domyślił się.

- Tak. Niedobrze z nią - powiedziałam ze współczującą zadumą.

- Z czym?

- Ma swoje babskie kłopoty. Nie wiem, czy nie powinnam w tej chwili być przy niej. Ale w tej sytuacji nie wypada mi jechać tam z tobą. Jestem straszną egoistką.

- Nie jesteś egoistką. Nawet nie myśl tak deprymująco - wzruszył się Sebek mną i moim wystrojem. - Jeżeli chcesz, podwożę cię do Goški i poczekam na zewnątrz.

- Oj, nie. To może długo potrwać. Nie opłaci się tyle czekać.

- A co mam dzisiaj do roboty? Jedźmy raz-dwa i wrócimy na kolację.

Sam schrzanił własny dobry pomysł! Cały Sebek!

- Wolę zostać z tobą. Goška da sobie radę. Przyjechałeś do mnie swoim wozem?

- Innego nie mam. Czemu pytasz?

- Zamierzałeś pić ze mną wino i przyjechałeś swoim wozem? Więc na co to wino?

74

-Znaczy... - Sebek odchrząknął. - Myślałem, że nie będę dzisiaj wracał wozem.

- Tylko czym?

- Niczym. Znaczy... Myślałem, że nie będę dzisiaj wracał do domu.

Popatrzyłam na niego surowo, aż na skroni zaczęła mu się formować żyła. Żyłka. Bo u Sebka wszystko jest subtelne. Postawiłam herbatę i cukier na stoliku. Była dziewiętnasta dwadzieścia trzy. W kuchni, gdzie jest tylko malutki świetlik, musiałam już zapalić światło.

- Nie ma planów, których nie da się apdejtować - uśmiechnął się nieszczercze Sebek.

Naturalnie rozumiem, co znaczy apdejtować. Bodajże właśnie Sebek wytłumaczył mi przy swoim komputerze, co znaczy apdejtować. Ale nie muszę bynajmniej tego rozumieć, a zwłaszcza nie muszę rozumieć tego, co wytłumaczy mi Sebek.

- Proszę, żebyś nie mówił do mnie językiem, którym rozmawiasz z maszynami - powiedziałam wyniośle. - Jeżeli chcesz rozmawiać, mów jak ludzie.

- Miałem na myśli, że dopasuję się do twoich planów.

- Nie wiem, co miałeś na myśli. Chodzi o to, że w ogóle nie uwzględniasz moich planów. Wyłącznie swoje. Idziemy na taką operę, jaką wybierzesz, pijemy wino, które kupisz, spotykamy się, gdy tobie pasuje.

- Nigdy nie usiłowałem narzucać ci mojego punktu widzenia. Przepraszam, jeśli tak to odebrałaś. Rzeczywiście, powinienem pytać o zdanie. Ale to tylko dlatego, żeby nie zawracać ci głowy drobiazgami, co do których sam mogę zdecydować. Zwrócę na to uwagę w przyszłości. A teraz może zrobię sos do sałatki?

- Wolałabym, żebyś nie zmieniał tematu.

- Nie miałem zamiaru. Mogę robić sos i rozmawiać.

Z Sebkim nie sposób się pokłócić, jeżeli on tego nie chce. Uważam to za jego

najpoważniejszą wadę. Dopiero w tej chwili żałowałam, że zgodziłam się na propozycję Marka, żebym zatrzymała nasze mieszkanie, a on weźmie nasz samochód. Gdybyśmy ustalili odwrotnie, siedziałabym teraz w mieszkaniu Sebka. Nie na

75

własnym stryszku z kominkiem, którego i tak latem nie używam. Powiedziałabym Sebkowi „bajbaj”, wyszłabym w dowolnej chwili bez tłumaczenia się i odjechałabym sobie naszym samochodem. To znaczy moim samochodem. Dokąd chcę. A chcę do Kraski! Powyciągałam miski i salaterki i rozstawiłam mu na kuchennym stole z ponurą miną. Sebek nie reagował na moją minę w jakiś szczególny sposób. Wiedział, że nastąpiła lekka różnica zdań z mojej strony, wobec tego należy odczekać godzinę lub tydzień, aż nastroje powrócą do normy. Czyli że nic kompletnie nie wiedział. Umył ręce, wypakował swoją reklamówkę na stół. Rzecz jasna, kupując nie zapytał mnie, co kupić, ale to przecież drobiazg. Po co zawracać mi głowę. Minęła dwiętnasta czterdzieści siedem. Widocznie czas postanowił nadrobić wlokące się godziny sprzed południa.

- Winegret? - zapytałam, podnosząc butelkę. - Moja znajoma struła się nim z całą rodziną. Pięć osób.

- Pierwsze słyszę - zdziwił się uprzejmie Sebek.

- Bo to moja znajoma, a nie twoja.

- Pierwsze słyszę, że tym można się aż tak struć.

- Skąd wiesz, że aż tak się struli? Powiedziałam tylko, w ilu. Nie powiedziałam, że mocno. Wcale nie mocno.

- No to specjalnie nie ryzykujemy - orzekł Sebek i otworzył winegret.

A gdybym tak podpaliła śmieci? Przyjedzie straż pożarna, zrobi się zamieszanie, ja zaś sobie zwyczajnie zniknę w tym zamieszaniu. Jutro powiem, że uległam panice. Kobietom wybacza się panikę. Lepiej nawet widziane są objawy paniki niż chłodnego opanowania, które brane jest za oziębłość. Ale jeżeli straż pożarna nie przyjedzie? Albo przyjedzie za późno? Wtedy już na pewno nici z Kraski. Ukradkiem sprawdziłam, czy Sebek przyniósł w swojej reklamówce jakiś pieprz. Po nim wszystkiego można się spodziewać. Ale nie przyniósł. Zatem zrobię tak. Powiem, że zapomniałam kupić czerwonego pieprzu, a bez niego nic nie ma smaku. Pożyczę od sąsiadki, powiem. I wyjdę pożyczyć. Zejdę na trzecie piętro do pana Zenobiusza. Poproszę, żeby za chwilę zapukał do mnie i powiedział, że jego żona źle się poczuła. Pro-

76

si mnie, bo jednak kobieta to dla kobiety nie to co mąż, tylko kobieta. Nie żaden mężczyzna. Wobec tego Sebek nie pójdzie ze mną, jako mężczyzna, a ja tak. Stamtąd zamówię taksówkę. Pana Zenobiusza poproszę, żeby przyszedł jeszcze raz i powiedział Sebkowi, że musiałam z jego żoną pojechać do szpitala, bo to było pilne. Powiedzmy zapalenie wyrostka. Brzmi mocno, a nic tragicznego. Niech Sebek siedzi w domu i czeka na mnie, aż wrócę. W ten sposób nie pojedzie szukać mnie po szpitalach, których mamy raptem dwa.

Obejrzałam pomysł ze wszystkich stron i uznałam go za obiecujący. Była dwiętnasta pięćdziesiąt osiem.

Otworzyłam szafkę, w której trzymam przyprawę, i zrobiłam zaaferowaną minę.

- Chryste, nie kupiłam czerwonego pieprzu!

- Nie, nie, jest. Już go znalazłem - zapewnił mnie Sebek.

- Gdzie go znalazłeś?

- Jest w puszcze po kawie.

- W puszcze po kawie jest kawa. Codziennie ją piję.  
- W tej drugiej puszcze po kawie. Na której jest napisane „wanilia”.  
Zamknęłam szafkę, aż huknęło. Sebek ani spojrzał. Polewał sałatę sosem i doprawiał risotto. Nawet zdążył odkorkować wino. Była dwudziesta zero jeden.

- Wiem! Cynamonu nie ma! - oznajmiłam grobowym głosem.  
- Jest. Zresztą cynamon do niczego nam niepotrzebny.  
- Nie mów za mnie. Może akurat uwielbiam ostatnio sałatkę z cynamonem?!  
- Serio? No to mówię, że jest cynamon. O, tutaj. Ale przygotuję ci na osobnej miseczce, zgoda? Bo ja tego nie przełknę.

Wyszłam z kuchni, ponieważ nie mogłam spokojnie słuchać Sebka w pomieszczeniu, w którym znajduje się tyle noży gotowych do użycia. Sebek zastawiał stół z uporem maniaka. Rozłożył serwetki, nakrycia, wyciągnął z szuflady dwie czerwone świece. W pokoju zaczynało robić się szaro, więc kiedy je zapalił, ciepły blask rozlał się po meblach i podłodze. Mój strój opalizował jak skrzydła motyli w słońcu.

77

Boże, to jest właśnie taka chwila, kiedy chciałabym, żebyś dał mi znak, że istniejesz - pomodliłam się w duchu. Była dwudziesta czternaście. Zadzwoiła moja komórka leżąca na kanapie. Jeszcze raz Gośka.

- Gdzie jesteś?  
- Gdzie mam być? W domu-  
- Jednak rzeczywiście nie idziesz do Kraski? Zadzwoiłam sprawdzić, czy nie nabijasz się ze mnie. Dlaczego nie idziesz?

Była dwudziesta piętnaście, właściwie już szesnaście.

- Skąd taki wniosek? Nadal zamierzam - odpowiedziałam ponuro, acz niejasno.

- Iść do Kraski?

- Na przykład.

W telefonie zapadła cisza. Ja też się nie odzywałam, bo co mogłam powiedzieć?

Nie wiedziałam, co powiedzieć, i nie wiedziałam, co zrobić.

- Przedzwonię do ciebie jutro - usłyszałam Gośkę. - Spróbuj przez ten czas ustalić jakąś wersję ze sobą.

Sebek wniósł z kuchni parujący półmisek risotto.

- Zapraszam - wydekłamał z szarmanckim gestem. - Siadajmy, póki gorące.

Zegar na kominku pokazywał dwudziestą dwadzieścia. Za oknami słońce schowało się za dachy, ale było jeszcze widno.

Usiadłam za stołem, wzięłam białą serwetkę, rozłożyłam ją sobie na kolanach.

Sebek nalał wino do kieliszków. Płomyki świec zatańczyły na ich powierzchni.

Wtedy wstałam.

- Przepraszam cię, Sebku - powiedziałam - ale muszę cię teraz zostawić samego.

Zatrzaśnij za sobą drzwi, wychodząc. Mam randkę.

Randka w praktyce

Wysiadłam z taksówki spłakana i usmarkana. Przez całą drogę nie mogłam zapomnieć oczu Sebka. Kiedy odchodziłam

78

od stołu, były wielkie i tragiczne jak oczy zbitego psa. Wyglądał, jakby zamierzał strzelić sobie w łeb. Nie potrafię tego określić dokładnie, w każdym razie nie chodzi mi o to, że zbite psy strzelają sobie w łeb. Prawdopodobnie jeszcze długo po moim wyjściu Sebek nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

Parę razy byłam bliska, żeby wrócić do niego, siedzącego tam samotnie przy stole w żalobnym blasku świec. Raz nawet kazałam taksówkarzowi zawracać. Za chwilę jednak powiedziałam mu, że znalazłam to, o czym myślałam, że zapomniałam zabrać.

Żeby więc jednak jechał prosto do Kraski. Uświadomiłam sobie, że wcale nie chcę być teraz z Sebkiem, tylko mi go żal. To nie to samo.

Nie wiem, czy orientujecie się, jak wygląda wejście do Kraski? Najpierw są zwykle odrapane drzwi z dwoma neonami. Potem jest długi wąski korytarzyk, a za nim po prawej ubikacja, kiosk i galeria wystawowa, po lewej zaś Crime Scenę, który tu już ma wystrój na całego. Czarna ściana w białe kontury ludzkie, kolorowy szyld, szyby w drzwiach przepasane amerykańską żółtą taśmą policyjną. Oczywiście nie tam skręciłam, tylko do łazienki, dziękując Bogu, że nie napatoczyłam się na czekającego Pedra od razu w progu. To, co zobaczyłam w lustrze, przeraziło mnie. Na policzkach miałam czarne łyzy z rozmazanego tuszu. Diabli wzięli oczy, wypracowane kości policzkowe, nawet usta. Wyglądałam jak klaun, którego pokazują czasami w smutnych komediach. Tragiczny klaun z kolczykami w kształcie amfor, w których odbijała się otchłanna rozpacz świata. Gdybym nie była optymistką, zemdlałabym samotnie w tej łazience. A tak umyłam się i umalowałam jeszcze raz. Niestety, w torebce miałam szminkę, której używam na co dzień, łososiową, więc nie mogłam powtórzyć efektu bordowych warg. Bez tego bordowa bluzeczka zupełnie straciła wyraz, w związku z czym przestały do niej pasować czerwone buty na wysokim obcasie.

Poza tym oczy! Zrobiły się nabrzmięte, opuchnięte, jakbym wracała z pogrzebu. Bo też poniekąd wracałam. Zdaje się, że pogrzebałam moje układy z Sebkiem. Zanim fatamorgana na horyzoncie zamieniła się w realną oazę.

79

Oczywiście z takimi oczami ta bramkarka od psychologii pozytywnej nie wpuścił mnie do klubu. Byłabym ryzykiem dla pozostałych bywalców. Nie gwarantuję dobrej zabawy, luzu i niezaniżania nastroju. Mogę dać plamę i rozpocząć depresyjną konwersację o Świętym Graalu na przestrzeni dziejów. Bramkarki nie znają litości. Kiedyś widziałam, jak potraktowała Bogu ducha winnego chłopaka. Tyle że z katastrofalnie odstającymi uszami i we flanelowej koszuli wyglądał na postać tragiczną. „Czy masz przy sobie kartę członkowską?“, zapytała go przymilnie. Rzecz jasna żadnych kart nie ma. To taki sposób na miłe spławienie klienta. Jeżeli tu można mówić o czymkolwiek miłym. Bramkarka popatrzy z sympatią w moje podsinione oczy i troskliwie spyta: „Czy zabrałeś ze sobą zaproszenie? Dzisiaj wieczór zamknięty, tylko z zaproszeniami“. A ja nie mam tego nieistniejącego zaproszenia. Nie warto robić sobie obciachu. Lepiej zmyć się stąd, zanim spotkam Pedra. Widocznie dzisiaj nie jest mój najlepszy wieczór.

Kiedy wyszłam z łazienki, było za osiem dziesiątą. Pedro miał czekać przed klubem, ale nie dostrzegłam go. Byłam nieco zawiedziona, pomimo że właściwie nie chciałam się z nim spotkać. Po co? Żeby wzbudzać litość albo inne poniżające uczucia? Ale z drugiej strony byłam zawiedziona, że nie zczekał. Przynajmniej do dziewiątej powinien wytrzymać. Chyba że wszedł do klubu i siedzi w środku? Tam czeka. Co to jednak za głupie czekanie? Nie wziął pod uwagę, że za Chiny nie domyśle się, gdzie on czeka, i wróć do domu? Niemniej wpadłam na to przecież. Być może on jest taki inteligentny, że domyślił się, że ja się domyśle -i w takim razie czeka w środku? Mimo to nie zamierzałam narażać się, że na bramce wyrzucą mnie jak byle naćpańca.

Mogłabym wprawdzie poczekać, aż wyjdzie, ale jak wtedy uzasadnię moją obecność w tym miejscu? To, co samo z siebie tłumaczy się o dwudziestej pierwszej, jest absolutnie niewytłumaczalne o dwudziestej trzeciej czy dwudziestej czwartej.

ICiedy tak zastanawiałam się w upiornym świetle zewnętrznych neonów, odbitych w karoseriach na parkingu, ktoś z ciemności zawołał mnie po imieniu. To był Pedro!

Pamiętał moje imię! Coś niesamowitego!

80

Podszedł do mnie od strony ulicy Jana Pawła. Całe szczęście, bo od Jana Pawła byłam lepiej oświetlona. Ale i tak nie podobało mi się, że mnie znalazł.

Tłumaczył się, że przeprasza. Coś mu wypadło w ostatniej chwili. Musiał. Jest mi wdzięczny, że zaczekałam. Przecież nie wiedziałby, gdzie mnie teraz szukać.

Chyba strzeliłby sobie w łeb! To był już drugi, który dzisiejszego wieczoru strzeliłby sobie w łeb z mojego powodu. Nigdy nie uważałam się za taką poważną femme fatale. Zresztą chwilowo nie uważałam się za nikogo. W delikatnej poświacie od Jana Pawła milczałam jak zakłeta. Zamurowało mnie, jak tradycyjnie już przy każdym spotkaniu z Pedrem. I niech się wam nie wydaje, że was by nie zamurowało!

Miał na sobie surdut do pól uda, pod nim błyszczącą kamizelkę w złoty wzór, pod nią białą koszulę, a pod szyją fontaż! Chryste, nie żaden krawat czy muchę, tylko fontaż spięty diamentową szpilką. Bo taka specyficznie zawiązana chustka nazywa się fontaż, prawda? Czy inaczej? W każdym razie wyglądał, jakby Rett Butler urwał się z „Przeminęło z wiatrem”. Teraz wiecie. Nie zamurowałoby was? W tej sytuacji bramkarka nawet na mnie nie spojrziała. Weszłam jak do siebie. Usiedliśmy na antresoli przy dwuosobowym stoliku i Pedro zapytał, czego się napiję. Już odzyskałam głos, choć nie odzyskałam jeszcze równowagi. Powiedziałam, że z przyjemnością napiję się koniaku. Nie cierpię koniaku. Wydawało mi się, że nie mogę sobie tutaj balować wśród przyjemności, kiedy tak potraktowałam Sebka. Będę pokutowała tym koniakiem. Nawet nie rozpoznałam, czy to markowy koniak czy nie, kiedy zanurzyłam usta w kieliszku. Ale chyba ktoś ubrany jak Rett Butler nie postawiłby przed kobietą niemarkowego koniaku?

Przyniósł mi też jakieś ziele, ale wcale nie umiałam się nim cieszyć. Przeciwnie, pomyślałam, że Sebek przyniósł mi dzisiaj okazały bukiet, a ja kwękałam, że nie mam wolnego wazonu z powodu zakończenia roku szkolnego. A ten wysilił się na jeden kwiatek! Kiedy jednak tak mu się przyglądałam, wstawionemu we flakonik na stole, to znaczy kwiatkowi, pomyślałam, że jest jakiś dziwny. Może to orchidea? Rett Butler na pewno dałby orchideę Scarlett. Nie pamiętałam w tej chwili, jak wyglą-

6. Mężczyzna.

81

da orchidea. Jak więc mogłabym ją rozpoznać? Gdyby Pedro podarował mi kwiat kalafiora albo inne kłaczce od ziemniaków, też nie rozpoznałabym gatunku. Nie pozostało mi nic więcej, jak bezzasadne zaufanie, że przyszedł do Kraski z czymś godnym zaproszonej kobiety. W tym wypadku mnie.

W związku z tym poprosiłam, żeby dolał mi tego paskudnego koniaku. Nie powiedziałam, że paskudnego, tylko że bardzo smaczny. Po drugim kieliszku zebrałam się już na odwagę i zapytałam Pedra, dlaczego tak się ubrał.

Odpowiedział, że nie ma nic z odzieży, w czym mógłby mi przyzwoicie towarzyszyć, a musiał nagle wyjechać po naszej rozmowie, więc nie zdążył nic kupić. No to pożyczył od pani, u której mieszka. Jedyny pasujący na niego męski strój, jaki nadawał się do użytku, pochodził z 1911 roku. Po dziadku tej pani, emerytowanym naczelniku kolei warszawsko-wiedeńskiej. Emerytowanym, rzecz jasna, kiedy nosił ów strój, ponieważ teraz już dawno nie ma ani dziadka, ani kolei warszawsko-wiedeńskiej. Więc nie było wyboru. Co do ubrania. Żeby nie prezentował się deprimująco, podczas gdy ja będę elegancka.

Słuchając Pedra, nie zastanawiałam się, na jakiej podstawie przewidywał, że będę

elegancka, tylko myślałam, że użył zwrotu „pani, u której mieszkam”. Gdyby był jej utrzymankiem, przecież nie byłby taki bezczelny, żeby mówić mi to w twarz? Widocznie jest więc niewinny. Ale zaraz przypomniałam sobie, że godzinę temu sama powiedziałam Sebkowi w twarz, że idę na randkę z innym. Żeby się znowu nie rozpłakać, poprosiłam Pedra o nalanie koniaku. Już chyba czwartego.

- Jesteś pewna, że nie pijesz za dużo? - zapytał, nalewając.

- Odwrotnie, jestem pewna, że piję za dużo! - odpowiedziałam.

Grali „Moonlight in Vermont”, lampki na stoliczkach płonęły, pachniało gorącą czekoladą. Naprzeciw mnie siedział czy-ścibut wytworny jak lord, brwi zrastały mu się nad nosem do nieprzytomności, piłam smakujący mydłem koniak i coraz bardziej nie miałam zdania na temat życia jako takiego. Czy ono jest mianowicie dobre czy złe? Pamiętałam jedynie, że jestem optymistką, w związku z czym wypiłam następny koniak.

82

- Gdzie musiałeś tak nagle wyjechać? - zapytałam Pedra. To pytanie wydało mi się tak niesamowicie śmieszne, że roześmiałam się w głos.

- Sprawdzić informację z pewnej gazety - odpowiedział mi z uśmiechem.

- Jaką informację?

To pytanie wydało mi się z kolei nieopisanie smutne. Pociągnęłam nosem i zakryłam dłońmi twarz. Wciąż byłam trzeźwa, gdyż pamiętałam, żeby nie rozmazać się, zakrywając twarz dłońmi. A poza tym przez palce patrzyłam na Pedra.

- O pewnym mężczyźnie, który zaginął.

- To ty giniesz poszukanych ludzi? - zapytałam. - Czyli kim uprawiasz zawód?

Przyszło mi do głowy, że nie mogę upić się na pierwszej randce, gdyż on weźmie mnie za kogoś zupełnie innego, niż jestem. Po czym nalałam koniaku jemu i sobie.

- Czy zdarzyło ci się coś, od kiedy się dzisiaj spotkaliśmy? -zapytał podejrzliwie Pedro.

- Dlaczego pytasz?

- Jesteś jakaś inna. Może mało cię znam.

- Nie, nie, rzeczywiście jestem inna - potwierdziłam. - Bo miałam bordową szminkę, ale musiałam zmienić na łososiową. Z pewnych względów.

Pedro pokiwał głową, że rozumie. Na pewno nie rozumiał, ale ważne, że był grzeczny. Jeszcze nie spotkałam faceta, który rozumiałby się na makijażu. Na tym, jak makijaż działa na kobietę. Pedro zapytał, czy zjem jeszcze jedno ciastko, ale na ciastku nie zależało mi tak jak na koniaku, którego nie cierpię. A wtedy najbardziej go nie cierpiałam. Więc podziękowałam uprzejmie Pedrowi i spytałam go, jaka jest jego ulubiona reklama.

Okazało się, że nie ma ulubionej reklamy. No więc kazałam mu wybrać z pozostałych. Najpierw próbował coś z piwem i z oliwą z pierwszego tłoczenia, ale nie dałam się nabrać. Poprosiłam, żeby się skupił, jeżeli mamy rozmawiać poważnie.

Zapytał, czy nie chcę wyjść na świeże powietrze.

- To nie jest dobra odpowiedź! - wyjaśniłam.

83

Pomyślałam, że Sebek już na pewno poszedł do domu i przynajmniej nie musi pić ze mną tego paskudnego koniaku. W sumie nie wyszedł źle na dzisiaj wieczorze. Pedro zaczął mi opowiadać ulubioną reklamę. Zielony samochód jechał po niebieskiej drodze pośród czerwonych łąk. O ile nie pokręciłam z kolorami. Może żółty samochód, nie pamiętam. Nieważne. I była noc, i zapaliły się reflektory. Jakieś światła. Nie wiadomo, czy z latarni morskiej, ale jednak. Dziewczyna szła.

Uświadomiłam sobie, że mówi o tej reklamie, która jest także moją ulubioną reklamą. Moja była trochę inna, nie ma co spierać się o szczegóły. Chryste, pomyślałam z zachwytem, więc aż tyle nas łączy? Jesteśmy po prostu jakimiś bratnimi duszami, które błąkały się samotnie po świecie, aż odnalazły się.

A taki Sebek chciał to wszystko zepsuć!

Taki sobie Sebek, który nawet nie ma swojej ulubionej reklamy.

Zrobiło mi się go tak straszliwie żal z powodu, że nie ma swojej ulubionej reklamy, że wstałam od stołu.

- Dokąd? - zapytał Pedro.

- Muszę - powiedziałam. - Wybacz mi, kochanie. Muszę powiedzieć Rapcuchowiczowi. W tym momencie kompletnie zapomniałam, co miałam powiedzieć Rapcuchowiczowi, więc usiadłam i roześmiałam się. Ludzie przy stolikach obok przyglądali mi się z uśmiechami na twarzach, czułam, po prostu czułam dookoła, w powietrzu pachnącym czekoladą i koniakiem, że wszyscy się kochamy. Przynajmniej tego wieczora.

Zapytałam Pedra, czy zatańczy ze mną.

Odpowiedział, że z przyjemnością, ale innym razem. Jak coś zagrają. Wydawało mi się, że cały czas grają, ale nie sprzeczałam się, żeby nie wyjść na niemuzykalną.

Pedro zapytał, kto to jest Rapcuchowicz.

-Nie wiem - odpowiedziałam zgodnie z prawdą. - Ale znam go bardzo dobrze.

Wydaje mi się, że to ucieszyło Pedra. Pewnie sądził, że nie znam Rapcuchowicza aż tak dobrze. Byłam zadowolona, że się

84

ucieszył. Ja naprawdę nie jestem zła i lubię sprawiać ludziom przyjemność.

Uwielbiam.

Jedyne, czego nie cierpię, to koniak.

Łoże z baldachimem

Obudził mnie terkot budzika. Wdarł się w pustą, przerażającą przestrzeń, która okazała się moim bólem głowy. Usiłowałam zgasić budzik, macając na ślepo, ale był sprytniejszy ode mnie. Wciąż dzwonił, nie ujawniając się. Wtedy zrozumiałam, że to komórka. To znaczy najpierw poczułam jej kształt pod palcami, na chłodnym blacie stoliczka, a potem zrozumiałam, że ona nie jest budzikiem. Podniosłam ją, nie patrząc na wyświetlacz, gdyż nie potrafiłam otworzyć oczu.

- Słucham - wychrypiałam nieswoim głosem.

- Horror! - powiedziała Gośka z komórki. - Mam w domu ze dwunastu głodnych ochroniarzy. Berni wrócił wczoraj w nocy z trzema najbogatszymi facetami z listy tygodnika „Skosem”.

- Aha - potaknęłam przez zaciśnięte boleśnie zęby. - To wiem, którzy.

- Nie wiesz. Myślisz o tych z zesłorocznej listy miesięcznika „Wartościowe Papiery”.

- Możliwe - zgodziłam się. - Ja ich nie rozróżniam.

- A ja muszę. Co z twoją Kraską? Byłaś wczoraj czy nie?

Chryste, czy ja byłam wczoraj w Krasce? Dlaczego najbliższa przyjaciółka stwarza mi od samego rana problemy? Czy ja wczoraj gdzieś byłam? Jak przez mgłę widziałam świecący w ciemnościach neon, ale nie potrafiłam go odczytać.

Dostrzegałam roześmiane twarze siedzących dookoła ludzi, ale nie dostrzegałam, gdzie siedzieli. Słyszałam pomieszane jazzowe kawałki, ale nie rozróżniałam ich.

Wiedziałam, że to wszystko wydarzyło się w moim życiu, ale nie miałam pewności, kto to je-

stem ja przeżywająca moją życie z koszmarnym tętnem w skroniach i suchością w ustach,,

- Chyba byłam - odpowiedziałam Goście.

- Chyba? Nie jesteś pewna?

- Jestem pewna, że chyba. To takie ważne? -Gdzie teraz jesteś?

Gdzie teraz jestem? Następne dobre pytanie. Ostrożnie otworzyłam oczy. Nade mną wisiał sufit z malowanego w kwiaty płótna. Ponieważ było to wykluczone, zamknęłam oczy. Zniknęła porażająca jasność, wdzierająca się do mojego mózgu z piekielnym świstem. Ten sufit jednak intrygował mnie, więc znów otworzyłam oczy. Leżałam na wielkim łożu z baldachimem, z czterema rzeźbionymi w drewnie kolumnkami, z batystową pościelą gęstą od koronek. Z niewiadomego powodu przypomniała mi się sypialnia Scarlett ?'????'. Wokół łóżka rozciągało się wielkie, niemal puste pomieszczenie. Parę starych mebli o ciemnym połysku, parę pejzaży w złoconych ramach (żadnego Johna R. Melga), gęste drzewa za wielkimi oknami. To nie był mój przytulny stryżek. Co to, to nie. Zamknęłam oczy.

- Wiesz co, Gośka - westchnęłam. — Zorientuję się i od-dzwonię, dobrze?

Ale gdy tylko moja dłoń z komórką opadła w miękką pościel, oczy otworzyły mi się same. Chryste, przecież to szczerza prawda! Gdzie ja teraz jestem?!

Wyskoczyłam z łóżka jak oparzona. Bosymi stopami klasnęłam o parkiet, co poczułam mniej więcej tak, jakbym klasnęła o parkiet głową. Skrzywiłam się z bólu. Butelka koniaku stanęła przed moimi oczami jak żywa. Otworzona butelka koniaku. Kurczę, jednak byłam w Krasce i to, zdaje się, byłam stanowczo za długo. Kto mnie tu przywiózł? Pedro?

Oprócz komórki nie widziałam nigdzie moich rzeczy. Ani bordowej bluzeczki, ani brokatowej spódnicy, ani butów, ani torebki. Nic. Miałam na sobie nocną koszulę długą do ziemi i pełną falbanek. Takie nosiło się zapewne w czasach kolei warszaw-sko-wiedeńskiej. A pod spodem - o zgrozo! - żadnej bielizny. Goło i wesoło. Czy zdjęłam bieliznę własnoręcznie? A jeżeli nie,

to co się z nią stało? Kto położył mnie do łóżka z baldachimem? Pedro? Jak to się odbyło? Po prostu położył mnie do łóżka czy raczej nie po prostu? Czy możliwe, że byłam wtedy przytomna, skoro nawet teraz jestem jeszcze półprzytomna? Jak mogłam dopuścić do tego, co się stało, niezależnie od tego, co się stało?

Już do tego, co pamiętam, nie powinnam dopuścić. A co z tym, czego nie pamiętam?

W podłużnym lustrze widziałam, że wyglądam w koszuli jak Ania z Zielonego Wzgórza. Albo inna Alicja w Krainie Czarów. Na dodatek wąskie lustro okazało się drzwiami, więc żeby wyjść z sypialni, musiałam przejść na jego drugą stronę.

Po drugiej stronie był następny słoneczny pokój. Nagi parkiet, niewiele mebli, duże okna. Za oknami balkon. Pomiędzy zielenią liści prześwit. Po przeciwnej stronie ulicy Topolowej drzewo, na które włąziłam z lornetką. A więc znajdowałam się w willi z 1920 roku. Przede mną, odbijając się w wywoskowanym parkiecie, stał przodem do balkonu inwalidzki wózek, ponad którego oparcie wystawała siwa kobieca głowa. Księżnej Olgi Reńskiej, jak sądzę.

- Dzień dobry - odezwał się sondażowo.

Bez odpowiedzi. Bez odzewu. Bez ruchu. Być może z księżną należy witać się jakoś inaczej, żeby raczyła zareagować. Z jedną nogą wysuniętą do przodu i z uniżonym ukłonem. A może księżne w ogóle nie raczą zauważać alkoholiczek? Jakby same były święte! Nie przesadzajmy! Czytało się to i owo, choćby w „Żywotach pań swawolnych”. Bez pardonu podeszłam bliżej, zachodząc księżną od frontu.

W czarnej sukni, która wyglądała na żałobę po powstaniu styczniowym, siedziała w fotelu na kółkach, z zamkniętymi oczami. Mimo ciepłego dnia jej ramiona okrywał ten koronkowy szal, co wiecie. Była tak stara, że przypominała pomarszczoną mumię. Nie wiem, jak mogłam pomyśleć, że Pedro jest jej utrzymankiem? Przecież miałam lornetkę. Są rzeczy absolutnie sprzeczne z naturą. Na przykład rzeka nie popłynie pod górę.

Pierwsze moje skojarzenie było więc optymistyczne. Ale drugie już nie. Stanowczo. Nie dostrzegałam mianowicie symptomów życia u księżnej. Była martwa. Na jej nosie siedziała

87

bezczelnie mucha. Pod szalem nikły cienkie przewody, łączące księżną z medyczną aparaturą migoczącą magicznym okiem. Migot miał rytm nad wyraz alarmujący.

Delikatnie dotknęłam starczej dłoni, leżącej na podłożu. Była zimna jak lód.

Boże miłosierny, co się stało w tym domu dzisiejszej nocy? I dlaczego martwa księżna tak dziwnie szumi? Jakby w środku niej woda dochodziła do wrzenia.

- Chryste! - wrzasnęłam.

Lodowate palce zacisnęły się na mojej dłoni jak szczypce, martwa księżna otworzyła szeroko oczy. Wyciągnęła przed siebie pilota, a mrugające oko na aparaturze przygasło. Jednocześnie staruszka przestała szumieć. Aczkolwiek wcale nie wydała mi się przez to mniej przerażająca. Mucha na nosie okazała się brodawką ze sterczącymi włoskami.

- Zwracaj się do mnie „księżno” - odezwała się głosem, jakim na pewno mówiłyby mumie, gdyby mówiły.

Kable domniemanej medycznej aparatury okazały się przewodami słuchawek podłączonych do kompaktu.

- Przestraszyłam się, myślałam, że pani śpi - wyjaśniłam, a ponieważ patrzyła na mnie, jakbym milczała, dodałam posłusznie: - Przestraszyłam się, księżno.

Po czym wykonałam dyg, jaki zapamiętałam z przedszkola, ujmując w palce obu dłoni nocną koszulę, żeby rozpostarła się elegancko na boki.

Księżna nadal patrzyła na mnie bezlitosnym, nierozumiejącym wzrokiem, aż wreszcie wyjęła końcówkę słuchawek z odtwarzacza i wetknęła w aparacik słuchowy, wyciągnięty spod czarnego szala. Wtedy znów podniosła na mnie oczy.

- Dzień dobry, księżno - powtórzyłam światowo, zwłaszcza przykładając się do wymowy r. - Nie zamierzałam przeszkodzić. Niestety nie wiem, dlaczego tu goszczę.

-Ale mi przeszkodziłaś. Słuchałam muzyki. Przed południem słucham muzyki, cest admis\ Nie jestem zobowiązana do spowiadania się całemu światu, co robię.

- Sorry, księżno. Nie powinnam przeszkadzać i nie powinno mnie tu być. W tym rzecz. Czy przywiózł mnie Pedro?

- Nie byłaś w formie, żeby przywieźć się sama. - Księżna

88

spojrzała na mnie z naganą. - Poleciłam mu odtransportować cię do twojego domu, ale nie dało się. Twierdziłaś, że mieszkasz w latarni morskiej.

- To nieprawda, księżno! - zaprzeczyłam z zażenowaniem. -Po alkoholu mówię niewyraźnie. Mieszkam niedaleko i zaraz stąd odejdę. Proszę tylko o zwrot ubrania.

- Na to będziesz musiała poczekać. Dopiero schnie.

Coś tknęło mnie nieprzyjemnie pod żebro, ale postanowiłam nie wypadać z formy.

- Czy wczoraj padało, księżno?

- Bynajmniej. Miałaś silną niedyspozycję żołądkową. Mon Dieu, jak silną!

Chryste, tego się obawiałam! Na dodatek zarzygałam się w nocy od stóp do głów.

Taki wstyd! Co mi odbiło? Przecież normalnie nie zachowuję się w podobny sposób. Parę razy byłam podchmielona, ale nigdy nie upiłam się do takiego stanu. Niewątpliwie odstawiłam wczoraj randkę nad randkami! Pogratulować! Czy człowiek zawsze tak nisko upada w konfrontacji ze swoim ideałem? A ja się zastanawiałam, kto mnie wczoraj rozebrał. Powinnam się zastanowić, kto mnie wczoraj domył przed snem.

- Czy to on? - zapytałam zamierającym głosem.

- Czy co kto?

Rozejrzałam się podejrzliwie po pustej sali i nachyliłam się do ucha księżnej.

- Czy to Pedro? - szepnęłam.

Spojrzała na mnie z nierozumiejącym zdumieniem. Ale na szczęście ja zrozumiałam.

Odsunęłam usta od jej ucha i nachyliłam się ku jej kolanom. Na nich leżał aparacik słuchowy.

- Czy to Pedro położył mnie do łóżka, księżno? - wrzasnęłam.

Świdrujące oczy księżnej pobiegły ku mnie. Przekręciła pokrętko w dół skali.

- Opanuj się, dziecko! W tym domu jest pokojówka.

Poczułam przepastną ulgę i z tej radości pochyliłam się, żeby pocałować księżną w rękę, jak to widuję na filmach. Ona zaś wyciągnęła dłoń z pilotem ponad oparcie wózka. Nie usłyszałam jednak muzyki.

89

- Czego księżna raczy słuchać? - zagadnęłam wytwornie. Naturalnie chciałam zapytać, gdzie podziewa się Pedro. Ale

nie potrafiłam się przemóc. Może on nie chce mnie już widzieć na oczy? Wcale bym się nie zdziwiła. Po co mam narażać się na odpowiedź, której wolałabym nie usłyszeć?

- Metalliki - wyjaśniła łaskawie księżna. - Ostatnio słucham metalu.

Niemądrze zamrugałam szczypiącymi mnie od wczoraj oczami. Osobiście nie dają rady Metallice. Zauważyłam, że gdy włączam ją podczas sprawdzania klasówek, nie stawiam stopni powyżej odpowiedniego. Najlepsze wyniki nauczania mam przy Annie Marii Jopek.

- Lubi księżna?

- Bynajmniej. Ale innej już nie dosłyszę. Od dziecka wychowywałam się wśród dźwięków. Grałam na pianinie, siostra na harfie, brat śpiewał tenorem bohaterskim, jakże mogłabym żyć w ciszy, riest-cepcuP. A że Bachowi się umarło...

Nie odwrócę się plecami do świata, skoro słońce też nad nim nadal wschodzi. Władczym ruchem pilota wskazała mi krzesło stojące pod ścianą. Przyniosłam je sobie i spoczęłam z istic księżęcą delikatnością, ponieważ czułam się, jakbym siadała na obolałej głowie, a nie na pupie. Magiczne oko aparatury nie mrugało.

- Należy wymienić baterie w pilocie - podpowiedziałam. - Nie działa.

~ Z pewnością działa. Nie włączałam muzyki pilotem, lecz dzwoniłam na służbę.

Nie zdążyłam zapytać, czy Pedro także należy do jej służby, gdyż otworzyły się dwuskrzydłowe drzwi i wszedł sam Pedro. Pod pachą trzymał plik gazet, ubrany był już po ludzku. W koszulę i spodnie. Dyskretnie skinął mi dłonią, szarmancko uklonił się księżnej.

- Dzisiejsza prasa, księżno - powiedział, kładąc gazety na stoliku. - Pozwoliłem sobie przejrzeć pierwszy.

- I cóż?

- I nie składałam wymówienia - odrzekł z uśmiechem, a księżna poklepała go pieszczotliwie po policzku, jak klepie się małego chłopca.

90

Patrzyłam na to ze zdumieniem, zastanawiając się, kim on może być dla niej i odwrotnie. Najsensowniejsza wydawała mi się relacja pracodawca - pracownik, ale skąd w takim razie zażyłe stosunki? Księżna spojrzała na mnie, jakby dopiero przypomniała sobie, że siedzę obok - i z kolei mnie poklepała po policzku. Jakby widok Pedra obudził w niej czułość dla mnie.

- Ach, prawda! - zwróciła się do Pedra. - Jak tam z ubraniem naszej dzieciny?

- Gotowe. Przynieść?

Spytał nie mnie, tylko ją. Chyba rzeczywiście miał mnie dosyć. Gdy skinęła głową i Pedro zniknął za drzwiami, odwróciła się do mnie z twarzą znów surową.

- To właśnie pokojówka - wyjaśniła dobitnie. - Kto?

- Pedro. Jest moją pokojówką. Cest-a-dire, dzienną oczywiście. Ciebie kładła do łóżka nocna pokojówka, Emilka.

- Chyba Pedro jest pokojowcem pani księżnej? - sprostowałam. Nie znam się na wyższych sferach, ale znam się na rodzajach rzeczownika. Przypuszczałam, że jest w tym domu może konserwatorem albo ogrodnikiem, ale pokojowcem?

- Jeżeli coś mówię, nie życzę sobie, aby mnie poprawiano! - oburzyła się księżna.

- Od niezliczonych lat wiem, co mówię. Pokojowiec, ma chere, przysługuje księciu. Ewentualnie hrabiemu, baronowi, mniejsza o tytuły. Chodzi o płeć. Moja płeć, aczkolwiek od jakiegoś czasu jej nie używam, jest jasno określona. Zarówno w towarzystwie, jak w obligacjach bankowych. Musieliśmy więc zmodyfikować płeć Pedra, skoro chciałam go zatrudnić. Tak się składa, że na razie nie podejmie innej pracy. Naturalnie odjęliśmy mu płeć tylko symbolicznie i tylko w ciągu dnia. Od osiemnastej do szóstej asystuje mi Emilka. Nasze sfery przez dwanaście miesięcy w roku żyją symbolami, gdyż w równej mierze hołubimy świat zastany, jak stwarzamy go od nowa rodową charyzmą. Swoją drogą, ma chere, musisz być une dame, pomimo alkoholowych skłonności, jeżeli zdołałaś sobą zainteresować stuprocentowego dżentelmena. Pedro to ktoś! Nie zauważyłam u niego tak modnych dziś chorych ambicji. Jako prawdziwy mężczyzna nie boi się zagrożenia swojej męsko-

91

ści. Nie siedzi na niej jak wylękniona kwoka na jajku. Ma co do niej pewność. Może być tym, kim chce, pozostając tym, kim jest. Dlatego właśnie jest moją dzienną pokojówką.

Kwestia serca, kwestia pamięci

Słuchając księżnej, czułam się tak, jakby w moje ciało od góry, poprzez odkorkowaną głowę, wsypywano kostki lodu. Takie jak do zwałającego z nóg drinka. Ich chłód stopniowo rozlewał się po mięśniach. Miało to chyba znieczulający efekt, ponieważ zniknęło łupanie w skroniach, ból między uszami, suchość ust i inne przykre dolegliwości charakterystyczne dla kaca. Klin klinem. Za to zalewała mnie nagła krew. Odnajdowałam w sobie dogłębne poczucie sprawiedliwości społecznej. Dotychczas nie przypuszczałam, że je w sobie noszę.

- Proszę przestać! - przerwałam księżnej. - Pani nie ma serca, proszę! Pani nie ma ludzkich uczuć! Nie zamierzam więcej mówić do pani „księżno"! Kategorycznie! Pani nie wolno traktować w ten sposób człowieka! Dlatego że nie ma pracy, domu?! Że jest skazany na pani łaskę?! On posiada wrażliwą duszę i płeć! Od Boga ją ma! Niezależnie od poziomu bezrobocia w kraju! On nie reaguje na wskaźniki giełdowe, tylko na ludzkie odruchy. Pani serce jest... zimne jak lód.

Z tym lodem skojarzyło mi się, ponieważ mną samą trzęsły dreszcze mimo słonecznego dnia za szeroko otwartymi drzwiami na balkon. Z emocji. Zdałam sobie nagle sprawę, że ta kobieta jest niebezpieczniejsza, niż sądziłam. Może odebrać

mi Pedra nieodwracalnie. Gdybyż tylko był jej utrzymankiem, Chryste! Nie byłoby w tym nic strasznego. Potrafiłabym o niego walczyć. Ale co pocznę, gdy ona zamieni go w hybrydę bez płci i godności?

Odwrociła ode mnie wzrok. Patrząc w okno, uśmiechała się pod nosem - lekceważąco, acz w dobrym tonie. Stara arystokracja umie godzić ogień z wodą, co bywa drażniące.

- Nic tu po pani wielkopańskim dystansie! Ja powiem swoje!

92

Niech pani się nie wydaje, proszę, że mając pieniądze, można sobie pozwolić na wszystko. Na zachcianki! Że można kupić człowieka! Mnie pani nie kupi! Mnie nie! Zawsze będę wolna i niezależna! Nawet jeżeli nadal nie będzie podwyżek w oświacie! A to znaczy, że nie pozwolę pani uczynić z Pedra swojej maskotki. Nie będzie go pani poklepywała po policzku, kiedy pani wygodnie! Nie będzie go pani traktowała jak swojego tresowanego niedźwiadka. Nie zasługuje na to! Nie usprawiedliwia pani fakt, że on jest jakimś cholernym bezwolnym, apatycznym...

Ktoś dotknął mojego ramienia. Odwróciłam się w furii. Za mną stał Pedro, trzymając w wyciągniętych ramionach tęczowo opalizujący stosik. Moje ubranie.

- Dziękuję ci za obronę, ale nie krzycz - powiedział z uśmiechem. - Nie masz racji. Poza tym księżna pani raczyła odłączyć aparat słuchowy.

Podeszłam bliżej wózka, przyglądając się z niedowierzaniem. Rzeczywiście.

Księżna bawiła się wyciągniętą końcówką słuchawek, nawijając ją na poślódkę chudy palec. Spojrzała na mnie, gdy się zbliżyłam, ale zareagowała na ruch, nie na dźwięk moich bosych stóp klaszczących o wyfroterowany do połysku parkiet.

- Nie słyszy? - zwróciłam się z wściekłością do Pedra. - Więc czego się jeszcze boisz? Dlaczego „księżna pani raczyła”? Dlaczego nie powiesz wprost „stara wariatka nie słyszy”?

- Ponieważ mówię to, co myślę. A nigdy nie myślę o księżnej per „stara wariatka”.

- Upodliła cię, a ciebie nie stać nawet na bunt? Zawodzę się na tobie co krok, Pedro. Co ja tu robię? Po co w ogóle wczoraj ruszałam się z domu? Dla kogo?

Pedro rzucił mi ubranie, więc musiałam je złapać, co wytrąciło mnie na moment z dumnej pozy. Ale nie mogłam pozwolić, żeby moja najlepsza bordowa bluzeczka walała się po byle książęcym parkiecie. Łapiąc ją, poślizgnęłam się, więc przerwałam przemowę, albowiem moralista mający kłopoty z utrzymaniem równowagi naraża się na śmieszność.

- Bierzesz mnie za kogo innego - powiedział Pedro. - Ja nie jestem tutaj lokajem, który pluje do wazy z zupą, kiedy państwo nie widzą. Pracuję u księżnej, ponieważ ją lubię, a ona mi

93

pomaga. Ja pomagam jej, a ona lubi etykietę. W ten sposób wszystko się zgadza.

Stanełam przed księżną, a gdy znów spojrzała na mnie, odezwałam się z mściwym uśmiechem - do Pedra, ale tak, żeby ona to widziała:

- Tylko że oboje wyglądacie teraz jak Pałac Zimowy po salwie z „Aurory”.

Żałośnie. Głupio jak sanki.

- Nie wysilaj się - powiedział Pedro. - Ona nie czyta z ruchu warg. Nie rozumie cię. A poza tym, co ci zawiniły sanki? Chodź, powiem ci, czego nie wiesz.

Wziął mnie pod ramię i pociągnął stanowczo za sobą. Zdażyłam jeszcze wykręcić głowę i na pożegnanie zrobić coś, co księżna na pewno zrozumiała. Pokazałam jej język.

Pedro wprowadził mnie do sypialni, w której się obudziłam. Idąc obok niego, wyczuwałam przez nocną koszulę, prawie na nagiej skórze, jego muskularne ciało, a przecież nie mogłam opędzić się od jego widoku w białym fartuszki i czepku, z miotełką w rękę i ze stukiem obcasików przemierzającego pokoje w amfiladzie. Nie mam pojęcia, jakie są obowiązki pokojówki i nie chcę tego wiedzieć. Mnie Pedro w mojej głowie przypominał panią Lidkę u Goški. Chryste!

- Ubierz się, zaraz przyjdę - powiedział.

- Nie! - krzyknęłam. - Nie wychodź stąd! Jeżeli stąd teraz wyjdiesz, nigdy nie zamienię już z tobą słowa!

- Uspokój się, będę obok. Kiedy skończysz, zadzwoń na mnie.

Wskazał na szarfę zwisającą obok łóżka z baldachimem.

Nigdy nie miałam nic przeciwko temu, żeby mężczyzna przyniósł mi śniadanie do łóżka. Lubię, kiedy wstaje na mój widok i przepuszcza mnie pierwszą w drzwiach. Nie mam nic przeciwko temu, żeby przepychał się do szatni po mój płaszcz. Ale dzwonić na mężczyznę? To już zdecydowana przesada! W życiu nie posunę się do czegoś podobnego! Dzwonić na mężczyznę to tak, jak gwizdnąć na kobietę. A gdyby jeszcze ona zareagowała?

- Zostań. Ubiorę się za parawanem - oznajmiłam chłodno. W rogu pokoju stał trójskrzydłowy parawan z przedstawioną na nim sceną polowania z chartami. Jesienny las, jeźdźcy na

94

łśniących koniach, psy, umykający rudy lis. Ręcznie malowany jedwab.

Przebierając się za jego osłoną, łączyłam przyjemność z oszczędnością czasu. Tylko w filmach widywałam kobiety przebierające się za parawanem, sama nigdy tego nie robiłam. To nie takie znów częste. Powiedzcie sami, czy przebieraliście się kiedykolwiek za parawanem? Prosta rzecz, a trudno dostępna. Kobieta za parawanem wygląda nad wyraz seksownie.

- NOO! - powiedziałam zachęcająco, przewieszając nocną koszulę przez ramę parawanu z wdziękiem Grety Garbo. To znaczyło: „Proszę, tłumacz się!”.

- Księżna jest moim sponsorem - odezwał się Pedro po tamtej stronie jesiennego lasu.

- Chyba pracodawcą i wyzyskiwaczem.

- Pracodawcą też, ale głównie sponsorem. Chce mi pomóc. Opłaca prenumeratę prasy, którą przeglądam w niezdrowym nadmiarze, płaci za podróż, jeżeli coś znajdę i jadę sprawdzić. Ja dużo szukam. Nie mógłbym sobie na to pozwolić z zasiłku. Przypomniałam sobie, że już w Krasce wspominał o poszukiwaniu zaginionych.

- Kogo ty właściwie szukasz? - zapytałam. - Kto zaginął?

- Ja zaginałem. Osobiście.

- Bardzo śmieszne. Jeżeli chcesz, powiem ci, gdzie jesteś.

- Przepraszam cię, to głupio brzmi, ale mówię poważnie -zapewnił za lasem Pedro.

- To ja zaginałem.

Zastygłam zjedną nogą w mojej brokatowej spódnicy, która bezwzględnie nie nadawała się na tę porę dnia. To mnie drażniło, ale znacznie bardziej drażnił mnie Pedro. Intuicja podpowiedziała mi, że on istotnie mówi serio. Za chwilę powie coś paskudnego. Ze wszystkich paskudnych rzeczy, które zdarzyły mi się z Pedrem, ta będzie najpaskudniejsza.

- Jak to zaginałeś?

- Straciłem pamięć. Nie wiem, kim jestem. Trzy miesiące temu znaleziono mnie na brzegu jeziora. Miałem rozbitą głowę i kapok na grzbiecie. Łodzi nie odnaleziono, więc prawdopodobnie zatonała. Od tej pory szukam kogoś, kto mnie szuka. Komu

zaginałem.

- Żonie?

95

- Nie sędzę. Nie nosiłem obrączki.

Kac powracał. Znowu czułem łomotanie w głowie. Chyba że to nie był kac. Wszystko jedno, co to było, w każdym razie łomotało jak diabli.

- Niektórzy mężczyźni nie noszą obrączki po ślubie.

- Bywa i tak - zgodził się.

Przecież to nie mój problem, pomyślałam. Jeżeli to jest czyjś problem, to jego i tej jego durnej żony. Jeżeli ją w ogóle ma. Bo może naprawdę nie ma? Wygląda na jednego z tych facetów, którzy noszą obrączki po ślubie. Nie wiem, po czym się ich rozpoznaje, ale rozpoznałam go. Tylko że to nie mój problem.

Z czerwonymi butami w ręku wyszłam z za parawanu.

- Zupełnie niczego nie pamiętasz?

- Zupełnie niczego.

- Nie wierzę w to.

- Ja też w to nie wierzę, ale tak jest.

Powoli obeszłam go dookoła jak jakiś eksponat w muzeum, a on zniósł to ze swoim szczerym sympatycznym uśmiechem. Czy tak uśmiecha się człowiek, który niczego nie pamięta? Który nie wie, kim był, skąd pochodzi, wśród jakich ludzi się obracał i jak się kiedyś uśmiechał, wiedząc jeszcze to wszystko? Chryste, czy z tego wynika, że ja jestem jedyną kobietą w jego życiu, odkąd sięgnie pamięcią? Jestem z nim od jego narodzin? Jestem jego Ewą daną przez Boga? Nie wierzę. Takie rzeczy nie zdarzają się naprawdę. A jeżeli już, to zdarzają się innym, nie nam.

- Rozmawiałam z tobą parę razy, spędziłam z tobą wieczór w klubie i nie zauważyłam, żebyś cegokolwiek nie pamiętał - orzekłam pewnie.

- A niby jak by to się objawiało? Mętzeniem oczu? Jąkaniem się?

»

- Jak możesz nie pamiętać? Przecież ty masz nawet swoją ulubioną reklamę! - krzyknęłam w rozpacz. - Tę samą, co ja!

Roześmiał się i wskazał palcem na moje buty, żebym je włożyła. Zrobiłam to posłusznie.

- To nie jest tak, że stajesz na wprost kranu i nie pamiętasz, jak się go odkręca - wyjaśnił Pedro. - Że widzisz szlaban i nie

96

wiesz, do czego on służy. Albo nie potrafisz ubrać się w koszulę. Zapominasz o rzeczach, które ułożyłaś sobie w głowie. Nie masz życiorysu, nie wiesz, że skończyłaś chemię, nie pamiętasz, z kim chodziłaś do kina. Ale znasz wartościowość pierwiastków i potrafisz opowiedzieć stary film. To się nazywa amnezja wsteczna i jest efektem fizycznego urazu. Podobno z czasem przemija. Ale u mnie jakoś nie chce.

Patrzyłam na niego tak podejrzliwie, jak nie patrzyłam nawet na tego faceta, którego tuż przed randką ze mną zwinęła policja.

- To wszystko jest nie do wiary, Pedro.

- A wiesz, że ja też bym tak pomyślał na twoim miejscu. Dlatego czuję wdzięczność dla księżnej. Uwierzyła, nie wymagała dyplomu ukończenia studiów, zatrudniła mnie bez rekomendacji. Potraktowała mnie jak matka.

- Ale przecież nie możesz być u niej pokojówką! Wdzięczność też ma granice!

- Dlaczego nie mogę? Przecież nie mam pewności, że dawniej nią nie byłam. Każda

ewentualność wchodzi w rachubę póki co.

-Ale istnieje prawdopodobieństwo! A prawdopodobieństwo, że byłeś dawniej pokojówką, nie istnieje!

- Nie szukam prawdopodobieństwa, tylko dowodów.

To chyba jakaś choroba. On nie mógł tak myśleć naprawdę. Stracił pamięć, a nie rozum. Nie mógł poważnie brać pod uwagę tego, że jego poprzednie życie było jakieś idiotyczne, postawione na głowie, bezsensowne.

- Powiedz mi, że tak nie myślisz.

- Myślę tak.

- Dobrze, myśl sobie co chcesz, nie obchodzi mnie to. Ale powiedz, że tak nie myślisz. Chcę to usłyszeć. Nic więcej.

- Myślę tak. Ale wierzę, że nie będę tak myślał zawsze. Tyle mogę obiecać.

Chryste, był uparty jak osioł. Głupi jak sanki. Nie rozumiałam go. Nie zależało mu na mnie ani trochę. Nie mogłabym z kimś takim wytrzymać ani dnia. Kolejna pomyłka mojego życia. Pomyłka od pierwszego wejrzenia.

- Przykro mi, Pedro - powiedziałam. - Tym bardziej przykro, że przez pewien czas myślałam sobie... Że przez krótki czas

7. Mężczyzna.

97

uważałam cię za mężczyznę, z którym mogłabym zbliżyć się w życiu. Którego potrafiłabym może pokochać.

- Doskonale się składa - uśmiechnął się - bo ja jestem pewien, że jesteś kobietą, którą...

- Nie przerywaj mi! - przerwałam mu w samą porę. - Mówię serio. Próbowalam cię pokochać jako czyścibuta, jako tajemniczego don Pedra z przytułku, jako Retta Butlera. Próbowalam cię pokochać w każdym twoim wcieleniu. Ale ty nigdy mi na to nie pozwoliłeś. Wszystko psujesz! Dlatego na pożegnanie mogę ci powiedzieć tylko jedno: Nie czekaj na mnie, Pedro, ja już nie wrócę!

Przebiegłam przez drzwi z lustrem, przebiegłam przez pokój z balkonem i księżną, przez następny pokój z telewizorem, przez korytarz wyłożony czerwonym chodnikiem, zbiegłam po kręconych schodach, napełniając ten wstrętny dom stukiem moich czerwonych pantofelków od piwnic po strychy. Minęłam nieznaną kobietę, podlewającą kwiaty w żardynierkach. Minęłam mężczyznę w czepku, obierającego marchew za uchylonymi drzwiami kuchni na parterze. Wypadłam przez wejściowe drzwi w skwar czerwcowego dnia, pierwszego dnia moich zasłużonych wakacji, i zatrzymałam się gwałtownie.

Przede mną między krzakami głogu wiła się alejka prowadząca do metalowej furtki.

Wcale nie tak, pomyślałam. Zupełnie wcale nie tak! Przecież jest odwrotnie, niż mu powiedziałam. Kompletnie odwrotnie. Próbowalam go przestać kochać w każdym jego kolejnym wcieleniu. I właśnie to mi nie wyszło!

A potem pobiegłam do furtki jeszcze szybciej, ponieważ obawiałam się, że nie wystarczy mi siła i zawrócę.

Margaryna

Po powrocie do domu stanęłam naprzeciw Johna R. Melga, żeby wynagrodzić mu, że nie spojrzalam na niego od rana. Werniks błyszczał w słońcu żalobnie jak lakier na trumnie.

98

Mieszkanie było wysprzątane, naczynia pomyte, risotto i cała reszta schowane do lodówki i ponakrywane odwróconymi talerzykami. Tylko Sebka stać na to, żeby zostawić po sobie porządek, zanim trzaśnie drzwiami. Nie schował dwóch

czerwonych świec, które dopaliły się na stole w strugach zakrzepłej stearyny. To znaczyło, że długo na mnie czekał; nie wyobrażam go sobie wychodzącego bez uprzedniego zgaszenia świec. Między nimi leżała kartka z odręczną notatką: Miłej zabawy. Nawet moim kosztem.

Usiadłam na kanapie i popłakałam się. Dlaczego zostawiłam faceta, jak się okazuje, z charakterem, dla takiego, któremu wszystko jedno, czy jest czyścibutem czy pokojówką? Teraz już na pewno z nikim nie pojedę na wycieczkę do Paryża. Nie chciało mi się jeść, nie chciało mi się myć, nie chciało mi się robić nic oprócz płakania. Za to w płakanie włożyłam całe serce. Łkałam i łkałam, aż zasnęłam.

Kiedy obudziłam się, był czas na obiad. Obiadu też nie chciało mi się jeść. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Zdawało mi się, że jeżeli wakacje potrwać jeszcze jeden dzień, umrę. Nie były wcale lepsze od poprzednich, kiedy to obchodziłam żałobę po moim małżeństwie z Markiem.

Wyciągnęłam z piwnicy rower i postanowiłam pojechać nim do ojca. Nie chciało mi się tego robić, czyli ani jechać do ojca, ani jechać rowerem, ale miałam nadzieję, że połączenie obu tych czynności nada im sens, którego nie miały z osobna. Summa summarum jestem optymistką, więc programowo nie mogę się załamywać. Ojciec był w domu, tylko mama nie wiedziała, gdzie. W gabinecie nie, w łazience nie, w garażu, w kotłowni, w ogródku nie. Stojąc na tarasie, wyjęłam komórkę i zadzwoniłam.

- Gdzie jesteś, tato? Szukam cię po całym domu.

- Wpadłaś do nas, Do? To miło. Akurat leżę pod samochodem.

- A samochód gdzie?

- Przed bramą. Coś się stało?

Poszłam w kierunku bramy. Pachniało kwiatami i upałem. Pełnia lata.

99

- Mam pytanie z zakresu neurologii, więc pomyślałam, że rui pomożesz.

- Ktoś źle się poczuł, nie daj Boże? Ty?

- Nie ja i nie nikt, mam zupełnie teoretyczne pytanie. Powiedz mi, czy człowiek może tak stracić pamięć, żeby niczego nie pamiętał?

Ojciec wysunął się spod samochodu, ale wciąż leżał oparty na łokciu, więc przykucnęłam przy nim. Pocałowałam go odruchowo w czoło, umazane smarem po korzonki włosów. Przetarł je szmatką dopiero po moim pocałunku.

- Na tym polega utrata pamięci - wyjaśnił, przyglądając mi się badawczo. -

Dlaczego to pytanie tak cię rozstraja?

- Wcale nie! - obruszyłam się. - Tak pytam. Też masz domysły! Niedługo nie będę mogła o nic cię spytać! Co może mnie rozstrajać w najzwyczajszym pytaniu?

- Tak pytam. Zazwyczaj nie mówisz ze mną przez telefon, stojąc vis-a-vis.

Psiakość, zapomniałam, że przez cały czas trzymam przy uchu komórkę. Tak jak zesłam z nią z tarasu, rozmawiając. Ale żeby ojciec wyciągał z tego wnioski, to przesada. Zawodowa choroba neurologów.

- Odsłuchuję pocztę głosową, korzystając z okazji - oświadczyłam z godnością. -

Powiesz mi, co z tą utraconą pamięcią, czy nie?

Ojciec wstał, umył się pod hydrantem i razem poszliśmy w kierunku domu. Mama naszykowała na tarasie herbatę, a do niej sernik z galaretką wiśniową.

- Po co ci to?

- Po nic. Piszę książkę.

- Znowu? Jeszcze tamtej ci nie wydali. Do książki musiałbym się przyłożyć, a nie tak z głowy przy herbatce. Znajdę trochę materiałów w bibliotece, przejrzyj

sobie.

- To o zakochanym jednorożcu. Fantasy. Nie musi być dokładne w szczegółach.  
- Dlatego nie lubię fantasy, że tam ogólnie jest niedokładnie. Mogłabyś wysilić się na coś ambitniejszego, córeczko. Masz Wakacje. Na polską Bridget Jones albo na Harry'ego Pottera. To przecież piszą kobiety.

100

- Może później - odpowiedziałam. - Na razie pozostajmy przy amnezji. Na tym też można się wybić. Pamiętasz „Znachora”?

Z tego, co ojciec mówił, zrozumiałam tyle, że Pedro nie kłamał. Są dwa rodzaje pamięci, deklaratywna i proceduralna. Tej drugiej się w zasadzie nie traci. Nie będę was zanudzała szczegółami, w każdym razie polega to na tym, że nadal gracie na trąbce, chociaż nie pamiętacie, kto i kiedy was nauczył. Ba, nie macie nawet pojęcia, kto to gra. Profesor Wilczur nie wie, że jest lekarzem, niemniej potrafi przeprowadzić operację. Pan X zapomniał, kim jest, ale nie przeszkadza mu to na co dzień wieść życia, jakie wiedzie każdy pamiętający.

Tyle ojciec. Ze swojej strony wiedziałam, że normalne życie z Pedrem jest większą fikcją niż fantasy o zakochanym jednorożcu. Taka redaktorka w rajstopach w ogóle by nie przełknęła podobnej igraszki wyobraźni. Więc czyja muszę? O nie! Dojadłam sernik, opowiedziałam mamie, jak Rapcuhowicz pomylił trepanację czaszki z profanacją czaszki, i pojechałam do domu. Ale nie dotarłam tam. Było dopiero wpół do szóstej, więc pomyślałam, że zahaczę o Sebka. Gryzło mnie sumienie. Nawet nie chodziło o to, żeby uratować ten Paryż, skoro reszta mojego życia poszła na marne, daję wam słowo.

Na mój widok Sebek nie powiedział, że pięknie wyglądam, ale właściwie mnie to nie zaskoczyło. Stałam przed nim w getrach i zakurzonych adidasach, z rowerowym kaskiem na spoconej głowie. Nie było się czym zachwycać. Mimo że nie liczyłam na uznanie, zrobiło mi się jeszcze smutniej.

Sebek siedział przy komputerze. To znaczy, wpuszczając mnie stał, jednakże wiedziałam, że siedzi przy komputerze, ponieważ on zawsze siedział przy komputerze, jeżeli siedział w domu. Tyle że na monitorze nie wyświetlały się teraz słupki i tabelki, które znosił na dyskietkach w pracoholicznym zacięciu, żeby w czasie wolnym skomputeryzować jeszcze więcej sklepów obuwniczych albo kombinatów pralniczych. Tym razem z dołu ekranu wystawała monstrualna armata o stu chyba lufach i za jej pomocą Sebek roznosił w pył wszystko, co się rusza. W monitorze przewalały się krwawe ochłapy, w więk-

101

szości wprawdzie pozaziemskiego pochodzenia, niemniej obrzydliwe.

- Co robisz? - zapytałam niewinnie.

- Gram! - odpowiedział mściwie Sebek. A potem, choć to wiele go kosztowało, dodał z pełną kulturą: - Usiądź. Napijesz się czegoś?

Nad komputerem wisiał plakat, na plakacie rozradowana Asia Robótek puszczała papierowy samolocik na tle katedry Notre Dame. Zaczynałam mieć jej dość. Asi Robótek, naturalnie, gdyż o katedrze już mi się nie śniło. Usiedliśmy z Sebkim w fotelach. Na monitorze plująca ogniem armata ruszyła w pewnej chwili samodzielnie, zalewając ekran krwawymi deszczami. Sebek nie reagował, więc też nie reagowałam. Usiadłam tylko bokiem, żeby mnie nie zemdlilo.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś?

- Po co?

- Zapytać się, jak mi poszło.

Oczy Sebka wyszły z orbit, grdyka rozedrgała mu się jak gałąź na wietrze.

- Czy ty dzwoniłabyś dopytywać się o moją randkę, Dominiko? Zbytek dobrego wychowania stawia obie strony w kłopotliwej sytuacji.

Sebek jak zwykle w chwilach podniosłych filozofował. Nie szkodzi. On dysponował niezbitymi argumentami, ja dysponowałam kobiecą przebiegłością. Nie miał szans w tej rozgrywce. Teraz to moje oczy rozszerzyły się w teatralnym zdumieniu.

- O jakiej randce mówisz?

- Czyżbyś miała ich więcej wczoraj?

- Nie byłam na żadnej randce! Miałam spotkanie z wydawcą. Swoją drogą, gdybyś mi o nim przypomniał, nie musiałabym lecieć w ostatniej chwili. To było dla mnie bardzo ważne. Napisałam książkę. To znaczy podpiszę umowę na napisanie książki. Mam wstępny plan. O zakochanym jednorożcu... - zakończyłam, ale to, co wystarczało na ojca, wydało mi się zbyt prymitywne na Sebka, więc dołożyłam na jego użytek: - ...który stracił pamięć.

- Już raz napisałaś powieść o jednorożcu - powiedział podejrzliwie Sebek.

102

- Ale nie o zakochanym, który stracił pamięć. Tamta była głupia jak sanki.

- Powiedziałaś wyraźnie, że wychodzisz na randkę - uparł się Sebek.

- Co najwyżej powiedziałam, że muszę przerwać naszą randkę, gdyż wychodzę! - Ja też się uparłam. - Chociaż nie pamiętam, że bym to powiedziała.

- Wcale tego nie powiedziałaś.

- Więc mówię, że tego nie powiedziałam, Sebku. Dokładnie to mówię, a ty jakbyś nie słyszał. Mam wrażenie, że koniecznie chcesz się ze mną pokłócić. Tylko nie wiem po co.

- Nie zamierzam się z tobą kłócić, niemniej...

- Nie zamierzasz, ale wszystko robisz w tym kierunku. Wmawiasz mi jakieś afery miłosne, przypisujesz mi zdania, których nie powiedziałam. Miałaś dzisiaj zły dzień?

Sebek spojrział na mnie spod oka. Z lekka bezradnie. Ruszył myszką, żeby uspokoić rzeźnię dokonującą się na ekranie monitora. Armata zastygła nieruchomo i zrobiło się milej.

- Fatalny, szczerze powiedziawszy!

- Tak czułam, Sebku. - Cmoknęłam go w policzek. - Zobaczysz, że się przepracujesz. Ostrzegałam nie raz. Usiądź wygodnie, zrobię ci masaż skroni. Zaraz pomoże.

W pewnym sensie czułam niechęć do siebie, że tak kołuję biednego Sebka. Ale z drugiej strony widziałam, że wraca mu chęć do życia. Nie obnosi się z naburmuszoną miną, zaprzestał wirtualnego mordowania. Robiłam to dla jego dobra. Przecież nie dla mojego. Mnie już nie zależało ani na Sebku, ani na Pe-drze. Masowałam skronie bezinteresownie, tak jak nakazują w Biblii - dla dobra bliźniego swego. Bez nadziei na nagrodę w życiu doczesnym.

- Zdaje się, nie zrozumieliśmy się wczoraj - domyślił się z ulgą Sebek.

- Dobrze, że nie zamierzamy związać się ze sobą na poważnie - pocieszyłam go. Powiedziałam to, żeby nie robił sobie nadziei. Zaraz pożałowałam uczciwości, bo Sebek skrzywił się, jakbym wbijała mu w skronie szpilki. Więc pomyślałam, że może zostaną u niego

103

na noc, a przynajmniej na kolację. Od wczoraj jestem mu winna kolację. Zapytałam, czy ma coś dobrego do zjedzenia i czy da mi ręcznik, to wykąpię się po rowerze. Sebek naturalnie miał wszystko, co potrzebne. Sądzę, że gdybym potrzebowała korka od wlewu paliwa w lodołamaczu, też by go znalazł. Ucieszył się, że akurat

kupił na kolację minogi. Świeże i smaczne. Nie wiem, co to minogi, ale zapewniłam, że świetnie, że je uwielbiam. Miałam nadzieję, że nie okażą się czymś w rodzaju homarów, których nie potrafię jeść i w restauracji nieodmiennie przeraża mnie zestaw „mały mechanik”, który kelner rozkłada obok nakrycia. Gdyby minogi należało jeść w sposób wyszukany, moje niewinne kłamstwo wyszłoby na jaw. Wycierałam się po kąpieli, szukając wśród kosmetyków Seb-ka takiego, który nadałby się chwilowo dla mnie, gdy nagle przyszło mi do głowy, że Sebek góruje nad Pedrem dosłownie we wszystkim. Jest rzutkim młodzieńcem na miarę czasów. A Pedro? Na randce zjawia się w stroju z okresu późnego Ludwika, ima się zeszlówiecznych zajęć, poszukiwania prowadzi via prasa, jakby szukał jeszcze ekspedycji Scotta czy jak mu tam. Tego, który utknął w drodze do bieguna, wiecie. Sebek na pewno szukałby przez Internet. Zresztą, po pierwsze, Sebek nie pozwoliłby sobie na zapomnienie, kim jest!

- Jak można znaleźć kogoś przez Internet, Sebku? - zawołałam w stronę kuchni, wycierając głowę. Warczał mikser, toteż musiałam go przekrzyczeć.

- Zależy kogo. Aktora? Piosenkarkę?

- Zwykłego człowieka. Który zaginął.

- Nie wiem. Nigdy nie szukałem. Są na pewno jakieś rejestry zaginionych.

- Umiesz je znaleźć?

Sebek wyjrzał z kuchni w fartuszkach w grochy, z otwartą puszką konserwowego groszku w dłoniach. Jak on potrafił zgrać wszystkie elementy!

- Teraz? Nie można po kolacji?

- Oczywiście, że później. Tego będę potrzebowała na po wakacjach, przymierzam się do ćwiczenia klasowego. Wystarczy, jak zerkniesz, kiedy skończysz w kuchni.

104

Najpierw zastawił stół. Jeszcze bez minóg. Albo bez mino-gów. W każdym razie rozpoznawałam potrawy, a ich przecież nie znałam. Przypomniałam mu o rejestrach zaginionych, żeby zjeść potem ze spokojną głową. Dobrał się do jakichś stron i zaczął mi wyświetlać zdjęcia zaginionych w tempie ekspresowym. Jakby go gonili! Może minogi podaje się na gorąco, chociaż mnie kojarzą się raczej z czymś a la frutti di mare.

- Przecież nie zdążę się przyjrzeć! - powstrzymałam go.

- Myślałem, że nie szukasz nikogo konkretnego.

- No bo nie szukam. Ale muszę to zrobić na przykładzie, prawda? Zgodnie z regułami pedagogiki. Powiedzmy, że moich uczniów zainteresują mężczyźni. Bruneci o zrosniętych brwiach, wzrostu powyżej metr osiemdziesiąt. To co wtedy?

- Zwykle są specjalne filtry. Odsiewają dane niepasujące do typu.

Sebek poklikał myszką. Od tego momentu komputer wyświetlał fotografie brunetów o zrosniętych brwiach. Nie zdawałam sobie sprawy, że na świecie jest tyle ideałów.

To znaczy było, zanim zaginęły.

- Klikaj tutaj - pokazał mi Sebek. - A ja pójde zrobić herbatę.

To, co mi pokazał, to była plakietka „dalej”. Obok były inne plakietki wzdłuż boku ekranu, jedna pod drugą. Na widok plakietki „członkowie grup przestępczych” poczułam chłód na karku. Nagle wydało mi się, że powinnam tam kliknąć. Przede wszystkim tam. Jak dotychczas z Pedrem sprawdzały się najgorsze warianty.

Gdy to robiłam, na ekranie poczęły wyskakiwać mniej lub bardziej zakazane gęby.

Jak z tych ukrytych kamer, które Gośka od początku wiązała z Pedrem. I

rzeczywiście, jedenasta czy dwunasta fotka, mała jak znaczek pocztowy, okazała się znajoma. Zobaczyłam plakietkę „powiększ”, więc kliknęłam. Twarz powiększyła się, ale zamazała. Jednak to był Pedro! Rozmazany Pedro! Nosił hiszpańską bródkę,

toteż zaraz pomyślałam, że poprzednio pomyliłam się. W przytułku nazwali go Pedrem nie z powodu dobranocki o Baltazarze Gąbce, tylko hiszpańskiej bródki.

105

Sebek wniósł gorące herbaty i wreszcie podał minogi. Nie zwróciłam uwagi, czym są.

- Podejdź szybko, Sebku - zawołałam go. - Powiedz mi, czyje to zdjęcie? I zrób, żeby było wyraźne, proszę! Coś się popsło!

Sebek pojeździł myszką, na ekran wysunął się tekst.

- Nie wyostrzy się- Malutka bitmapa. Jeżeli chcesz, zmniejsz ją, będzie ostrzejsza?

- Nie po to ją powiększałam, żebyś ty teraz zmniejszał. Nie ruszaj.

- Mogę ci powiedzieć, kto to taki. Gangster.

- To wiem! - zirytowałam się. - Myślałam, że lepiej sobie radzisz z komputerem!

- Radzę sobie. Zaginął trzy miesiące temu... Policja podejrzewa... że zabity w mafijnych porachunkach. Zamieszkały w Groblinie. Rozboje, narkotyki, prawa ręka tamtejszego...

- Sebku, umiem czytać! - przerwałam mu niecierpliwie. - Sama sobie poradzę. Tylko nie widzę jego nazwiska. Gdzie szuka się nazwisk w twoim komputerze?

- Nie ma nazwiska - powiedział Sebek. - Tylko Marek O., ksywa „Margaryna”. Chryste, jeszcze raz Marek? Czy nigdy nie uwolnię się od Marków? Czy nigdy nie uwolnię się od Pedra? Czy w tej sytuacji wolno mi zdradzić mu prawdę? Czy nie lepiej pozostawić go w nieświadomości na dobrej drodze, mimo że wkroczył na nią niechcący?

- Zadowolona? - zapytał Sebek. - Zatem siadajmy do stołu. Zapraszam.

Popatrzyłam na niego wzrokiem zamglonym, ale przytomnym.

- Przepraszam cię, Sebku - oświadczyłam pośpiesznie - ale muszę teraz wyjść. Mam spotkanie z wydawcą.

Nie mogłam mojego życia podporządkować minogom, których nawet nie rozróżniam. Są ważniejsze sprawy niż zapoznanie się z minogami.

Sebek zmartwił. Takich oczu nie miał nawet ostatnim razem.

- Znowu?! - wyszeptał bezradnie. - Kłamiesz mnie!

106

- Masz rację, nie mam spotkania z wydawcą - zgodziłam się, żeby nie przewlekać pożalowania godnej rozmowy. - Ale i tak muszę wyjść.

I wybiegłam, porywając po drodze rowerowy kask z wieszaka. Byłam już na dole, kiedy usłyszałam wołanie Sebka. Zbiegł za mną po schodach. Wręczył mi z ponurą miną wypakowaną reklamówkę.

- Co to jest? - zapytałam.

- Twoja połowa kolacji. Zjedz w wolnej chwili. Nie chciałbym, żeby nasza ostatnia wspólna kolacja się zmarnowała.

Popatrzyłam na niego w roztargnieniu. Ze zmarszczonymi brwiami i zimnym wzrokiem wyglądał jak stulufowa armata szalejąca w jego komputerze.

- Jak to ostatnia kolacja? Nie zrobisz mi tego, Sebku? Zawahał się na moment.

Ale nie ustąpił.

- Więc wróć na górę.

- Nie mogę - odpowiedziałam z uporem, choć serce schło mi w bolesny, trzepoczący się listek jesienny. - Nie mogę. Ja wiem, że minogi i w ogóle, ale uwierz mi, że naprawdę nie mogę. To jest silniejsze ode mnie.

Jest tylko gangster

Tym razem serce bardzo szybko przestało się we mnie trzepotać. Jeszcze nie odcepiłam roweru od kaloryferów na parterze, gdzie przykułam go, wchodząc do Sebka. Musiałam być twarda, skoro los tego ode mnie wymagał. Dość mazgajenia się. Należało wziąć sprawę w swoje ręce.

Zanim wsiadłam na rower, zadzwoniłam do willi księżnej. Odebrał mizdrzący się kobiecy głosik, należący zapewne do Emilki, pokojówki nocnej. Nie znałam jej głosu, mimo że utuliła mnie do snu dwadzieścia cztery godziny temu. Zapytałam ją o zmienniczkę imieniem Pedro, ale nie umiała powiedzieć, gdzie się podziewa. Pokój jest pusty. Dochodziła dwudziesta trzecia.

107

Wcale nie byłam pewna, czy o tej porze powinnam zajmować się kimś, kto włóczy się po nocach Bóg wie gdzie. Uznałam jednak, że mogę mu to darować. Tak się składa, że ja też nie jestem w domu. Mamy remis. Choć trudno mi było uwierzyć, żeby Pe-dro robił w tej chwili coś równie przyzwoitego jak ja. Zostawiłam Emilce numer telefonu. Powiedziałam, że mam ważne wiadomości i że w interesie zmienniczki leży, żeby się ze mną skontaktował w trybie pilnym. Niech zadzwoni od razu. Dziś późno wybieram się spać. Może wcale nie będę spała, bo mi się nie chce. Niech zadzwoni bez względu na godzinę.

Dopiero wtedy pojechałam do siebie. Nie lubię wracać do domu nocą na rowerze. O tej porze nasze miasto zamienia się w światową metropolię i można dostać w łeb równie bezproblemowo jak w Nowym Jorku. Tym razem jechałam wyludnionymi ulicami bez strachu. Chryste, czego się bać, gdy ma się bliskie kontakty z przestępczością zorganizowaną? Kiedy pija się z nią koniaki w Krasce i zostawia się jej swój numer telefonu. Oto problem, a nie przypadkowy bandzior, którego nie widziało się wcześniej na oczy i nie zobaczy się go później. Ani jego, ani roweru, ani torebki. Tak twierdzi policja, która się na tym zna.

Szczerze mówiąc, nie mogłam uwierzyć, że Pedro jest przestępczością zorganizowaną. Dopiero kiedy sobie uświadomiłam, że w filmach przestępczość zorganizowaną grywa i Al Pacino, i de Niro, i Pazura, i nawet Krzysztof Kolberger, zrozumiałam, że wszystko możliwe. Każdy może być przestępczością zorganizowaną. Nie ma na to mocnych.

Ale nawet jako przestępczość Pedro trzymał się tego czegoś denerwującego, co nie pasuje do ludzkiej normalności. Zawsze musiał być wyjątkowy nie w tę stronę. Bo cóż to za kretyński pseudonim: „Margaryna”?! Przecież nawet wstyd byłoby o tym wspomnieć, na przykład, w szkole. Wiesz, Sylwia, spotykam się teraz z Margaryną. Zastanawiam się, czy nie wyjść za Margarynę. Pokłóciłam się z Margaryną. Kocham Margarynę. Przecież to śmieszne. Tego się słucha jak jakiegoś durnego tekstu z reklam telewizyjnych, a nie jak rozmowy o życiu. W końcu są gangsterzy, którzy mają ksywki „Zakapior”, „Anakonda”,

108

„Majcher”. Też niemądre, ale przynajmniej nieośmieszające dla osób bliskich. Inna rzecz, czy da się być bliską osobą dla gangstera, nawet jeżeli przestanie używać ksywki i pozostanie na uczciwej drodze życia. Wloką się za nim sprawy, które nie dają spać po nocach. Czy kiedyś nie okażą się ważniejsze od wszystkiego innego?

Skręciłam w ulicę Rembisza i pomyślałam: Czego się boję? Wyciągnę go z tego! Kobiety wyciągają swoich mężczyzn z alkoholizmu, z narkomanii, z bylejakości, z nieudanych małżeństw, z nadwagi. Wyciągnę go i po sprawie!

Skręciłam w ulicę Kasacyjną i pomyślałam: Ale gdzie są te mężne kobiety? Czy znam choć jedno nazwisko? Czy znam choć jedną historię nie pochodzącą z

kolorowego czasopisma? Kto w ogóle powiedział, że zamierzam wiązać się z Pedrem, żeby go skądkolwiek wyciągać? Chyba zwariowałam na tle seksualnym! Kto mówi, że jedynie mężczyźni są niebezpiecznymi zbrojcami? A ja?! Jestem niebezpieczna dla samej siebie!

Kiedy dojechałam do domu, miałam już gotowe hasło na resztę szczęśliwego życia: „Nigdy więcej Pedra!”. Nie zdążyłam nacieszyć się własną radością. Z cienia przy klatce schodowej wynurzyła się mroczna postać i stanęła na mojej drodze. To był Pedro.

- Szybka jest ta twoja Emilka - stwierdziłam ponuro.

- Po pierwsze nie moja, po drugie dlaczego?

Wziął mój rower pod pachę i zniósł go po schodach. Pokazywałam mu drogę.

- Skoro zdążyłeś dojechać, musiała cię powiadomić od razu po moim telefonie. A po drugie miałeś zadzwonić, a nie przyjeżdżać.

Powiedział, że wcale nie rozmawiał z Emilką, tylko z własnej woli czeka tu na mnie od ósmej. Zastanawiał się, gdzie włóczę się po nocy. Ciekawe, bo ja w tym czasie zastanawiałam się, gdzie on włóczy się po nocy. Czyżbyśmy nawzajem wystawiali sobie złe świadectwo? Zaprosiłam go na górę, skoro już czekał, a on nie okazał zdziwienia, jakby właśnie tego się po mnie spodziewał. Jak zawsze nie miał kompleksów. Czy to nie jest typowe dla ludzi, którzy swoje problemy rozwiązują na drodze brutalnej przemocy?

109

Zapaliłam światło na stryszku, zerknęłam dyskretnie, czy gdzieś nie wala się stanik albo majtki, i poszłam robić kawę. Przez cały czas sprawdzałam kątem oka, co robi Pedro. Nie usiadł. Spacerował po pokoju, przyglądając się wszystkiemu. Nawet do kominka zajrzał. W innej sytuacji pomyślałabym, że brak ogłady. W tej sytuacji pomyślałam, że nawyk, którego nie kontroluje. Wiecie, ta trąbka, na której gracie, choć nie macie pojęcia, kto was tego nauczył. Pedro sprawdza, czy mieszkanie jest czyste. Nie czyste w sensie porządku, tylko czy nie ma tu zasadzki. Typowe zachowanie gangstera, który stanął na obcym gruncie.

- Tak sobie właśnie wyobrażałem, że mieszkasz - odezwał się do mnie. - Tylko nie wiem czemu wydawało mi się, że hodujesz kolorową rybkę w szklanej kuli.

Zdumiewające! Po pierwsze, myślał o mnie w samotności. Po drugie, skąd mu przysła do głowy rybka? Przecież o mało co rzeczywiście bym ją kupiła! Po trzecie, ma taką samą ulubioną reklamę jak ja! Oszłamiająca zbieżność charakterów! Czyżbyśmy byli sobie pisani mimo wszystko?

- John R. Melg - powiedział Pedro. - Skąd go wzięłaś? O ile się orientuję, to drogi interes, co?

Tego już było za dużo. Nadmiar szczęścia obudził we mnie uśpioną na moment podejrzliwość. Żaden z facetów, którzy odwiedzili to mieszkanie - nie licząc wujka Ryśka - nie rozpoznał obrazu Melga. Jakim cudem zna go akurat ten, który nie zna własnego życiorysu?

- Dostałam w prezencie - odpowiedziałam tajemniczo, zalewając kawę wrzątkiem.

A jeżeli Pedro mi kłamie? Wcale nie stracił pamięci, tylko ukrywa się przed swoimi kumplami. Coś było napisane przy jego zdjęciu o porachunkach mafijnych... Ale niby dlaczego miałby kłamać przede mną? Przecież ja nie jestem mu do niczego potrzebna. Nie zagrażam mu w najmniejszym stopniu. Nie będę sypać, bo nic nie wiem. Pedro nie boi się mnie, skoro choćby teraz może mnie udusić bez problemu. Chryste, a jeżeli właśnie po to przyszedł?! No bo po co? Skąd wytrzasnął mój adres, jeżeli jeszcze wczoraj sądził, że mieszkam w latarni morskiej?

110

- Lubię kawę - powiedział, gdy wniosłam tacę - ale miałem nadzieję, że skoro czekam na ciebie od ósmej, mogę liczyć na jakąś przekąskę.  
Z lekka bezczelne, nie uważacie?  
- Dlaczego czekasz tak długo? - zapytałam wprost, skoro on też nie owijał w bawełnę.  
- Przecież dzwoniłaś po mnie.  
- Ale dużo później.  
- Intuicja. Co masz do zjedzenia? Nie jestem wybredny. Podeszłam do lodówki i otworzyłam ją, żeby zyskać na czasie. Rozpakowałam reklamówkę od Sebka.  
- Na co miałbyś ochotę?  
- O ho ho! - Zajrzał mi przez ramię. - Risotto! Uwielbiam. Sałatka z tuńczykiem! Uwielbiam! Niezły z ciebie żarłok. Po co ci taka góra sałatek?  
- Smakują mi. Po prostu - odpowiedziałam. Przecież nie mogłam powiedzieć: „Ponieważ Sebek lubi jeść do syta!”.  
- Więc dlaczego ich nie jesz?  
- Bo nie mam na nie ochoty.  
- Ja mam! - oświadczył Pedro. - Pomogę ci przynajmniej w konsumpcji, skoro napracowałaś się sama. A w reklamówce co przyniosłaś? Minogi?! Jakbyś znała moje gusty! Ty też lubisz minogi?  
- Nie - odpowiedziałam sucho.  
- No to po co je kupujesz?  
- Na kolację. Ciesz się, że ty lubisz, zamiast kontrolować moje zakupy.  
Pedro ponakładał wszystko na półmiski, ja w tym czasie zastawiłam stół i uprzątnęłam ogarki świec. Czułabym się idiotycznie, spożywając z Pedrem kolację Sebka. Bez świec było zupełnie inaczej. Ale wino postawiłam. Żeby pokazać, że nie zawsze piję bez opamiętania. Jeden kieliszek będę sączyła przez cały wieczór. Pedro uniósł widelec nad talerzem i znów przyszło mi do głowy, że mógłby mnie zabić prztyczkiem w nos. Bez użycia noża i pistoletu. Przypomniało mi się, że przed chwilą wniosł półmiski niczym zawodowy kelner. Trzymał je czubkami palców na

111

wysokości ramienia. Chryste, ile bym teraz dała, gdyby naprawdę był kelnerem lub czyścibutem! Bo przecież skąd wziął mu się ten kelnerski gest?

- Jak dowiedziałeś się mojego adresu?

- Poszedłem do szkoły, zajrzałem do dyżurki i zapytałem woźną, gdzie mieszkasz.

Proszę, jakie to wszystko proste!

- Woźną? Powiedziała ci od razu tak chętnie?

-Nie. Musiałem ją przypalić papierosem. Śpiewała jak z nut.

Oczywiście żartował, ale dlaczego żartował w taki sposób? Człowiekowi nie przyjdzie do głowy z niczego, żeby żartować na temat przypalania papierosem. Ale dlaczego w ogóle gubię się w domysłach, skoro wiem na pewno? On jest gangsterem. Nie muszę przypuszczać. Nie potrzebuję trafić w ciemno. On jest, a ja o tym wiem.

- Wiem, kim jesteś - oznajmiłam uroczyście.

Zastygł z widelcem przy ustach. Spowaźniał po raz pierwszy dzisiaj wieczora i uświadomiłam sobie, że naprawdę niczego nie pamięta. Bardzo mu zależy, żeby sobie przypomnieć.

- To znaczy, być może wiem - poprawiłam się. Dla ostrożności.

Pomyślałam, że nie uwierzy mi w gangstera. Teraz, kiedy jest normalnym

człowiekiem, nie uwierzy. Żaden człowiek nie uwierzyłby, że jest przestępcą, a nic o tym nie wie. Mogłabym wcale mu nie przypominać, skoro szczęśliwie się odmienił. Tylko że wtedy nieustannie będę się przy nim obawiała, że sobie jednak sam przypomni. Nerwy mnie zjedzą. Będę mogła go wyciągnąć z tej całej mafii, jeżeli uprzednio go do niej wpakuję na powrót. Inaczej się nie da. Ale z drugiej strony nie mogę zakomunikować wprost: „Jesteś gangsterem”, wyśmiej mnie. Może jednak najpierw spróbować z kelnerem? Co ja mówię? Z jakim kelnerem?! Po co z kelnerem!? Nie ma kelnera! Jest tylko gangster!

Opowiedziałam mu, że w autobusie zajrzałam przez ramię facetowi, który czytał gazetę. Wsiadł, nim doczytałam do koń-

112

ca. Zauważyłam zdjęcie, niewyraźnie. Tekst też niewyraźny, bo trzęsło. Jezdnie straszne. Na Ułańskiej - to było na Ułańskiej - wyboje po pas. Zapamiętałam adres. Miejsowość. Chyba tyle wystarczy, żeby od czegoś zacząć?

- Co ty mówisz? Na pewno moje zdjęcie?

- Dlaczego pomyślałabym, że twoje, gdyby nie było twoje?

- Co to za miejscowość?

Powiedziałam, że mu nie powiem. Chcę z nim pojechać. Pokażę. Tam mieszkają może jego rodzice, starzy i schorowani. Zrozpaczeni zaginięciem syna. Zobaczą go zniecka i zawał gotowy. Albo też ja się pomyliłam, dajmy na to, oni nastawią się na syna, a to nie syn. I zawał gotowy. To trzeba jakoś inaczej rozwiązać.

Miałam naturalnie na uwadze porachunki gangsterskie, o których było w Internecie, ale przecież nie mogłam powiedzieć Pedrowi, że mafiosi chcą go zabić. Może jest słabej konstrukcji psychicznej po rodzicach i zawał gotowy.

- Jak inaczej rozwiązać? - zapytał niecierpliwie. - Pocztówkę im wyślę?

- Moim zdaniem powinniśmy zjawić się incognito - powiedziałam.

- Ja od trzech miesięcy wszędzie jestem incognito.

- Mam na myśli przebranie. Żeby cię nie poznali od razu. Chyba nie zamierzasz narazić na szok własnych rodziców? Zobaczą cię w przebraniu, serce im mocniej zabije i stopniowo przywykną do myśli, że ich syn wrócił...

Pedro patrzył na mnie spod oka, przeżuając ostatnią minogę. Czy może ostatniego minoga? Znowu nie zdążyłam zorientować się, co to za specjał.

- W przebraniu! - zachnął się. - Przecież to głupie jak...

- ...jak sanki - podpowiedziałam. - Masz rację. Ja też tak uważam. Ale zdaje się, że nie mamy innego wyjścia.

Wysłałam Pedra do księżnej, żeby przygotował wszystko na rano. Zresztą do niczego więcej się nie nadawał po tej wiadomości. Sama położyłam się do łóżka, choć me zasnąłam. Gapiłam się na Johna R. Melga, romantycznie oblanego Księżycową poświatą, i zastanawiałam się, co ja właściwie roi

113

8. Mężczyzna...

Zwariowałam, wariuję czy mam zamiar? Prawie zasypiałam, kiedy odezwała się komórka. SMS od Goški. Dlaczego się nie odzywasz? Umarłaś?

Tak, odpisałam jej o piątej nad ranem. Ale może się wyliżę.

Paskudny piękny dzień

Nie macie pojęcia, jaki był piękny dzień! Słoneczny, ciepły, bezchmurny niby niebo nad naszymi głowami. I nie macie pojęcia, jak człowiek może paskudnie się czuć dlatego, że jest piękny dzień! Niewykorzystany dzień! Spapwany! Zmarnowany na ponure sprawy, które powinny dziać się w deszczowe dni, i tak spisane na straty.

Pedro pożyczył samochód od księżnej. Obawiałam się, że to będzie prototypowy daimler benz ze szprychami w kołach, ale dzięki Bogu wóz okazał się - powiem wam oględnie z uwagi na kryptoreklamę - nowym polskim lindą. Do wyboru był jeszcze zwykły pazura, lecz w lindzie jedzie się wygodniej. Do Groblina mieliśmy kawałek drogi, aż nad morze.

Prowadził Pedro. Wzięłam ze sobą prawo jazdy, ale postanowiłam nie dotykać samochodu księżnej. Jeszcze coś zepsuję i do końca życia nie wyjdę z długów. Wprawdzie to tylko linda, a nie schwarzenegger Gośki, ale nie wierzę w podwyżki w oświacie nawet na miarę lindy. Siedziałam na fotelu pasażera w mojej letniej mini, w bluzeczce z wycięciami na ramionach, gapiłam się przez okno na prace żniwne i było mi z tym dobrze. To znaczy źle.

Zwłaszcza gdy w oko wpadał mi Pedro. Wyobraźcie sobie bruneta metr osiemdziesiąt dwa w mojej kiecece maksy (która u niego wypada midi), w mojej koszuli nocnej przerobionej na letnią bluzkę (bo w normalne bluzki się nie mieścił) i w moim staniku pod spodem, zesztukowanym na plecach tasiemkami i wypchanym papierem toaletowym (a i tak nie wyglądało, że ta pedropodobna panienska ma piersi, gdyż tułów był proporcjo-

114

nalnie za duży). Do tego ruda peruka sylwestrowa trzymana przez opaskę opuszczoną aż na brwi, no bo przecież zrastające się nad nosem brwi to dla kobiety koszmar. I silny makijaż, puszczający w upale. I wielkie klipsy. Gdybyście to zobaczyli, też nie byłoby wam do śmiechu. Właściwie posikalibyście się ze śmiechu. Aleja nosiłam w sercu niezgłębiony żal.

Jak to tak? Całe życie marzyłam o facecie z jednodniowym zarostem, który to zarost w razie potrzeby kazałabym mu zapuścić na poczekaniu. Tymczasem Pedra musiałam ogolić do gołej skóry - i to wraz z nogami. No, nie ja dosłownie, sam się ogolił, ale co za różnica? Wczoraj nie mogłam znieść myśli, że jest pokojówką, po której nawet nie było widać, że nią jest, tymczasem dzisiaj rano sama dobieierałam Pedrowi damskie ciuszki, w których wyda się najbardziej kobiecy pod słońcem. Czy to nie pachniało paranoją? Chryste, nie życzę wam, żebyście kiedykolwiek zakochały się w gangsterze.

On znosił swoje przebranie lepiej niż ja. Wczoraj wybrzydzał, dziś stroił śmichy-chichy. A mówi się, że kobieta jest zmienna! To utwierdziło mnie w przekonaniu, że nawykł do maski, kostiumu, podwójnej twarzy, podwójnego życia, podwójnej moralności. Nawet jeżeli o tym chwilowo zapomniał. Czy znajdziecie inne wytłumaczenie? Włóżcie kiecekę, wypchany stanik, wypacykujcie się jak lalka i wyjdźcie w tym na ulicę. Zobaczymy, czy będziecie się czuły komfortowo. Nie, nie! Sorry! Wy będziecie się czuły jak trzeba, gdyż jesteście kobietami. Ale Pedro jest mężczyzną! Idealnym! I nie zauważałam, żeby męczył się w swoim ubraniu. A raczej w moim ubraniu. Czasem tylko narzekał, że stanik ma za ciasny. Zwłaszcza to mnie denerwowało. Znacie mój obwód w biuście. Nie jest to Pamela Anderson, ale wstydzić się nie mam czego. Pedro zaś ubolewał, jakby zetknął się z niespotykanym kalectwem damskim. Już o dziesiątej rano pragnęłam, żeby ten dzień skończył się jak najprędzej. Tymczasem mieliśmy jeszcze sto kilometrów do Groblina.

Zatrzymaliśmy się na parkingu przy motelu. Na śniadanie. Powietrze przestało przewiewać kabinę, od razu zrobiło się duszno i dopiero wtedy poczułam ten zapach.

115

- Czym tak się wypachniłeś? - zapytałam podejrzliwie Pe-dra. Jego pojęcie o

urokach kobiecości było stanowczo zbyt rozbuchane.

- Niczym - odpowiedział i pokazał na swój skromny biust: - Papier toaletowy jest perfumowany. Wywietrzeje z czasem.

- Boże! - powiedziałam i już nic więcej nie chciało mi się mówić.

Zamówiłam jajecznicę i dziobałam ją widelcem. Pedro za to nie żałował sobie. Bez przerwy wołał kelnera. A może jeszcze plasterek szyneczki, a może galaretkę z nóżek, a serek, a korni-szonek, a rydzyk z octu, jak na wielkanocnym śniadaniu.

Czy on przejmował się wyjaśnieniem swojej przeszłości? To ja się tym przejmowałam. Na wszystkim zostawiał ślady szminki, jakby miał na talerzykach same buraczki. Wszędzie czerwono. Szminka na szklankach, szminka na serwetkach papierowych, na nożu, na widelcu, na schabie na zimno, na kromce chleba. Na tym, co połykał, i na tym, czego jeszcze nie tknął. Nie mam pojęcia, jak to robił.

Przecież ja też się maluję i w życiu nie osiągnęłam takiego efektu. Poza tym kto uwierzy, że kobieta tyle je? Szkoda moich zmarnowanych ciuchów.

- My, kobiety, nie pozeramy, tylko podskubujemy, jeżeli już nie mamy innego wyjścia! - pouczyłam go szeptem.

- Nie bój się - odszepnął. - W razie potrzeby poskromię swoją męskość!

Mówiąc to, przykrył usta koniuszkami palców niczym panienka z dobrego domu. Od czasu do czasu chichotał piskliwie, głupkowato. W ramach żartu. Znam wybredniejsze żarty. Co ciekawe, zachowanie Pedra podobało się kelnerowi bardziej niż moje. Obskakiwał go w lansadach, zmieniał talerzyki z uśmiechem, w ogóle uśmiechał się z daleka. Do Pedra, nie do mnie. Zgroza! Ja poprosiłam go tylko o sól do jajecznicy. Wziął ją z sąsiedniego stolika i postawił przede mną z hukiem, nie patrząc, jakbym miała niewyobrażalne kaprysy. A kiedy Pedro napomknął, że smakuja mu maciupcie korniszony (tak się wyraził: „maciupcie”), dostał talerzyk ogórków wielkości paznokcia. Dość, pomyślałam, przecież nie będę zazdrosna o mężczyznę, że lepiej niż ja sprawdza się jako kobieta. Mam chyba swój honor?

116

Ten kelner ma po prostu niepokładane z hormonami. Ale to jego problem, nie mój. Przy stoliku obok siedziało dwóch facetów, młodzi, w moim wieku, i oni obaj też patrzyli na Pedra jak kelner. Tak zwane spojrzenie z wykrekiem, wstęp do kontaktu intymnego. Uśmiechali się, coś do siebie komentowali, któryś pomachał zalotnie ręką. Nie to było najgorsze. Najgorsze było, że ten kretyn Pedro odmachwał mu, trzepocząc rzęsami. No i już za chwilę obaj siedzieli przy naszym stoliku.

Nazywali się Juras i Maras, a myśmy nazywali się, jak dowiedziałam się z ust Pedra, gdy nas przedstawiał, Domka i Pamela. Studentki agroturystyki. Ostatni rok. Na pierwszy rok na pewno nie wyglądałyśmy. Zwłaszcza on.

Juras i Maras robili interesy. Nie ujawnili, jakie konkretnie. Maras wyjaśnił nonszalancko, że takie jak wszyscy. Miałam najgorsze podejrzenia, ale Pamela szczebiotała zawzięcie, jakby sama uwierzyła, że jest Pamelą. Troszkę się spłoszyłam, że zaproponowałam to przebranie. Może człowiek, który stracił pamięć, akceptuje dowolną osobowość, byle nie mieć pustki w głowie? Brzmi prawdopodobnie czy nie? Czyżbym nieświadomie wtrąciła Pedra w wiry kobiecej psychiki?

Śmiertelnie groźne dla nieprzywykłego!

To pytanie gnębiło mnie. Pod pretekstem poprawienia makijażu wymknęłam się do łazienki, żeby zadzwonić do ojca. Oderwany od konsultacji w szpitalu uspokoił mnie, że uprawiam domorosłą psychoanalizę. Bez pokrycia w faktach. Jednorożec,

który stracił pamięć (z ojcem konsekwentnie trzymałam się jednorozca), nie może z braku własnych wspomnień uważać się za elfa. Z drugiej strony czułam rozgoryczenie, że coraz więcej rozmów zmuszona jestem przeprowadzać z ubikacji. Czy człowiek może tak nisko upaść?

Kiedy wróciłam do stolika, Pamela zdążyła umówić się z Jurasem i Marasem, że ich podwieziemy. Oni nie mieli samochodu. A właściwie mieli, tylko że się zepsuł. Dałabym głowę, że jedyne, co dolegało ich samochodowi, to pełne popielniczki. Parkował gdzieś tu niedaleko. Wystarczyło popatrzeć na ich złote bransolety i łańcuchy, żeby wiedzieć, że jeżdżą co najmniej

117

marlonembrando bez dachu. Tylko że woleli zabrać się z nami. Dziewczynami.

Ja domyślałam się, dlaczego. A Pamela?

Pamela w ogóle nie myślała! Miała w tej rudej główce pu-ściutko jak w pustej stodole! Bawiło ją nieprzytomnie, że może tych facetów owinąć sobie wokół palca.

- Na plażę? - Zakłaskała w ręce. - Oczywiście, że na plażę! Uwielbiam plażę!

Bo Maras i Juras obiecali zabrać nas na odjazdową dziką plażę niedaleko Groblina.

- A wzięłaś z domu kostium? - zapytałam ponuro.

- Po co mi kostium? Juras mówi, że to plaża dla nudystów! Z początku sądziłam, że żartuje. Ale on zatracił poczucie

rzeczywistości! Był wniebowzięty, że nikt nie rozpoznaje w nim mężczyzny.

Dlaczego na tej podstawie sądził, że na plaży nudystów uda mu się zachować incognito? Ja też jestem optymistką, ale to, co prezentował on, było

psychiatrycznym przypadkiem optymizmu!

- Nie zamierzam iść na plażę nudystów! - oświadczyłam, wsiadając do samochodu.

- Nie bądź taka sztywna! - pouczył mnie Maras. - Tam jest superzaście, mówię ci.

- Nie lubię plaż i nie lubię, jak ktoś mówi superzaście!

- Nie bądź taka sztywna! - poparła Marasa Pamela.

- Jeżeli zamierzasz iść na plażę nudystów, ja wysiadam tutaj!

- Ojejku, dobrze! Pójdziemy na normalną, skoro kaprysisz - zgodziła się Pamela.

Juras i Maras nie odezwali się, ale czułam, że już mnie nie lubią. Jeszcze bardziej mnie nie lubią, niż nie lubili mnie przed chwilą. Gdyby to od nich zależało, rzeczywiście wysiadłabym tutaj. Szybciej bym wysiadła, niż nadażyłabym przebierać nogami. Ich stężone uczucia promieniowały z tylnego siedzenia, wisiały w kabinie lindy jak siekiera. Nie powiem, żeby jechało mi się luksusowo. Tylko Pamela nie traciła humoru.

- Zobaczcie, jakie krowy! - szczebiotała. - Jak ja uwielbiam krowy!

118

Sama jesteś krowa!, myślałam z wściekłością, ale Juras i Maras posłusznie patrzyli za okno. Na łąki, które niczym nie różniły się od poprzednich łąk i od następnych.

- Holenderka - rozpoznał Juras, który miał widać zacięcie eksperta.

- Znam takiego Pietrasa z Torunia - powiedział Maras, któremu zawsze się kojarzyło, acz odległe. - Ma normalne ranczo. Hoduje strusie. Takie jajo, żeby było na twardo, gotujesz dwie godziny. Lepsze niż wołowina, bo nie wściekłe, nie? A z krową to masz pewność?

Może chodziło o to, że faceci zawsze najlepiej dogadują się we własnym gronie?

Są jak duże dzieci. Potrafią godzinami rozmawiać o krowach, o samochodach, o futbolu. Dla mnie piłkarze mogliby położyć piłkę na środku boiska i rozejść się do domów. Nawet nie wymagałabym, żeby rzucali monetę, kto wygrał. Facetom to nie wystarcza. Oni ustalają taktykę lepszą od tej, która jest. Analizują, co by było,

gdyby piłka poleciała dwadzieścia centymetrów w prawo. Wrzeszczą na sędziego. Skaczą przed telewizorem. Obliczają kasę zaangażowaną po obu stronach boiska. Awanturują się z sąsiadami. Rozkładają tabelę rozgrywek taką wielką, że zwisa z obu końców stołu. Wypijają skrzynkę piwa. Przechodzą stan przedzawałowy. A jak się to wszystko kończy? Tak jak przewidziałam. Piłkarze zostawiają piłkę na środku boiska i rozchodzą się do domów! Nie można było wcześniej zapytać kobiety?

- Oko ci puściło - oznajmiłam Pameli z mściwą satysfakcją. W upale lewy oczodół posiniał jej od tuszu. - Marne kosmetyki. Gdzie kupujesz?

Kosmetyki były dobre, moje. Za grubo nałożone każde by puściły. Ale niech tamci dwaj wiedzą, że ich ulubienica nie jest taka znowu doskonała.

Pedro nakierował na siebie wsteczne lustro, nie zważając, że prowadzi.

- O mamuuuuniu, jak ja teraz wyglądam?! Nie patrzcie na mnie!

- Dobrze jest - orzekł rycersko Maras. - Grunt, że wszystko masz na miejscu. Namalować to sobie każda szprota może!

119

Nie wiem dlaczego, ale odniosłam wrażenie, że pije do mnie. Gdybym się odwróciła, zobaczyłabym wbity we mnie zły wzrok. Tak nie może dłużej być, pomyślałam. Musicie zrozumieć, chłopcy, kto tutaj rządzi. Inaczej poprzewraca się wam w głowach!

Przestałam zważać na ich szczebiot, tokowanie, flirtowanie, gruchanie. Przejęłam inicjatywę, choć na razie o tym nie wiedzieli.

Podsunęłam moją mini wyżej na udach, a potem założyłam nogę na nogę w ten sposób, że stopy opierały się o przednią szybę. Nie było to wygodne, ale czego się nie robi dla sztuki. Moje wyprostowane gołe nogi pięły się stromo na wysokość wzroku siedzącego mężczyzny. Pedro mógł robić piękne oczy do wieczora, lecz nie był w stanie przeciwstawić swoich ogolonych nóg moim naturalnym nogom. Stosunek SUP obwodu uda do pędny jak u króliczków „Playboya” - i cały ten SUP było teraz widać jak na dłoni.

- Strasznie tu ciasno, można formalnie zdrętwieć - zakomunikowałam niewinnie. Zapadła cisza. Najpierw obok mnie, następnie za moimi plecami. Pamela zgubiła wątek i badawczo oceniała ze skosa zarówno moje nogi, jak i moje zamiary. Dwa razy zapomniała wrzucić trójkę.

- Ty, Domeczka, lepiej prowadzisz od Pamelki? - zagadnął mnie dwornie Maras. Pewnie że nie zapomniałabym wrzucić trójki, gdyby obok mnie ktoś wyprostował nogę.

- Ja to w ogóle nie umiem prowadzić - wyznałam. - Ja to się formalnie boję samochodów. Jeszcze się coś zepsuje albo ktoś mnie najedzie.

- Tak od razu nie najedzie - pocieszył mnie Maras. - Chociaż teraz takie raszple robią prawo jazdy, że trzeba je usadzać przodem do kierownicy.

- Ale niemądre! - zachichotałam. - Ty, dajmy na to, nigdy byś nie usiadł przodem do kierownicy, prawda, Maras?

Maras roześmiał się szczerze za moimi plecami.

- Nie o to chodzi, Domeczka! Niezła jesteś!

120

- Zdejmij może nogi, bo nie widzę po prawej - poprosił Pedro.

- Co chcesz widzieć po prawej? Tam nic nie ma.

- Krowy.

- Daj już spokój z tymi krowami, Pamelka - odezwał się Juras. - Niech sobie dziewczyna rozprostuje kości. Inne krążenie, nie?

W pierwszym lesie Pedro zatrzymał się. Przez chwilę byłam zaniepokojona, o co mu chodzi. W końcu nie był lepszy od tamtych. Nawet gorszy. Co z tego, że swój? Las to las!

- Poprawianie makijażu! - obwieścił Pedro. - Panie na prawo, panowie na lewo!

Kiedy zaś panowie zniknęli w lesie mieszanym za szosą, pociągnął mnie do lindy.

- Słuchaj - powiedział - doszedłem do wniosku, że nie mogę iść na żadną plażę.

Ani nudystów, ani inną. Na łopatce mam wytatuowane skrzypce przebite mieczem.

Widziałem w lustrze. Typowo męski motyw. Rozpoznałoby mnie, nie sądzisz?

- Bez wątplenia - zgodziłam się z ulgą.

Pedro zatrzasnął drzwi i bezbłędnie nadusił gaz. Ruszyliśmy z piskiem opon jak w filmie „Dawno temu w Ameryce”. A właściwie jak w „Pół żartem, pół serio”.

Dziewczyna gangstera

Groblin był niewielkim miasteczkiem wypełnionym zapachem ryb i głosami mew, choć ani ryb, ani mew nie było widać. Do pierwszej w południe spacerowaliśmy z Pedrem po rynku. Wpół do dwunastej zaczepił nas całkiem oficjalnie diler narkotyków, a za piętnaście pierwsza sprzedawca ekologicznych sznurowadeł. Szczerze mówiąc, sznurowadła wydawały mi się bardziej odjazdowe niż oferowane nam narkotyki, bo nie umiałam rozgryźć sensu ich istnienia. Niemniej ich także nie kupiliśmy. -W najlepszym razie dostaniemy udaru słonecznego -

121

orzekł spocony i rozmazany Pedro. Kręcił niecierpliwie wiatraczką moją torebką ze złotej lamy. - Albo pomyliłaś zdjęcia, albo miejscowości. Tutaj nikt mnie nie rozpoznaje.

- Jak mogą cię rozpoznać, skoro jesteś przebrany za Pamelę? Polakierowanymi paznokciami Pedro zdjął ostrożnie lepłą

od tuszu rzęsę, która przyczepiła się na jego fioletowej powiece, i westchnął z rezygnacją.

- Więc po jakie lichy się przebrałem?

- Żeby cię nie poznali.

- I to się udało. Ale w takim razie po co tu jesteśmy?

- Żebyś ty kogoś poznał! Wtedy otworzy ci się klapka w głowie. Neurologia mówi, że często tak bywa przy leczeniu. Co robisz w domu, kiedy o czymś zapomnisz?

- Siadam?

- Nie. Wracasz na to samo miejsce. Wróciłeś, patrz i kombinuj!

Wytrwałości starczyło mu jeszcze na pół godziny bezskutecznego kombinowania.

Potem uznał, że nic go nie obchodzą zawały w Groblinie. Może mieszka tu samotnie?

Z powrotem przebiera się za siebie i niech wreszcie ktoś go rozpozna!

Domyślcie się, na czym polegała genialność mojego pomysłu? Rzeczy Pedra zostały na stryszku! Nieodwracalnie daleko stąd!

Przedstawiłam alternatywny plan działania. Dzwonimy do Emilki, żeby zastąpiła

Pedra jeszcze jutro. Wieczorem łązimy po wszystkich knajpach w mieście - tam

spotyka się miejscowa elita, gdyż innej rozrywki nie ma. Chyba Pedro nie wątpi,

że należy do elity? W razie niepowodzenia wynajmujemy pokój w hotelu. Rano

kupujemy męskie ciuchy i zaczynamy jeszcze raz bez przebrania. Wydaje mi się, że

Pedra najbardziej przekonał pokój w hotelu. W każdym razie zgodził się. Wtedy

powiedziałam, że teraz rozdzielamy się, w ten sposób wykonamy podwójną robotę.

Pedro łązi po ulicach i węszy, ja - ponieważ nie jestem podfałszowana jak on -

udaję się na policję, zajrzeć w spisy zaginionych. Spotykamy się w tym miejscu o

siedemnastej.

Naprawdę czułam się jak dziewczyna gangstera. Byłam nieustraszona, pomysłowa i

przebiegła. Dochodziły we mnie do głosu najbardziej gangsterskie cechy charakteru, choć w ich mięk-  
122

kim, kobiecym wydaniu. Gdy dwie ulice dalej zaczepił mnie podchmielony wyrostek, nawet się nie przestraszyłam.

- Wiesz, kto to Margaryna? - zapytałam, stanąwszy w rozkroku na środku chodnika.

- Bo co?

- Jestem jego kobietą!

Wyrostek poblądł. Miał wąską twarz szczura i rozdygotane ręce. Rozłożył je w przeproszającym geście, zanim szczurzym krokiem czmychnął między stragany.

- Pani wybacz - rzucił przez ramię. - Nie poznałem pani w pierwszej chwili. Nie było rozmowy. Ukłony dla Margaryny.

Chryste, w ten sposób mogłabym w naszym mieście przespacerować cały park po zmroku, podczas gdy teraz boję się zbliżyć do bramy w samo południe. Nie dało się zaprzeczyć, że przy wszystkich nieuchronnych wadach Pedro jako Margaryna ma swoje zalety.

Naturalnie w istniejącej sytuacji nie zamierzałam ryzykować wizyty na policji. Chodząc po ulicach i uliczkach, szukałam pewnej wywieszki. Nie wiedziałam, jak będzie brzmiała dosłownie, ale wiedziałam, czego ma dotyczyć. Znalazłam ją w zaułku pachnącym świeżym chlebem. Nad drzwiami po lewej wisiał szyld „Piekarnia”, a obok drzwi po prawej przyśrubowano blaszaną tabliczkę, której szukałam. „Głos Grobliński. Redakcja”.

W środku siedziała w małym pokoiku tęga dziewczyna, od-sztafirowana lepiej niż Pamela. Na ścianach porozwieszano stronice gazet, na biurku stał komputer z czarno-białym monitorem. To znaczyło, że redakcja nie ma sponsora i jest niezależna.

- Interwencja czy skarga? - zapytała mnie czujnie pani redaktor.

- Mafia! - wyrębałam jej prosto w oczy.

- To lepiej proszę przyjść, kiedy będzie naczelny.

- Nie mam czasu - odpowiedziałam i usiadłam na biurku, zakładając nogę na nogę, jak to dziewczyny gangsterów. One siadają tak w nocnych barach, ale nie miałam baru pod ręką. Pomyślałam, że pięknie by wypadło, gdybym zaśpiewała teraz „Bye, bye, baby” albo coś w tym stylu. Ale, niestety, to byłby już krok za daleko.

Szkoda.

123

- Pani mi pomoże.

- Nie mogę pani pomóc, póki nie ma naczelnego.

- Może pani chociaż wysłucha, w czym rzecz?

- Wolę nie słuchać, póki nie ma naczelnego.

- A kiedy będzie naczelny?

- Nie wiem. Najpóźniej w środę rano, bo mamy kolegium redakcyjne. Chyba żeby nie przyszedł na kolegium.

Ta data nie urządziła mnie, nawet gdyby przyszedł. Popatrzyłam na czarodziejkę w szpiczastej czapie, z różdżką zakończoną gwiazdką. Pani redaktor „Głosu Groblińskiego” miała taką broszkę przypiętą do dekoltu. Widocznie to była dobra wróżka, gdyż podszeptała mi pomysł. Zesłam z biurka i usiadłam na krześle naprzeciw redaktorki.

- Wydajemy ogólnopolski leksykon lokalnych gangsterów - powiedziałam konfidencjonalnie. - Ogromnie prestiżowa pozycja. Wszystkie redakcje, które udzielą nam pomocy, będą osobno wymienione. Nie licząc honorarium. Renomowane

wydawnictwo, konsultanci o najwyższych wyrokach. Na pewno nieobce jest pani nazwisko redaktor prowadzącej?

Odczekałam chwilę dla efektu, a potem wymieniłam nazwisko redaktorki w rajstopach, która tak bezceremonialnie obeszła się z moim jednorożcem. Imienia nie znałam, ale samo jej nazwisko z tytułem miało większą siłę przebicia niż ja osobiście. Redaktorka z czarodziejką na biuście przybladła z emocji.

- Ta, o której myślę? - szepnęła.

- Dokładnie ta - potwierdziłam zimno.

Redaktorka z czarodziejką nalała sobie gazowanej wody. Mnie też.

- Pewnie, że znam. Miałam okazję poznać ją osobiście. Jesteście blisko?

- Uważa mnie za swoją prawą rękę - przytaknęłam. - Szczerze powiedziawszy, beze mnie by zginęła. Jestem jej oczami, uszami i terminarzem.

- Gdyż ja... - zaczęła redaktorka z czarodziejką i zatknęło ją. Popiła łyk wody.

- Gdyż ja złożyłam u was książkę. Napisaną przeze mnie. Za trzy miesiące mam się dowiedzieć. Czyli teraz już za miesiąc i półtora tygodnia.

124

- Książkę? - zdziwiłam się uprzejmie. - Fantasy? To najlepiej u nas idzie.

Wszyscy piszą wszystko, ale czytają tylko fantasy i Grocholę.

- Nie, nie - zaprzeczyła nieśmiało redaktorka. - Ani fantasy nie napisałam, ani Grocholi. To taka historia o miłości. O zwyczajnej kobiecie jakich tysiące, która ma swoje różne pragnienia. Zaczyna się, kiedy ona chodzi po sklepach i wybiera prezent na urodziny dla koleżanki. Zauważa mężczyznę swoich marzeń... Zresztą może pani czytała?

- Nie. Ja czytam dopiero kiedy szefowa stwierdzi, że warto. Widocznie jeszcze do pani nie doszła. Codziennie dostajemy czterysta dwadzieścia sześć maszynopisów powieści. To bardzo dużo. Zwłaszcza że trzeba je przynajmniej przekartkować.

-Tylko przekartkować? - przestraszyła się redaktorka z czarodziejką.

- Nie tylko. Jeżeli wciągnie, to się czyta. Pani książka na pewno wciągnie. O miłości zawsze raczej wciąga. Szczególnie nas, kobiety, prawda? Ale odbiegłyśmy od tematu.

- Tak, rzeczywiście - zgodziła się redaktorka. - Więc ona nie może zdobyć się na odwagę, żeby podejść do wymarzonego mężczyzny. Ale wyobraża sobie, że radzi się go w sprawie prezentu dla koleżanki. Tego, którego szuka po sklepach, pamięta pani? To jest bardzo liryczna scena marzeń. Odbywa się w brzozowym lasku o zachodzie słońca, a na straganach sprzedawane są czerwone korale. On je kupuje za gotówkę, jeden sznur rzecz jasna, ale nie dla koleżanki, tylko dla niej. Dla bohaterki. Wzrusza ją swoim zachowaniem do łez. Postanawiają wspólnie kupić coś dla jego przyjaciela ze studiów. Po fizyce, szalenie przystojny...

Ani się spostrzegłam, kiedy autorka weszła na taki etap komplikacji fabularnych, że już nie mogłam przerwać, nie narażając się na jej nienawiść. Wreszcie zadzwonił telefon. Redaktorka odebrała z wściekłością. Odpowiedziała, że kotlet z buraczkami, i odłożyła słuchawkę. Telefon natychmiast zadzwonił po raz drugi. Tym razem redaktorka odpowiedziała, że na posiedzeniu rady miejskiej i że chodzi o trzysta pięćdziesiąt tysięcy. Jeżeli padnie suma czterysta, trzeba zadzwonić do naczelnego.

125

Znów Odłożyła słuchawkę z nienacka, ale nie dałam się przechytrzyć p^ raz dragi. ?'?'-,)

~ sWo już pani przerwała w najciekawszym miejscu, ja też zadzwonie \_ oznajmiłam z porozumiewawczym uśmiechem. Zęby redaktorka z czarodziejką była pewna, że

wiele już nas łączy. - SzefoVa na pewno się niecierpliwi. Lepiej, żeby siadła do pani ksią% w dobrym nastroju. Ja nawet znajdę wydruk zaraz po powrocie i schowam do pierwszego lipca - zniżyłam znacząco głos: - Qna będzie miała okres. Potem niech czyta.

- niekuię pani - rozczuliła się redaktorka z czarodziejką na biuście

- Więc co jej mogę powiedzieć?

- Q mojej książce?

~ W książce sama się zorientuje. Chodzi nam o tego waszego gan^stera. Margarynę.

~ \cb Margarynę... - ocknęła się redaktorka. - Gdzie myśmy n\iej materiały na Margarynę? W komputerze nie, bo kradną dyski. W „Przeglądzie Bzowskim”, to taki nasz zaprzyjaźniony tygodnik, ukradli wszystkie twarde dyski i automatyczną sekretarkę. Włamali się do redakcji. Ludzie zrobili się tacy do F\*rzodu, że materiały inne niż elektroniczne w ogóle nie są uważaj za naka na nikogo. Więc tajne rzeczy trzymamy w szu-fladacbj na piśmie.

Ro^mawiając ze mną, otwierała po kolei redakcyjne szuflady. Wyfhr^jy z nich fiszki i świstki papieru, sypały się maszynopisy, wypadły zaproszenia i fotografie. Wreszcie redaktorka tryumfalnie wy^zarpneja z dna kolejnej szuflady dużą szarą kopertę.

^Marek O., Margaryna! - oznajmiła. - W prokuraturze mają ledwie połowę tego!

Wysypała na biurko stosik dokumentów. Nie zwróciłam uwagi, c010 jest, ponieważ wpadła mi w oko błyszcząca kartka sporeg 0 formatu.

~ odjęcie? Duża bitmapa, mam nadzieję? Znaczy ostre, a nie zamaz^ne ;ak w komputerze? - zapytałam. - Rzucę okiem, dobrze?

- PNr0SZę bardzo. Nasz reporter zrobił je trzy miesiące temu. Albo <% wa> nje pamiętam.

126

- Raczej trzy - odpowiedziałam. - On potem zaginał. Redaktorka z czarodziejką na biuście podała mi zdjęcie

Margaryny.

- Zaginał dla policji - poprawiła mnie. - Nie mogą mu dostarczyć wezwania na przesłuchanie, gdyż zaginał. Ale tak w ogóle to widuję go tu na ulicach prawie codziennie. Włóczy się od knajpy do knajpy.

Nie słuchałam jej. Widok twarzy na zdjęciu zmroził mi krew w żyłach. To nie był Pedro. Nawet niepodobny. Może trochę, ale nie bardziej niż trochę. Nie wiem, jak mogłam pomylić tego człowieka z Pedrem? Może dzieje się ze mną coś odwrotnego niż z Bernim? On widuje w Goście wszystkie kobiety świata, ja we wszystkich mężczyznach dostrzegam Pedra? Ale nie to zmroziło moją krew, lecz fakt, że osoba ze zdjęcia nie była mi nieznana. Wcale nie! Zgadnijcie, kogo zobaczyłam? Marasa! Tego Marasa, którego parę godzin temu zostawiliśmy wraz z Jurasem w środku lasu mieszanego.

- To na pewno jest Margaryna? - upewniałam się.

- Bez wątplenia. Wszyscy go tu znają jak zły szeląg. Sksero-wać go pani?

- Nie, dziękuję - odpowiedziałam z roztargnieniem. - Zapamiętam.

Poradziłam redaktorze z czarodziejką, że jeżeli książka o miłości zostanie załatwiona odmownie, niech nie przywiązuje do tego wagi. Moja szefowa nie podpisała do druku ani jednej książki Sienkiewicza, a przecież facet się wybił. Mimo że pisał poprawnymi zdaniami. Grunt to trzymać fason!

Następnie wyszłam z redakcji „Głosu Groblińskiego” zupełnie bez fasonu, oszołomiona i zszokowana. Po pierwsze było mi głupio, że wyciągnęłam Pedra na bezsensowną eskapadę. Po drugie nie pojmowałam, jak mogłam się tak idiotycznie

pomylić? Owszem, zdjęcie w Internecie było małą bitmapą, czy jak to tam Sebek wymyślił, ale żeby aż tak? Czyżbym kierowała się jednak tą obsesją, o której wspominała Gośka? Po trzecie nadal nie wiedziałam, kim jest Pedro. Niewiele mnie pocieszało, że być może nie jest przestępcą. Jako była dziewczyna gangstera czułam się podle.

127

Kupiłam sobie lody na osłodę i szłam, liżąc je i gapiąc się na wystawy, ponieważ już nie musiałam szukać zapomnianej przeszłości Pedra. Ani nie obawiałam się, że on sam ją znajdzie pod moją nieobecność, bo nie znajdzie. W każdym razie nie tu. Przede mną skosem wjechało na chodnik auto, srebrzysty melgibson, w którym głośno grała płyta Krawczyka i Bregovicia, więc zatrzymałam się, żeby je przepuścić. Ale ono nigdzie nie chciało jechać. Otworzyły się jednocześnie przednie drzwi po obu stronach, a męski głos powiedział: - To ta! Ta upierdliwa! Facet w okularach wysiadł z kabiny dziwnie węzowym ruchem, wyswobadzając się z wzorzystej kamizeli, którą zrzucił z ramion i zostawił we wnętrzu wozu. Zsunął okulary na czoło i dopiero wówczas zauważyłam, że jego brwi zrastają się nad nosem. Maras we własnej osobie.

Bez Jurasza, za to zły jak osa.

Raptus puellae

Nawet nie zdążyłam krzyknąć. Na środku ludnej ulicy Maras wpełznął mnie na tylne siedzenie srebrzystego melagibsona, a sam wpakował się za mną. Lody wypadły mi z ręki i zachlapały śnieżnobiały gors mojej bluzeczki z wycięciami na ramionach. Trzasnęły drzwi, zapiszczały opony, rozśpiewał się Krawczyk. Za oknami mknęły niskie domy Groblina. Wszystko przebiegło sprawniej niż raptus puellae w starodawnej Polsce, kiedy to kawaler porywał pannę w celach erotycznych. Ileż naczytałam się o tym z wypiekami na twarzy w dawnych powieściach. Okazało się, że nie było czym się zachwycać.

Obok siebie czułam trzymającego mnie przezornie pod ramię Marasa, przed sobą widziałam tego drugiego, który prowadził. Właściwie widziałam tylko jego byczy wygolony kark, ale to w zupełności mi wystarczyło. Wołałabym nigdy nie oglądać reszty.

128

- Nieładnie, Domeczka - powiadomił jadownicę Maras.

- Z czym? - udałam głupią, co u boku Marasa przyszło mi nad wyraz łatwo.

- Nieładnie zostawić człowieka w środku lasu. A gdyby tam były wilki?

- Ale zdaje się nie było?

- Ale gdyby były? Nieładnie stwarzać zagrożenie dla zdrowia i życia. Można za to dostać w dziób, aż się obliźniesz!

- Chyba nie będziesz bił kobiety, Maras? - zapytałam i uśmiechnęłam się blado.

- Mogę cię potraktować jak kobietę, skoro wolisz. - Maras też się uśmiechnął.

- Albo tak i tak - dorzucił ten z przedniego siedzenia. - Przyjemne z pożytecznym.

Przyjęłam złą taktykę i musiałam wycofać się czym prędzej. Ręka bolała mnie w żelaznym Marasowym uścisku, do bólu fizycznego zaczynały dołączać udręczenia psychiczne. Groźba to groźba, co dopiero groźba z ust gangstera!

- Kto tu kogo źle potraktował? Chyba z pięć minut was wołaliśmy... Wołałyśmy - poprawiłam się. - Nie słyszałyś... Nie słyszeliście?

- Dlaczego nie? Po lesie głos się niesie daleko.

- No widzisz.

Ten z przedniego siedzenia odwrócił się ku nam. - Tu?

- Tu - potwierdził Maras.

Samochód skręcił i pojechał w dół po nasypie.

Zrozumiałam, że oni już dawno mają umówione, co ze mną zrobią. Być może krążyli po Groblinie i szukali mnie i Pameli, żeby doprowadzić swoje zamiary do finału.

Mściwi, niebezpieczni maniacy! A jeżeli Pedra dopadli wcześniej i zdążyli załatwić się z nim przede mną? Albo teraz bije go Juras? Dopiero na tę myśl ogarnął mnie prawdziwy strach.

- Dokąd mnie wieziecie?

- A jak myślisz? To mógł być taki piękny dzień, Domeczka, a ty wybrzydzałaś.

Pamelka chciała jechać na plażę, ty nie. Pa-melka chciała zrzucić ciuszki na słoneczku, ty nie. Pamelka by-

9. Mężczyzna.

129

„aa mi ledwie do łoda- rfa morską głębi. j,rzucic n\*

w wodzie w mol

ł°fSoiei bluzeczki by

? mój makijaż spływa

otrząsałam czekający

SamAsie Robótek

»u'nhoardu stojącego nasi

"\*? ????? makijażu, uśn

wnienafkłv kieliszek szampar

?skowysmuk^ łamAsiRc

f Chryste menaw kknna ś,

????? Pomeważ zawsze I^tuSi- Ponieważ natrzą

IS wiedząc, a zatem me g

"-No chodź, chodź, nie ociągaj

-Pierwszy etap masz zaliczony. Tj przesadzałaś. Teraz zdejmujemy b

-Niczego nie zdejmę! - oswu

?????.

-Jeżeli wolisz, my to zrobimy,

io, uprzedzam. Kiwał na mnie życzliwie dłoni;

wpelzały fale. Żeby nie wdepnąć \ Kombinowałam gorączkowo.

zdołałabym dopłynąć. Ale dogoi

wszvstko jedno. Obydwaj. Przecie suche ciuszki i złote łańcus

śladem.

Okulary przeciwsłoneczne z?

samochołu. Miałam więc jesz\*

4 stanik i majtki. Długo ta za

4 że potem ją przerwą? Na do

Dopiero nabiorą ochoty do s

-Poczekaj, Maras, dojdźmy

13

ła dla nas miła, ty nie. Miałaś na nią zły wpływ. To mnie denerwowało. A na końcu namówiłaś ją, żebyście uciekły. Przede mną się nie ucieka, Domeczka! Czego to mi brakuje, żebym straszył panienki? Może mam nawet więcej, niż ci się zdaje, raszpło jedna!

Melgibson zjechał na pustą plażę i sunął wzdłuż brzegu morza, wyrzucając spod kół fontanny piachu. Nie przywieźli mnie wprawdzie do nudystów, ale przywieźli mnie na kompletnie wyludnioną plażę. To nie mogło być przypadkowe. Nie chcieli

świadków!

- Gdzie przyjechaliśmy? - zapytałam nerwowo. - Tutaj nic nie ma!

- Ale będzie! - odpowiedział z zadowoleniem ten z przedniego siedzenia. -

Jeszcze jak superzaście będzie, przekonasz się!

Spróbowałam wyrwać się Marasowi, ale trzymał mocno. Spojrzałam przez tylną szybę.

Daleko za nami wrzynało się w morze molo, ale stąd nie było widać na nim ludzi.

Jakieś małe punkciki. Po piasku kołowały cienie wrzeszczących mew.

Maras otworzył drzwi i brutalnie wypchnął mnie na brzeg. Upadłam na kolana.

- Nauczymy cię plażowania, żebyś już nie robiła problemów nikomu więcej!

Ten z byczym karkiem wysiadł po swojej stronie. Na dobry początek zgasił

Krzysztofa Krawczyka wraz z Bregoviciem.

- Jakiego plażowania? Proszę cię, daj spokój, Maras, proszę

- powiedziałam twardo. - To jest karalne.

- Plażowanie nie jest karalne - odpowiedział mi byczy kark.

- Pyskowanie jest.

- Zaczniemy od lekkiej kąpieli i stopniowo dojdziemy aż do plaży nudystów -

wyjaśnił mi Maras. - Żebyś posmakowała wszystkiego, co było ci na dzisiaj pisane.

Mamy czas.

Zanim zdążyłam się zorientować, chwycili mnie pod ramiona. Niebo i ziemia

zawirowały nad moją głową, pofrunęłam w górę jak piórko. Poczułam nagły chłód i

zamknęła się nade mną woda. Zachłysnęłam się, straciłam dech. Rozpaczliwie

młóciłam ramionami, żeby nie utonąć, aż zorientowałam się, że

130

to panika. Woda sięga mi ledwie do bioder. Przecież nie zdołaliby mnie dorzucić na morską głębię, skoro sami nie zamoczyli podeszew.

Stałam po pas w wodzie w mokrym, lepiącym się do ciała ubraniu. Przód mojej

bluzeczki był umorusany lodami. Moje włosy ociekały, mój makijaż spływał, mój

honor nie istniał. Zanim jeszcze dostrzegłam czekających na mnie na brzegu tych

dwóch, zobaczyłam Asię Robótek. Patrzyła na mnie z gigantycznego billboardu

stojącego na skarpie. W eleganckiej bieliź-nie, w nienagannym makijażu,

uśmiechnięta i wznosząca zwycięsko wysmukły kieliszek szampana. Nie to co ja.

Chryste, nienawidziłam Asi Robótek bardziej niż Marasa, byczego karku i

czegokolwiek na świecie. Ponieważ miała serce twarde jak gład. Ponieważ zawsze

była zadowolona z siebie do nieprzyzwoitości. Ponieważ natrzęsała się z mojej

kłębki, wcale o tym nie wiedząc, a zatem nie groziły jej nawet wyrzuty sumienia.

- No chodź, chodź, nie ociągaj się! - skinął na mnie Maras. - Pierwszy etap masz

zaliczony. Tak strasznie było? Jak zwykle przesadzałaś. Teraz zdejmujemy

bluzeczkę i powtarzamy.

- Niczego nie zdejmę! - oświadczyłam, plując wodą i piaskiem.

- Jeżeli wolisz, my to zrobimy, Domeczka. Ale będzie bolało, uprzedzam.

Kiwał na mnie życzliwie dłonią, odsuwając się, gdy na brzeg wpełzały fale. Żeby

nie wdepnąć w nie nieopatrznie.

Kombinowałam gorączkowo. Może uciec wodą? Do mola zdołałabym dopłynąć. Ale

dogonią mnie morzem czy lądem, wszystko jedno. Obydwaj. Przecież w razie

potrzeby odżałują te swoje suche ciuszki i złote łańcuszki i wskoczą do wody

moim śladem.

Okulary przeciwsłoneczne zgubiłam, kiedy mnie wyrzucili z samochodu. Miałam więc

jeszcze na sobie bluzkę, spódnicę, buty, stanik i majtki. Długo ta zabawa nie

potrwa. Kto mi zaręczy, że potem ją przerwą? Na dobrą sprawę dopiero się

rozkreca. Dopiero nabiorą ochoty do swawoli.

- Poczekaj, Maras, dojdźmy do porozumienia, proszę -  
131

proponowałam pojednawczo, nie wychodząc z wody. - Wszystko to jest pomyłka, uwierz mi.

- Domeczka, ty cholernie lubisz sprawiać kłopoty! - warknął Maras. - Zawsze komplikujesz proste sprawy.

- Te modele tak mają - stwierdził filozoficznie byczy kark.

- No to ja ją przemodeluję od ręki!

- Czemu nie? Przyjemne z pożytecznym. Zdjęłam bluzkę i rzuciłam ją na brzeg pod ich stopy.

- Wyjdź! - popędził mnie Maras.

Skuliłam się w staniku. Było mi zimno i kretyńsko i bałam się. Ale nie ruszyłam się na krok. Chociaż nie zamierzałam ich wcale rozwścieczać, zanim czegoś nie wymyślę. Na razie wymyśliłam tyle, że tu niczego nie da się wymyślić. Czułam, że jestem znacznie mniejszą optymistką niż zwykle. Chryste, czyżby dwa przygłupie matoly miały ze mnie zrobić pesymistkę na resztę życia?! Niedoczekanie ich!

- Wyjdź, bo pożałujesz! - wrzasnął Maras.

Sięgnął pod pachę, szarpnął gwałtownie, w jego rękę zobaczyłam pistolet. No jasne, przecież ci durnie potrafią wpakować kulę w łeb, kiedy ktoś krzywo się uśmiechnie. Sebku, Sebku, w złą godzinę powiodłeś mnie niewinną do tego piekielnego Internetu.

- Maras! - usłyszałam z daleka piskliwy krzyk. - Hej, Maras! Brzegiem nadbiegała Pamela, kręcąc radośnie moją torebką ze złotej lamy. Ale jak nadbiegała! Gdyby dawano Oscary za nadbieganie, Pamela zgarnęłaby wszystkie za ten rok! Kolana do siebie, stopy na zewnątrz! Niejedna kobieta nie potrafi tak kobieco nadbiegać. I szczerzyć się w uśmiechu promiennie jak sanki!

- Pamelka! - odkrzyknął jej Maras, przezornie chowając pistolet na miejsce.

Stojąc, rozłożył ramiona w miłosnej zachęcie. Ja sterczałam na pół goła w morzu.

A Pamela nadbiegała, kręcąc młynka moją torebką.

Coś obrzydliwego. Jak w melodramatach filmowych, kiedy ona nadbiega, żeby wpaść jemu w ramiona. Najczęściej nadbiega łąką, ale często nadbiega też pustym brzegiem morza. Fale szumią, mewy kołują, cienie suną po rozslonecznionym piasku.

132

A czas wydłuża się niemiłosiernie, ponieważ zwalniają zdjęcia. Ale na filmach nie dłuży się aż tak, jak w rzeczywistości, w której to rzeczywistości twój ideał mężczyzny nadbiega w radosnych płasach, żeby wpaść w ramiona innego mężczyzny, który właśnie chciał ci zdjąć majtki przez głowę.

W końcu jednak czas wraca do normalnego tempa i wydarzenia gwałtownie przyspieszają. Teraz było dokładnie tak samo. Nadbiegająca wdzięcznie Pamela nie wyhamowała, żeby wtulić się namiętnie w Marasa, tylko z pełnym rozpędem przydzwoniła mu w głowę moją rozkręconą torebką ze złotej lamy.

Miała w niej piasek, który eksplodował dookoła niczym żółty dym. Maras wynurzył się z niego, lecąc bezwładnie na twarz. Zanim chlupnął w rozbełtaną piankę fal, Pamela zadarła spódnicę po pas i z półobrotu kopnęła w czułe miejsce byczy kark. Kiedy się przygiął, poprawiła mu kolanem w nos i wysoko unosząc stopy, wbiegła do wody, żeby chwycić mnie za rękę.

- Chodu! - wrzasnęła niskim głosem Pedra.

Pociągnął mnie za sobą, że ledwie nadażyłam przebierać nogami. Mokra spódnica lepiła mi się do ud. Woda z mokrych włosów zalewała mi oczy. Przewróciłam się

dwa razy u podnóża skarpy i od tej pory wyglądałam jak piaskowy bałwanek. A Pedro popędzał, żeby szybciej, szybciej, jeszcze szybciej, czego się wleciesz! Zdażyliśmy wbiec na górę, zanim tamci się pozbiali. Słyszałam, jak zapalają melagibsona i ruszają przez piach. Wspięliśmy się z Pedrem pod stromą brukowaną uliczkę, skręciliśmy w następną poprzeczną i pobiegliśmy przez park. Tu przynajmniej nie mogli nas gonić samochodem. Za muszlą koncertową przysiedliśmy na ławce, żeby odsapnąć.

-Nie spieszysz się! - wydyszałam do Pedra, wyzymając skraj sukienki.

- Jak to nie? - rozkaszał się. - Ledwo zipię!

Wyjęłam sukienkę z drugiej strony i złapałam rytmiczniej-szy oddech. Pedro zdjął rudą perukę ze spoconej głowy. Wyglądał teraz jak zboczeniec z amerykańskiego thrillera.

- Mówię, że nie spieszyleś się, żeby mnie wyrwać z ich łap -sprecyzowałam. -

Chryste, nawet nie wiesz, kto to był!

133

- Wiem, Margaryna... - sapnął Pedro. - Kiedy zobaczyłem, że cię... wiezie... przyduszoną do tylnego siedzenia, zapytałem lodziarza... Tu wszyscy znają Margarynę. Potem jeszcze musiałem dobiec, więc trochę potrwało. I piasku załadować do torebki celem samoobrony.

Naprzeciwko mnie przysiadła na alejce wiewiórka, ale wcale mnie to nie interesowało. Jeszcze rano popadłabym w zachwyt na jej widok. Taka puszysta, taka milusia, takie rozumne czarne ślepka. Jednak obcowanie z gangsterem odbiera człowiekowi na jakiś czas radość życia. Ciekawość świata. Nawet głębszy oddech. Jakie szczęście, że nasz wyjazd okazał się jedną wielką pomyłką. Już lepiej nic nie wiedzieć.

- Wiesz co, Pedro - powiedziała ze skrucą. - Niepotrzebnie się szarpiemy w tym wrednym Groblinie. Coś pomyliłam, przykro mi, naprawdę. Widziałam na policji zdjęcia i ciebie tam nie ma. Nie zginąłeś tu.

- Od początku tak czułem - zgodził się Pedro. - Ale nic straconego, jak sądzę.

Jeszcze z powodzeniem mogę tu zginąć.

Spojrzałam tam, gdzie pokazywał. Alejką nadchodził byczy kark z wielkim kijem w byczej łapie. Zaglądał w twarze wszystkim dziewczętom siedzącym na ławkach.

- Gdzie samochód? - szepnęłam.

- Tam, gdzie był. W rynku.

- Więc na co czekamy w parku?

Pobiegliśmy dalej. Na śródmiejskich uliczkach nie było już tak miło biec w samym staniku, więc odetchnęłam, kiedy wskoczyliśmy do lindy. Pedro ostatecznie zerwał perukę z głowy i wdusił gaz. Dziesięć minut później byliśmy już na drodze wyjazdowej z Groblina. I wtedy z bocznej uliczki przed nami leniwie wynurzył się opływowy przód melagibsona. Na nasz widok zaryczał klaksonem i uczeplił się naszego tylnego zderzaka jak rzep.

Przeraziłam się podwójnie. Pamiętałam, że Pedro nie wrzucił trójki na widok moich gołych nóg, tymczasem teraz siedziałam obok niego w samym staniku. Ale jak na razie nie gubił się. Wskoczyliśmy na prostą z setką na liczniku i wskaźnik piął się dalej. Skoro nie jest gangsterem, może jest rajdowcem? - pomy-

134

siałam z nadzieją, ale chyba aż tyle nie mogłam od losu wymagać w swoim optymizmie?

Melgibson trzymał się tuż za nami, we wstecznym lusterku widziałam twarze Marasa i byczego karku. Obie wściekłe. Obie zacięte. Obie niezamierzające odpuścić.

-Nie martw się, linda to świetny wóz - zapewnił mnie Pedro.

- A melgibson? - zapytałam.

- Też. Ale nasz ma ładniej wyprofilowane siedzenia.

Przed nami mknął gigantyczny tir, aż trzęsła się droga i pobocza. Przy tej szybkości asfalt zdawał się dziurawy niczym szwajcarski ser. Dziura sunęła za dziurą, nie licząc powygrzyza-nych obrzeży drogi. Z szybkością stu trzydziestu kilometrów pędziliśmy wzdłuż nieregularnej perforacji, mijając się z tirami i usiłując wyprzedzać tiry. Melgibson nie odstał jak dotąd ani o metr. Wydawało mi się, że już wiem, jaki będzie ostatni obraz, który zabiorę z tego świata: wlokąca się skrajem szosy furmanka. Takie właśnie dziwne pojazdy nieustannie wyjeżdżały z wiejskich obejść, które mijaliśmy.

- Chcą nas wyprzedzić! - ostrzegłam Pedra.

Szosa przed nami była chwilowo pusta, tir zniknął w oddali za naszymi plecami.

- Widzę - powiedział Pedro. - Trzymaj się dobrze!

Jechał teraz zakosami od lewej perforacji do prawej, nie zamierzając zwolnić.

Chyba nawet przyśpieszył. Nie wiem na pewno, ponieważ szybkościomierz unosił się w nieczytelnej rozedrganej mgiełce powietrza, podobnie jak cała tablica rozdzielcza. W jakimś filmie dokumentalnym widziałam, że identycznie zachowują się wskaźniki rakiety, która odrywa się od Ziemi. Jeśli nawet nasz linda zamierzał oderwać się od Ziemi, to z pewnością nie oderwał się od melagibsona. Ani odrobinę. Mimo że nie pozwolił się wyprzedzić.

- Może mają nowszy rocznik niż my - zasepił się Pedro. -Ale nie szkodzi.

Załatwimy ich inteligencją. Psychologicznie. Muszą pęknąć.

- Gdzieś czytałam, że osioł mocniej kopie od Platona.

- Za dużo czytasz, Dominiczko. Prawda wygląda tak, że to

135

Platon jeździł na osle, a nie osioł na Platonie. Otwórz okno od swojej strony.

- Proszę?

W lusterku wciąż widziałam twarze, ale dzięki Bogu nie rozpoznawałam min, ponieważ lusterko też trzęsło się jak startująca rakietka.

- Nie pytaj, tylko otwórz. Masz? Teraz wystaw rękę na całą długość, jakbyś chciała pokazać im, że skręcamy. Masz?

- Tak. A po co to wszystko?

- Teraz mocno zaciśnij pięść. Żeby widzieli. Masz? I teraz wystaw środkowy palec! Melgibson zatańczył wściekle na szosie, jakby noga niewidzialnego olbrzyma kopnęła go w prawy błotnik. Twarze w lusterku zamieniły się w mgłę czerwoną jak furia.

- Trzymaj rękę, trzymaj! - zawołał Pedro.

Pędziliśmy ze sto czterdzieści na godzinę, o ile można wierzyć temu, co widziałam we mgle. W tej właśnie chwili tak zwana droga trzeciej kolejności odśnieżania zamieniła się w estakadę w budowie, pnącą się po filarach łagodnym łukiem. Znikły dziury i perforacja, ale jednocześnie zmieniła się przyczepność podłoża. Tańczący melgibson załomotał prawym bokiem po metalowych słupkach pobocza, przebił się przez pas zarośli na dwóch kołach i na dachu pojechał poprzez rzepakowe pole, ciągnąc za sobą czarny ogon kurzu.

Pedro zatrzymał się u szczytu estakady. On wysiadł, ja patrzyłam przez otwarte okno na zawiniętą w dwa poziomy pętle szosy. Pod nami wynurzał się czarny pas rozoranej przez karoserię nawierzchni, wiodący przez asfalt i pole aż do melagibso-na, leżącego wśród rzepaku bezradnie jak żółw odwrócony na grzbiet. Przez boczne okienka wypełzali akurat z niego Maras i byczy kark. Pierwszy miał

zakrwawione czoło, drugi trzymał się za kolano, ale stanęli na nogi o własnych siłach.

- I to by było na tyle! - orzekł z zadowoleniem Pedro. - Byłaś dzielna. Jeżeli chce ci się wsiąść, pokażę ci zgrabną dziurkę w bagażniku. Wiesz, że oni do nas strzelali?

- Pierwsze słyszę - odpowiedziałam i zrobiło mi się słabo.

- Ale bardzo źle strzelali - podsumował Pedro. Machnął ręką

136  
iks w powietrzu ponad polem, jakby skreślał raz na zawsze Marasa z jego kolegą o byczym karku. - To co? Wracamy do domu? - Koniecznie, proszę! - zgodziłam się, ponieważ miałam dość tej wypacykowanej brunetki o zrastających się nad nosem brwiach i z klipsami w uszach. Tęskniłam za Pedrem.

Nasza pierwsza noc

Pedro pierwszy wykapał się w mojej łazience prawem gościa. Po nim wykapałam się ja. Wycierając się i balsamując, słyszałam przez drzwi, jak nastawia moje płyty.

Odsłuchuje początki piosenek i zmienia płytę. Zdażyłam wcześniej zauważyć, że ma w sobie jakąś niecierpliwość. Zrazu sądziłam, że nic go nie interesuje. Nudzi się szybko. Teraz myślałam, że raczej szuka gorączkowo. Zdaje mu się, że istnieje piosenka albo film, które zawrócą jego pamięć w dawne koleiny. Piosenka lub książka, które kiedyś utkwiły w nim na zawsze. Trzeba tylko do nich dotrzeć jak najszybciej. Kiedy stałam w łazience przed lustrem - wykąpana i odprężona - zrozumiałam, że ten nawyk Pedra właściwie wzrusza mnie, a nie irytuje. W końcu każdy z nas szuka przez całe życie swojej ulubionej piosenki, filmu, obrazu, zapachu, koloru, człowieka. Bez gwarancji powodzenia. Jeden Pedro ma niewzruszoną pewność, że znajdzie. To chyba więcej niż optymizm, nie sądzicie?

- Myślę, że należy nam się duży, mocny drink - powiedział, gdy wyszłam z łazienki.

- Ja też tak myślę - zgodziłam się.

W barku miałam tylko butelkę ciociosanu, ale bywało gorzej. Wlałam go do wysokich szklanek, wsypałam lodu, wrzuciłam po plasterku cytryny, a ponieważ wydawało mi się jednak zbyt skromnie, uszczknęłam po parę listków geranium, które wisi u mnie pod kuchennym świetlikiem w niklowanym kubku. Geranium jest ponoć doskonałe na zgagi. Nie wiem, bo nigdy nie miewam zgag, ale może to dlatego? Skutkuje owo gera-

137

nium, naturalnie, kiedy wisi, nie kiedy się je pije. Szczerze mówiąc, nigdy wcześniej nie piłam geranium.

Wniosłam szklanki na tacce. Wyglądały efektownie z krążkiem cytryny na pływającej zielonej łądźce sterczącej spośród kostek lodu. Jeżeli mnie kiedyś wyleją ze szkoły, muszę spróbować szczęścia jako nocny barman.

— To jest drink Do - przedstawiłam go Pedrowi. - Mnie też możesz nazywać Do, jak najbliższa rodzina. Po dzisiejszym dniu jesteśmy już chyba siostrami krwi, Pamela?

— Do? Tak bardziej po amerykańsku?

— Dlaczego po amerykańsku? - obruszyłam się.

Nie lubię obco brzmiących imion, wspominałam chyba? Zdają mi się pretensjonalne. Dlatego nieprzyjemnie mnie zdziwiło, że moje Do brzmi dla kogoś z amerykańska. Z drugiej strony świat zrobił się taki mały, że nie ma prawie obcych imion.

— Oni stosują takie najprostsze skróty. Do, Re, Mi, cała gama muzyczna.

— Skąd wiesz? Byłaś w Ameryce?

— Pytanie podchwytliwe. - Pedro się uśmiechnął. - Nie pamiętam, czy byłem w Ameryce lub na Grenlandii. Wiem, że takie tatuaże jak mój wykonują w czterdziestu trzech punktach w Polsce. Tam kiedyś na pewno byłem, ale nie rozpoznają mnie. Niezły ten twój Do!

r- Albowiem Do w każdej postaci reprezentuje najwyższą klasę - oświadczyłam. - To skrót od „dobre”, nie żaden amerykańizm.

— Potrafisz docenić samą siebie bez fałszywej skromności, co?

— To u nas rodzinne, siostrze, co?

— Nie chcę być w twojej rodzinie.

— Ach tak?

— Ach tak! Ponieważ mówię moje stanowcze „nie” kazirodztwu!

Siedzieliśmy obok siebie na wersalce, a teraz Pedro przysunął się tak blisko, że nasze ciała się dotknęły. W jego oczach dostrzegłam ów wymowny blask, wiecie, który uprzedza, że sprawy poczęły toczyć się własnym trybem. Mamy na nie coraz mniejszy wpływ. Moje oczy błyszczały prawdopodobnie identycznie. Na wszelki wypadek odstawiłam szklankę na stolik. Usta Pedra dotknęły moich ust, najpierw delikatnie, potem

138

z nieoczekiwaną namiętnością. Pierwszy pocałunek z każdym właściwie chłopakiem zaskakuje mnie swoją namiętnością, ponieważ to jest ten moment, gdy ostatecznie pękają wszystkie bariery. Ale nigdy dotąd nie pękły aż tak!

Objęłam Pedra i zamknęłam oczy. Wnętrzami dłoni czułam grę mięśni na jego plecach. Dookoła pachniało geranium. To nie miało nic wspólnego z tamtym rozkosznym uczuciem, gdy szmatka Pedra czyścibuta pieściła moje ścięgno Achillesa. To już było po prostu boskie! Niedostępne śmiertelnikom! Po moim ciele spływał ku stopom złoty dreszcz.

I wtedy stało się.

- Nie! - wrzasnęłam rozpaczliwie, odpychając od siebie Pedra oburącz. Zapadł się plecami w miękkie oparcie i tak zastygł, niebotycznie zdumiony. Oskoczyłam od wersalki aż pod filar stryższku, rozdygotana z emocji.

Chryste, wciąż miałam przed oczami niesamowity obraz, który urodził się pod moimi zamkniętymi powiekami chwilę wcześniej. Pachnący geranium Pedro na szczycie pachnącej geranium estakady w budowie. Pedro zwycięski, skreślający w powietrzu Margarynę.

To wcale nie było skreślenie. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że to wcale nie było skreślenie. Pedro nieświadomie uczynił znak krzyża! On jest księdzem!

Stałam pod stryższkowym filarem z otwartymi ustami i nogi drżały pode mną, jakbym uskokczyła przed autobusem, który zmierzał prosto na mnie. Nie miałam wątpliwości, że Pedro jest księdzem. Czy człowiek świecki błogosławi ofiarom wypadku? Nie ma takiego odruchu! A jeszcze to „kazirodztwo"! Kto tak dzisiaj mówi? Chryste!

Jakże mogę całować się z księdzem? Albo i gorzej, bo już za kilkanaście sekund byłoby gorzej, nie oszukujmy się! Przecież on mnie przeklnie, kiedy odzyska pamięć. Złamię mu karierę i sumienie!

Już miałam na końcu języka uroczyste słowa: „Pedro, jesteś sługą bożym!", ale zrozumiałam, że wyśmiej mnie. W tej chwili przemawiają przez niego gruczofy, a nie powołanie. Pociągnie mnie z powrotem na wersalkę. A potem mnie przeklnie!

- Co ci się stało? - zapytał niespokojnie.

139

- Przypomniałam sobie właśnie... - zaczęłam i utknęłam. Nerwowo rozejrzałam się po pokoju. Co mogłam sobie

przypomnieć tak raptownie? Ze mam zadzwonić do mamy? Bzdura. Ze muszę wziąć pastylkę? Nie, to głupie. Ze rano nie wyrzuciłam śmieci? Nie odpisałam na SMS-a? Mam nagły atak kolki wątrobowej? Nie znam jego odczynu serologicznego? Muszę mu powiedzieć, że to mój pierwszy raz? Kompletnie kretyńskie, wie, że byłam mężatką. Moja wiara nie pozwala mi na... Nie, przecież chodzi o jego wiarę. To znaczy, to ta sama wiara, ale nie mieszajmy spraw wiary w erotyczne problemy hierarchii kościelnej. Może robię to tylko w dni parzyste? Który dzisiaj?

- Wiem, co sobie przypomniałam! - odetchnęłam z ulgą. -Ze zapomniałam zamknąć lodówkę, kiedy brałam lód do drinków. Zepsuje mi się cała kolacja Sebka.

I wybiegłam czym prędzej do kuchni, oświetlonej tylko blaskiem z pokoju.

Schowałam się między lodówką a zlewem, przetarłam czoło zimną wodą.

To jeszcze nie było zwycięstwo. Po prostu klęska odwlekła się na kilka chwil.

Poza tym wcale nie chciało mi się walczyć. Nie myślcie, że gruczoły burzyły się wyłącznie w Pedrze. Wbrew rozpowszechnionym opiniom przyciemnione blondynki są jeszcze namiętniejsze niż bruneci. Wiem coś o tym.

Otworzyłam drzwi naściennej szafki, przymierzylam się precyzyjnie i walnęłam w nie głową, aż zabrzęczało. Gdyby Pedro wiedział, jak się dla niego poświęcam...

- Jezu! - jęknęłam całkiem szczerze.

- Znowu coś? - odezwał się z pokoju zde gustowany Pedro. Co to za człowiek bez ludzkich uczuć?! Przecież nie w swojej intencji nabiłam sobie guza.

- Nic takiego - wyjaśniłam boleściwie. - Troszkę rozbiłam sobie głowę do krwi.

Nie zauważyłam szafki. Spieszyłam się. Nie zapalałam światła, żeby szybciej wrócić do ciebie.

- Po ciemku nie pamiętasz, że ona tu wisi? Pokaż.

Pedro stanął przy mnie w półmroku. Jednak ruszyło go sumienie. Wziął moją głowę w dłonie i obrócił w tę i w tę. Przyłożył mi do czoła nóż, a potem zimną mokną ścierkę.

140

- Przytrzymaj ją sobie. Krwi ja tu zdecydowanie nie widzę -orzekł.

- Zapal światło.

- Już zapaliłem.

Boże najdroższy, zatem uderzenie było silniejsze, niż przypuszczałam. No to narobiłam sobie! Biedni moi rodzice! Zasługiwaliście na roztropniejszą córkę.

- Ja nic nie widzę - powiadomiłam Pedra z lękiem. - Mam ciemno przed oczami.

- To podsuń kompres wyżej, podnieś powieki i sprawdź jeszcze raz.

- Widzę! - Ulżyło mi. - Widocznie to był tylko szok. Żebyś wiedział, jak boli!...

Pedro zaprowadził mnie do wersalki i usadził na niej samotnie. Sam zajął miejsce na pufie. Za chwilę zmienił mi kompres, a dziesięć minut później kazał go zdjąć.

- Po krzyku. Wypisuję cię ze szpitala. Jesteś już zdrowa. Czyli koniec przerwy na bogobojne życie. Co dalej? Pedro

jakoś nie przysiadł się do mnie ani nie nawiązywał do przerwanej przez mój wypadek wątku. W milczeniu sączył drinka, którego dołał sobie w kuchni.

- Kto to jest Sebek? - zainteresował się nieoczekiwanie.

- Jaki Sebek?

- Powiedziałaś, że musisz zamknąć lodówkę, bo zepsuje ci się kolacja Sebka.

O rany, rzeczywiście tak powiedziałam? Chyba to ja jestem jednak głupia, nie te biedne sanki, na których sadystycznie się wyzywam.

- Niemożliwe - zaprotestowałam bez przekonania.

- A jednak. Czyżby wypsnęło ci się coś, co nie miało się wypsnąć?

Ano tak. Wszyscy faceci są jednakowi, czy z pamięcią, czy bez. To ich cecha

plciowa. W najmniej odpowiednim momencie odzywa się w nich idiotyczna zazdrość. Bezpodstawna. Przecież nie istnieje żaden Sebek. To znaczy istnieje, ale się nie liczy. Ale weźcie i wytłumaczcie zazdrosnemu facetowi, że ktoś, kto dwa dni temu wchodził jeszcze w rachubę jako part-

141

ner do kolacji, a może i do śniadania, dzisiaj jest dla was obcym człowiekiem.

- Pewnie powiedziałam, że kolacja mi się zepsuje w otwartej lodówce szybko. A nie sebk. Co to w ogóle znaczy sebk?

- Nie wiem - pokręcił głową Pedro.

- No to skąd ja mam wiedzieć? Najważniejsze, że zamknęłam lodówkę w porę. Jeszcze jednego drinka?

- Chętnie - zgodził się Pedro. - Wydawało mi się najpierw, że to imię.

Zdrobnienie od Sebastiana. Ale to i lepiej! - ucieszył się nagle.

Jednak stuprocentowy facet. Wmawiacie mu, co chcecie i kiedy chcecie. Zawsze wam się uda. Nawet gdyby nie uwierzył, upieranie się przy swoim nie leży w jego interesie.

Tyle że po moim sukcesie dyplomatycznym z powrotem przesiadł się na wersalkę.

Przez jakiś czas mogłam trzymać go na dystans guzem, który boli mnie przy rozwieraniu szczęk. Ale to nie był taki znowu duży guz.

Poszłam do kuchni zrobić drinka, dyskretnie wzięłam telefon i tradycyjnie zamknęłam się z nim w łazience. Pedro znów przesłuchiwał płyty, tym razem szukając jakiejś w nastroju pościelowym. Na wszelki wypadek utkałam szparę pod drzwiami ręcznikiem.

- To ja - powiedziałam konspiracyjnie.

- To ty, Do? - odezwał się zaspany ojciec. - Wiesz, która godzina?

- Nie wiem, tato. Po co ci teraz godzina?

- Mniejsza o to. Coś się przydarzyło jednorożcowi?

- Poniekąd. Wiesz, te pastylki na uspokojenie, które od ciebie dostałam po rozwodzie, pamiętasz? Kilka wpadło mi przez pomyłkę do szklanki i ja je przez pomyłkę wypięłam. Czy nic mi nie będzie?

- Ile ich wypięłaś? Dużo?

- Założmy, że pięć. Albo siedem. No, osiem niech będzie. To za dużo?

- Idź spać, nie martw się. Po prostu szybciej zaśniesz.

- A gdyby dziesięć?

- Ile w końcu zjadłaś, Do? Coś kręcisz. Nie widzisz podwójnie?

142

- Wszystko jak najlepiej, tato. Pytam tylko, czy skutek nie zależy od wagi ciała?

- Nie egzaminuj mnie o tej porze, córeczko. Po dawce tysiąc-miligramowej stukilowy chłop zasypia w kwadrans, ale jego życiu nic nie zagraża. Zresztą można przepłukać żołądek.

Wyliczyłam, że to daje jedną pastylkę na dziesięć kilo żywej wagi. Powiedzmy dwie pastylki skrócą o połowę czas zasypiania. Za to półtorej pozwoli uniknąć płukania żołądka.

- Ile ważysz, Pedro? - zawołałam z kuchni.

- Osiemdziesiąt, osiemdziesiąt dwa. Różnie. Nie wiem dokładnie. Czemu?

- Niczemu. Dlaczego zaraz czemu. Tak pytam. Z ciekawości. Wychodziło dwanaście pastylek na drinka. Trochę było mi żal

Pedra, więc wsypałam do szklanki jedenaście. Ale potem przestraszyłam się, że

nie poskutkują, i dorzuciłam jeszcze dwie. Wypadła pechowa trzynastka. Nie mogłam żadnej ująć, gdyż rozpuściły się w ciociosanie, więc dołożyłam jedną więcej na dobrą wróżbę.

Pedro sączył drinka bez krzywienia się, lecz powoli, jak na mój gust. Wprawdzie mogłam z tego wnioskować, że nie jest alkoholikiem, niemniej poza tym wciąż wykazywał pełną gotowość do gier hazardowych, palenia opium i innej ewentualnej rozpusty. Włączyłam telewizor pod pretekstem, że dzisiaj mieli pokazywać moją klasę na wakacjach w Szczyrku.

- Całe szczęście, że mi się przypomniało, Pedro. Prosimy, żebym oglądała.

Dyrektorka na pewno każe mi zreferować moje wrażenia.

W telewizji leciały reklamy albo zwiastuny programów, które polecą w telewizji kiedy indziej. Nie mogłam trafić na żaden program, który leci w tej chwili.

Pedro patrzył razem ze mną, udając zaciekawienie, ale przestał się uśmiechać i pił coraz szybciej. W końcu bezceremonialnie wyjął mi z rąk pilota, którego twardo pilnowałam. Wyłączył telewizor.

- Za godzinę zacznie świtać, a ty nie zdążysz doczekać się żadnych wrażeń - ostrzegł mnie. - Co wtedy zreferujesz swojej dyrektorce?

Trudno, próbowałam, pomyślałam z rezygnacją. Niech się dzieje, co chce! A potem wszystko poszło błyskawicznie. Pedro

143

wyciągnął mi bluzkę z szortów, rozłożył wersalkę, przysiadł na niej, siedząc objął mnie romantycznie za uda, wtulając w nie twarz i zasnął. Stałam drżąca z emocji, z głową odchyloną ku górze i z bluzką wyciągniętą z szortów, gdy usłyszałam jego chrapanie pomiędzy moich kolan. Odetchnęłam z ulgą, choć bez satysfakcji.

Do rana czuwałam nad nim, nasłuchując, czy równo chrapie i czy nie trzeba będzie jednak ordynować mu tego nieszczęsnego płukania żołądka. Spał spokojnie. Odporny organizm. Parę razy uśmiechnął się nawet przez sen, a raz się odezwał.

Powiedział:

-Do!

Kwartet poranny

Obudziło mnie bolesne bicie po twarzy. Zanim zdążyłam otworzyć oczy, moją głowę brutalnie wsadzono pod kran z lodowatą wodą, a potem ktoś wepchnął mi palce w gardło. Zakrzusiałam się. Byłam jeszcze na granicy snu, niemniej pojmowałam już, że Margaryna nas odnalazł. Kiedy jednak z trudem unosiłam za-puchnięte od niewyspania powieki, uparcie widziałam przed sobą twarze ojca. i matki. Czy to możliwe, żeby Margaryna przebrał się za nich, jak; ja przebrałam się wcześniej za Pamelkę i Domeczkę?

- Słyszysz mnie, Do?! - wołał mi ojciec prosto w twarz. -Nie śpij! ISTie wolno ci!

- Przecież nie śpię, Margaryna! - odpowiedziałam.

- O czym ona mówi? - zapytała płaczliwie mama.

- Nie wiem! Że śni jej się margaryna. Przynieś kawę, Haniu!

Po chwili ojciec, usadziwszy mnie jedną ręką na klapie sedesu, poił ????? gorącą czarną kawą, która parzyła wargi. Przecież on nigdy nie podawał mi kawy do łóżka, co dopiero w taki bestialski spc»sób.

- To tys tato?

- Dziębd Bogu! - uradowała się mama. - Żyjesz, córeczko!

144

- Dlaczego miałabym nie żyć? Mam dopiero dwadzieścia pięć lat.

- Otóż to! To nie jest wiek, kiedy wolno umierać. Wszystko się jeszcze ułoży, Do! Spotkasz innego mężczyznę, wartościowego. Nie to, co Marek albo... - mama zająknęła się, po czym ze wstrętem wskazała głową w tył. - Albo ten tam! Pedro! Nagle wróciła mi przytomność. Chryste, zasnęłam nad ranem jak kamień, a Pedro w tym czasie umarł z przedawkowania pastylek uspokajających! Przeze mnie! Dlaczego byłam aż taka głupia?! I tak nie będzie teraz księdzem, wobec tego mogło ułożyć się między nami przyjemniej i sympatyczniej, i szczęśliwiej. Przynajmniej tej jednej nocy!

- Co z nim? - wrzasnęłam, wyrwałam się z ramion ojca i skoczyłam do pokoju. Pedro leżał tak, jak zasnął wczoraj. To znaczy teraz leżał wygodnie na boku, z pięścią pod policzkiem, rozkosznie uśmiechnięty.

- Z nim w porządku - zapewnił z odrazą ojciec, stając obok mnie. - Spał i cieszył się życiem przez sen. Chichotał czy chrapał, nie wiem. Nie zastanawiam się nad podobnymi typami. Puls regularny. Nawet się nie obudził, kiedy cię ratowaliśmy.

- Dlaczego mnie ratowaliście? - przestraszyłam się.

Coś złowieszczo zatrzepotało w mojej głowie! Rzeczywiście, rodzice nigdy nie zjawiali się u mnie bez zapowiedzi. W razie konieczności telefonowali. Jeżeli nie wyjechałam z miasta, nigdy dotąd nie użyli zapasowych kluczy, które u nich zostawiłam.

- Nie mów tak, Do! - Mama się rozpląkała. - Nie możesz mieć pretensji do mnie i do ojca, że cię ratowaliśmy. Jesteś naszą jedyną ukochaną córeczką! Jak mogliśmy cię zostawić w tym stanie? Pomożemy ci! Za tydzień czy dwa nie będziesz o niczym pamiętała.

Usiadłam na podłodze tak jak stałam. Dotarło do mnie, że stało się coś strasznego, ale wciąż nie pojmowałam, co. Nie z rodzicami, nie z Pedrem, więc z kim? Gośka? Marek?

- Krzesło, Tadziu! - zawołała mama. - Widzisz, że Do nie ma siły stać!

10. Mężczyzna.

145

Nie zdążyłam ruszyć palcem, a już siedziałam na krześle. Usadzili mnie we dwójkę.

- To mnie się coś stało? - zapytałam niepewnie. - Co takiego?

- Jak by ci to powiedzieć... - Ojciec odchrząknął. - Byłaś zdesperowana. Miałaś złe myśli. Niesłusznie uznałaś, że życie jest dla ciebie zbyt trudne. To złudzenie, wierz mi!

- I co zrobiłam, kiedy uznałam? - zapytałam z lękiem.

- Nie pamiętasz?

- Nie! Skąd mam pamiętać? Wczoraj normalnie zasnęłam, a dziś obudziliście mnie z wielkim rabanem. Może powiedzcie mi wprost, jeżeli powinnam coś wiedzieć! Ojciec ustawił naprzeciw mnie dwa krzesła, na których usiedli oboje z mamą. Myny mieli jak na pogrzebie. Albo gorsze. Jak w urzędzie skarbowym.

- Dzisiaj w nocy zadzwoniłaś do mnie - wyjaśnił ojciec. - Byłaś zagubiona, zszokowana, nie wiedziałaś, która godzina i co się z tobą dzieje. Pytałaś mnie o jakieś leki, które zażyłaś, Do! Aleja też byłam wyrwany ze snu... Nie rozumiałem cię dobrze.

- Boże drogi! - przerwała mu matka. - W ogóle tego nie mów! Opuść to! Nie mogę tego słuchać! Jak można tak nieprzytomnie spać?! Wy wszyscy tak śpicie, cała rodzina! Dopiero kiedy rano tata opowiedział mi o twoim telefonie, Do, i wspólnie zastanowiliśmy się, o co mogło ci chodzić, kiedy dzwoniłaś... Ale dlaczego, Do? Myśmy nawet nie wiedzieli, że masz takie problemy!

- Ja domyślałem się - stwierdził ponuro ojciec. - Do rozmawiała ze mną.  
- Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej? - oburzyła się mama. - O czym mówiła?  
- O zakochanym jednorożcu.  
- Boże! Tak ci mówiła i ty niczego nie podejrzewałaś?  
- Nie o to chodzi! O to, że rozmawiała ze mną przez telefon, stojąc przede mną.  
Patrzyłam na nich, ale widziałam ich coraz bardziej przez mgłę. To łzy napływały mi do oczu. Nie mogłam znieść ich widoku takich tragicznych i przybitych.  
- Chryste - szepnęłam - wyście sądzili, że się otrułam?

146

- Chciałaś to zrobić - potwierdził ojciec. - Nie udało się, bo przyjechaliśmy bez zwłoki. Leżałaś obok łóżka, nie dawałaś się dobudzić. Pij kawę, to ci pomoże, córeczko. Szczęście, że nie podałem ci przez telefon większej liczby tych przeklętych pigułek. Zabiłabyś siebie i mnie, Do! Ile wzięłaś? To przez niego? Oboje z matką jak na komendę spojrzeli w kierunku śpiącego Pedra. Kiedy z powrotem odwrócili się ku mnie, na ich twarzach malowało się skrajne zdegustowanie.  
- Nie trułam się! Byłam zmęczona, niewyspana, wypłam parę drinków po takim dniu, jakiego jeszcze nie przeżyłam. To mnie zważyło z nóg. Ale w sposób naturalny! Rodzice przyglądali mi się z niedowierzaniem. To fakt, że ich wersja była spójniejsza niż moja, mimo że moja była prawdziwa. Coś dziwnego działo się ostatnio z moim życiem. Nie dawało się w nie uwierzyć. Czy to przez Pedra? Tacie i mamie widocznie przyszło do głowy to samo podejrzenie.  
- Czy to on? - odezwali się jednocześnie. W domyśle brzmiało to mniej więcej: Czy to ten odarty z czci nieznajomy mężczyzna, którego widzimy śpiącego bezwstydnie na łóżku naszej ukochanej jedynaczki, winien jest całemu złu, które dotyka ją i nas?  
- Wstydzcie się! - odpowiedziałam wyniośle, żeby zrozumieli niestosowność swojego posądzenia. - On jest księdzem! Ksiądz Pedro!  
Widocznie w dwudziestym siódmym roku po ślubie małżonkowie upodabniają się do siebie jak bliźniacy. Dolne szczęki moich ukochanych rodziców opadły jednocześnie. Tym samym ruchem mięśni twarzy formując ten sam grymas.  
- Ksiądz? - upewnił się fatalistycznie tata. - Teraz rozumiem te pastylki, Haniu.  
- Ksiądz Pedro? - przeraziła się mama. - Prawosławny?  
- Nasz ksiądz. Katolicki. I nie łączy mnie z nim to, co wam się wydaje! Byliśmy wczoraj na wycieczce nad morzem, potem nie zdążył do domu. Na plebanię. - Wyjaśniwszy to, przezornie zerknęłam na swoje odbicie w moim wielkim lustrze i uzupełniłam na wszelki wypadek: - Bluzka musiała mi się wysunąć

147

z szortów, kiedy mnie ratowaliście. Całkiem niepotrzebnie ratowaliście, nawiasem mówiąc. Jestem wam wdzięczna, że tak bardzo mnie kochacie i ja też was bardzo kocham, jak wiecie, ale to nie jest powód, żeby urządzić od rana przedstawienie! Moglibyście trochę mi ufać!  
Uświadomiłam, sobie, w jakich okolicznościach tata i mama zastaliby dzisiaj swoją bogobojną jedynaczkę wraz z księdzem katolickiego obrządku, gdyby Pedro zasnął kilka minut później. Gdyby dobry anioł nie podpowiedział mi dorzucenia tamtej czternastej pastylki do pechowej trzynastki. Na tę myśl znowu zrobiło mi się słabo. I właśnie w tej samej chwili, jakby brakowało mi jeszcze atrakcji, Pedro ziewnął głośno i obudził się. Przez cały czas miałam nadzieję, że uczyni to po wyjściu rodziców. Ale on też był od rana przeciwko mnie.

-Niech będzie pochwalony... - odezwała się czujnie moja mama.  
Pedro przeczesał dłonią rozczochrane włosy i usiadł skromnie na brzegu łóżka.  
Nie bardzo wiedział, co się dzieje, niemniej mężnie stawiał czoło sytuacji.  
- Na wieki wieków - odpowiedział dostojnie.  
- Amen - uzupełnił mój tata, który wyglądał mi teraz na człowieka boleśnie pogubionego wśród oczywistych faktów.  
- To Pedro - przedstawiłam - a to moi rodzice. Wpadli w odwiedziny, bo akurat przechodzili niedaleko.  
- Oczywiście, właśnie przechodziliśmy niedaleko - zgodziła się ze mną mama.  
- I wpadliśmy - uzupełnił ponuro tata.  
- Bardzo mi mufo - zapewnił Pedro, wstając. - To ja chyba pójdę już w takim razie.  
- Nie, nie, z naszego powodu proszę sobie nie robić subiek-cji - powstrzymała, go mama. - Myśmy właśnie się zbierali.  
- Do wyjścia — uzupełnił wciąż ponuro tata.  
Pedro niepewnie usiadł na powrót. Popatrzyłam na niego ze złością. Ktoś powimien wyjść, a niczego nie da, jeżeli to będę ja.  
- Toteż zaraz was zostawimy, bo nie mamy dużo czasu - wyjaśniła mama, nie Ruszając się z miejsca. - Ale ty sobie nie przeszkadzaj, Do. Na pewno ksiądz ma ochotę na śniadanie.

148

Zapadła krępująca cisza, w której uśmiech mamy bladł w oczekiwaniu na odpowiedź. Nie doczekała się jej, ale nie ustąpiła. Nie pomogły moje ostrzegawcze miny.  
- Prawda, że mam rację? - zwróciła się bezpośrednio do Pe-dra. - Ksiądz ma ochotę na śniadanie?  
- Przepraszam - Pedro spojrział niepewnie na mnie - ksiądz jaki? Nie jestem w temacie. Nie słyszałem rozmowy, ponieważ spałem. Dopiero się obudziłem.  
- Mówimy o śniadaniu - sprecyzował ponuro tata.  
- Pedro, może przyniesiesz rodzicom wody z kuchni? Na pewno by się napili - zaproponowałam tonem księżnej Reńskiej, żeby wzbudzić w Pedrze odrach pokojówki, która nie odmawia prośbie.  
- Jakiej wody?  
- Z kranu. Innej nie mam w tej chwili. Kupię, kiedy wyjdę do sklepu.  
- Aha, kupisz? Z przyjemnością - powiedział Pedro i wyszedł do kuchni. Słyszałam, jak szuka szklanek po szafkach.  
- Wysyłasz księdza samego do kuchni? - oburzyła się szeptem mama.  
- Przecież to ksiądz - odszepnęłam. - Niczego nie ukradnie. I nie mówcie do niego „ksiądz”, jeżeli nie ma na sobie sutanny. Nie wypada.  
- Jak to nie wypada? Nie ucz mnie, Do, jak się mówi do księdza, bo to akurat wiem.  
- Jak mówi, żebyś nie mówiła, to nie mów - poparł mnie ojciec, choć wciąż ponuro.  
- I jak mówisz, że idziemy, to idziemy.  
- Poczekajcie na wodę. Zaraz będzie.  
- Nie będziemy pili wody z kranu - powiedział tata. - Tam roi się od mikroorganizmów. Tobie też nie radzę tego świństwa pić, córeczko.  
- Przegotuję wam. Przecież nie moja wina, że wynikła głupia sytuacja. Przyszliście tak nagle...  
Mama podniosła się z krzesła.  
- W życiu tu nie przyjdę, jeżeli sobie nie życzysz. - Oj, mammo!  
- Idziemy - powiedział stanowczo ojciec. - Ruszaj się, Haniu! Skoro żyjesz, Do,

nie mamy tu nic do roboty.

149

Kiedy Pedro wszedł z kuchni z dzbanuszkami wody i czterema filiżankami na tacce, już ich nie było. Wobec tego nalał wody sobie i wypił ją, stojąc. Razem z mikroorganizmami. Skoro przetrzymał w błogiej niewiedzy czternaście pastylek, co mogło go ruszyć?

- Spieszyli się - wyjaśniłam. - Namszę? -

- Dlaczego na mszę?

- Wyglądają na religijnych. Nie mówiłaś mi o tym.

- Ponieważ w ogóle ci nie mówiłam o moich rodzicach, Pedro. Jeżeli coś ci się w nich nie podoba, to proszę bardzo, nie musisz dotrzymywać mi towarzystwa! Wyjdź za nimi. To są jednak moi rodzice! Kochają mnie!

Pedro zdjął koszulę, obnażając swój sławny tatuaż. To powstrzymało moje wyrzuty. Skrzypce przebite mieczem prezentowały się oszałamiająco na tle ciemnej karnacji Pedra. Żółto--wiśniowe zabarwienie, błękitny cień. Nie wiedziałam, co to symbolizuje, ale było przepiękne.

- Obmyję się raz-dwa przed wyjściem, zgoda? Jestem spóźniony. Przez trzy dni się nie pokażę, bo muszę odpracować zastępstwo u Emilki. Dlaczego mój wczorajszy ręcznik zatyka szparę pod drzwiami? A wracając do tematu - gdyby coś nie podobało mi się w twoich rodzicach, dlaczego miałbym wychodzić za nimi? Po drugie, nie mam nic przeciwko wierze. - No ja myślę, pomyślałam sobie. - Powiedziałem, co zauważyłem, i tyle. Bez złych intencji. A po trzecie ja też cię kocham, Do! Nie musisz na to odpowiadać.

Co powiedziawszy, zamknął się w łazience. A ja rzuciłam się twarzą na wersalkę, nawet nie znajdując w sobie łez. Być zakochaną w księdzu i kochaną przez księdza! Czy jest coś gorszego na świecie? Leżąc tak z ciężkim sercem, z zamętem w głowie, zasnęłam po nieprzespanej nocy i zwariowanym poranku. Kiedy obudziłam się, Pedra już nie było.

Marek wyznał mi swego czasu miłość z bukietem kwiatów. W letnim ogródku kawiarni pachnącym czekoladą na gorąco. Ksiądz wyznał mi miłość i zamknął się w łazience. Po rozstaniu z Markiem nie przypuszczałam, że jeszcze ktokolwiek wyzna mi

150

miłość. A już na pewno nie przypuszczałam, że po usłyszeniu tego zasnę.

O dziewiątej piętnaście zadzwoniła Gośka. Ona też nigdy nie dzwoniła o tej godzinie.

- Przyjedź do mnie, Do - powiedziała.

- Jutro. Dzisiaj jestem nie do życia, Gosiu! Kompletnie. Odpuść mi.

- Nie sprzeczasz się, tylko przyjedź zaraz, rozumiesz? - powiedziała Gośka i rozbeczała się w słuchawkę. - Ja umieram!

Droga cnoty

Gośka siedziała przy zaciągniętych zasłonach w sypialni na swoim okrągłym łóżku, otoczona tragicznym półmrokiem. Jak jakaś Desdemona. Nieumalowana, w samej bieliźnie, z kubkiem whisky w opuszczonych bezradnie rękach. Bo piła whisky z kubka z Beatlesami. I kopciła papierosa od papierosa. Na dodatek nad domem niosło się ponure wycie Alfa, którego nigdzie nie było widać. Zdawało mi się, że doskonale umiem sobie wyobrazić, co czuje ten biedny pies w konającym domostwie. Czułam to samo. Kiedy wyciął Gośkę i wygłaskałam po rozczochranej głowie, bez słowa powiodła mnie do okna. Dramatycznym gestem odsunęła kotarę, mrużąc oczy przed słońcem.

- Popatrz sobie! - powiedziała, wyciągając oskarżycielsko dłoń ku zielonym trawnikom. Teraz już zupełnie przypominała kobiety Szekspira. Pamiętacie zegar słoneczny z amorkiem ode mnie? Ten, który nazwali z Bemim „Miłość czasami”? Nie mogłam zrozumieć, o co Gośce chodzi, dopóki mi nie podpowiedziała. Strzała na łuku amorka była złamana. Nie pokazywała już godzin. Dwa dni temu facet, który czyści baseny, zahaczył o figurkę metalową żerdzią.

- Z tego powodu się rozkleiłaś? - zapytałam.

- Gdzie tam z tego! Ale jeszcze to na dodatek! Nalej sobie.

- Wystarczy, że ty masz nalane. Któraś z nas musi myśleć.

151

- To będziesz ty - zdecydowała Gośka. - Ja już myślałam. Nic zupełnie mi z tego nie wyszło. Nawet zdaje mi się, że jak myślę, jest jeszcze gorzej! Usadziłam ją z powrotem na łóżku, obłożyłam poduszkami, wyjęłam jej kubek z ręki i ustawiłam daleko od niej. Na sekreterze. Nie zareagowała.

- Opowiedz mi po kolei, co się stało.

- Nic się nie stało po kolei! Wszystko naraz! Berni mnie zwyczajnie zdradza! Nawet nie użyła słowa „horror”. Musiała być u kresu wytrzymałości nerwowej. To na pewno. Ale żeby Berni, jej kochający do szaleństwa Berni, zdradzał swą piękną żonę o wymiarach dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt? W to było mi trudniej uwierzyć.

- Uspokój się, Gośka. - Pogłaskałam ją po ręce. - Pomyśl logicznie, proszę. Jeszcze dwa dni temu Berni cię kochał, tak?

- No i co z tego, że kochał? Wczoraj też mnie kochał! Dzisiaj też mnie kocha! Ale zdradza mnie. A ja nie mogę tego znieść! Po prostu nie mogę, rozumiesz?! Tego, że mnie zdradza. Tylko tego! Ze kocha, mogę znieść. Oczywiście, że mogę! Chociaż co to za kochanie, kiedy zdradza? Ale zniosłabym! Bo zdradza!

- Rozumiem cię, Gosiu, mów spokojnie.

- O czym mówiłam?

Wstała i wzięła jednak ten kubek z Beatlesami. Wypiła, wytarła nos higieniczną chusteczką, wrzuciła ją do opróżnionego kubka i napełniła go znowu. Wyjęłam jej to wszystko z ręki, sięgnęłam po czystą szklankę i nalałam do niej whisky. Nie za dużo, na dzień.

- O tym, że Berni cię zdradza - podpowiedziłam.

- Zabiję się! Ty też już o tym wiesz? Wszyscy wiedzą, tylko nie ja, idiotka!

- Uspokój się. Sama mi powiedziałaś przed chwilą.

- Ja? Co miałam powiedzieć, skoro to prawda? To prawda! Nie zniosę jej!

- Skąd wiesz, że cię zdradza?

- Naturalnie, że się domyśliłam. Przecież sam się nie przyznał. Zmienił się nie do poznania! Zaczął mi nagle wydzwaniać, gdzie jest, kwiaty przysyłać z Amsterdamu albo innej dziury,

152

modele okrętów kleić, kiedy siedzi w domu. Od lat tego wszystkiego nie robił. Może nawet z tym kochaniem mnie już nieaktualne? Kleiłabyś „Andrea Dorię”, gdybyś kogoś kochała? Zamiast z nim porozmawiać albo telewizję z nim obejrzeć? No bo inne rzeczy jeszcze ze mną robi. Sam się doprasza! Zboczeniec!

- Widzisz, bo cię kocha.

- To znaczy, że tamtą lafiryndę też kocha! Żebym jeszcze się domyśliła, gdzie i kiedy!

- Rozmawiałaś z Bernim?

- Jeszcze jak! Powiedział mi, że każdy może się zmienić. Jeżeli ja się też

zmienię, on to uszanuje! A potem zwyczajnie zmienił temat. Żeby nie rzucała popielniczką. Wyobrażasz sobie? Jakby o to chodziło!

Wytarła nos i wyrzuciła chusteczkę do wazonu z kwiatami.

- O, na przykład te! - pokazała z obrzydzeniem palcem. Zrozumiałam, że to są kwiaty, które podarował jej Berni.

Były naprawdę ładne, ale rzecz jasna w kwiatkach nie chodzi wyłącznie o ich urodę.

Alf znowu był jak szalony.

- Ty jej nie znasz oczywiście?

- Oczywiście znam! Widziałam zdjęcie. Siedzi Berniemu na kolanach w jakimś lodowym pałacu w Finlandii. A żebyś widziała, co z rękami robi!

- Może hostessa?

- A może stewardesa. Co mi za różnica!

Wyglądało na to, że Gośka nie ma jednak omamów zazdrosnej żony. Były dowody, były poszlaki, były objawy. Tyle zazwyczaj musi wystarczyć. Rzadko która ma w tych sprawach takie szczęście, żeby osobiście zostać świadkiem zbrodni. Ja o Markowej Marzence nie wiedziałam w ogóle nic - i też wystarczyło do rozwodu, okazuje się. Na domiar złego u Gośki wchodziłyby w razie czego w grę spore pieniądze do podziału. To nie to, co nasz malutki Zamachowski z prawie pustym bakiem, którego zabrał mi Marek.

- Próbowowałaś się pomodlić? - zapytałam. - Co?

Oczy Gośki zrobiły się wielkie jak spodki, szklaneczka przechyliła się w jej dłoni i whisky pociekła ciurkiem na dywan. Ale nic innego nie przychodziło mi do głowy.

153

- Mówię, że ulgę można znaleźć w modlitwie - powtórzyłam.

- Może i można, Do... - Gośka spojrzała na mnie podejrzliwie. Istotnie, wcześniej proponowałam jej świeckie rozwiązania w kłopotach. - Może i można. Ale chyba nie w takiej sytuacji? Berni gzi się ze stewardesą, a ja w tym czasie mam klepać pacierze? Może na mszę dać, żeby dochowali sekretu?! Tyle masz mi do powiedzenia?

- Nie denerwuj się. - Przytuliłam ją. - Ale wiesz, różne są drogi do spokoju duszy. Myślałam o tym nie dalej niż dzisiaj rano. Jeżeli nic nie możesz zrobić...

- Jeżeli nic nie możesz zrobić, to zostaw mnie! - zirytowała się Gośka. - W spokoju duszy! Bez kazań!

- Poczekaj. Nie powiedziałam, że nic nie mogę zrobić. Berni kiedy wraca?

- Wcale nie wraca!

- Chryste, zostawił cię naprawdę? Gdzie on teraz jest?

- Nigdzie! Na górze w gabinecie! Nie wybiera się do żadnego Honolulu i klei sobie „Andrea Dorię”! Jak grzeczny chłopczyk. Żeby oczy mi zamydlić! Rufa mu się skrzywiła, był niepocieszony, ach, ach! Jak mu kiedyś naprostuję rufę, to kleić nie nadąży!

- Porozmawiam z nim, co?

- Tak, zrób to. - Gośka popatrzyła na mnie z nadzieją. - Porozmawiaj. Ja mogę w tym czasie pomodlić się, jeśli koniecznie chcesz!

Poszłam na górę bez najmniejszej ochoty, prowadzona niedalekim wyciem Alfa. Obowiązek koleżeński to obowiązek koleżeński. Skoro razem się śmiejemy, płakać też będziemy razem. Berni wstał na mój widok, jak zwykle szarmancki, ale nie przywitał się, ponieważ ręce miał uwalane klejem. Rzeczywiście kleił model, o którym mówiła Gośka. Z malutkich drewnianych elementów. Szoking!

- Sympatyczny okręcik - powiedziałam, żeby jakoś zacząć. V „Andrea Doria” -

wyjaśnił Berni. - Zatonęła. Taki drugi „Titanic”. Rufa mi się skrzywiła, ale już wyprostowałem.

- Słyszałam o tym właśnie.

154

- O czym?

- Że masz kłopoty z rufą. Cieszę się, że ją wyprostowałeś. Akurat gawędziłam z Goską na dole i pomyślałam, że zajrzę do ciebie.

Berni sięgnął po swój kubek. On miał z Red Hot Chilli Pep-pers i nie wiem z czym w środku. W każdym razie skrzywił się po łyknięciu. Z trudem odstawił kubek na biurko, ponieważ nie chciał mu się odlepić od palców. Pomogłam mu.

- Pewnie ci opowiadała, że ją zdradzam?

- Coś wspominała mimochodem - zbagatelizowałam. Przeraziło mnie, że Berni nie zaprzecza. Nie zapewnia, że jego żona ma przywidzenia. Więc dodałam: - Ale domyślałam się, że się myli? To nerwowe, prawda?

- Nie myli się - odpowiedział z powagą Berni. - Do pewnego stopnia, to jasne. Kobieta zawsze nie myli się tylko do pewnego stopnia.

Zapalił papierosa i przez następne sekundy usiłował nie spłonąć od zapałki, która przylepiła mu się do palców. Następnie przylepiony do dłoni papieros przylepił mu się do wargi. Tak czy owak nie było szans na spokojną rozmowę.

- Myślisz o rozstaniu? Po siedmiu latach wspólnego życia?

- Nie zrozumiałaś mnie. Gośka się nie myli co do moich grzeszków, lecz co do czasu.

- Mówiła mi, że nie wie, kiedy to robisz.

- Kompletnie nie wie. Sądzi, że zacząłem ją zdradzać. Skądże! Przestałem ją zdradzać, Dominiko! Przestałem! Ponieważ ją kocham. Zdradzałem ją przez siedem lat, aż powiedziałem sobie dość! Będę uczciwy wobec kobiety, którą kocham! Z którą chcę mieć dzieci. Zerwałem z innymi. Było ich parę. No, trzy. Takie poważne to trzy. Z tym że niejednocześnie, to jasne. Mam zasady. Męcę się z moim postanowieniem, ale wytrwam! Skoro wytrwałem z rosyjskimi negocjatorami od wysypisk śmieci pod Murmańskiem, wytrwam ze wszystkim! Ale to kosztuje! To boli! Czasem zachowuję się inaczej niż poprzednio, święta prawda. Inaczej niż zwykle. Ale już jej nie zdradzam. Teraz już nie. No i co? Jak to powiedzieć Goście?

, - Cholera! - wyrwało mi się. - Rzeczywiście, Berni, przekichane! Tego jej nie wyjaśnisz. Nawet nie próbuj, proszę cię!

#

155

- Nie próbuję. Ale papierosy gaszę w doniczkach. Brakuje mi popielniczek w domu. Był taki biedny, zrezygnowany. Mimo że łajdak! Pocałowałam go w czoło.

- Co tam popielniczki, gdy kroczysz drogą cnoty, Berni! Chyba sam czujesz różnicę?

- To jasne! Teraz ledwie idę! Mam takie diabelne wyrzuty sumienia, jakich nigdy przedtem nie miałem. Wydaje mi się, że krzywdzę Goškę.

- Berni - powiedziałam - podziwiam cię. Niczym się nie przejmuj. Wytrwaj w cnotcie! Ja wszystko Goście wytłumaczę!

- Broń cię Panie Boże! - wystraszył się Berni ponownie przyklejony do kubka.

- Zaufaj mi. Tak jej wytłumaczę, że się nie zorientuje. Zeszłam do Goški, nalałam sobie pełną szklaneczkę whisky

i wychyliłam ją duszkiem. Gośka przyglądała mi się w napięciu, siedząc sztywno na łóżku. Zauważyłam, że pod moją nieobecność przestawiła nocną szafkę pod okno.

Ona zawsze na chandry przestawia meble. Alf był za domem rozpaczliwie i

złowróźnie.

- Gosiu - oзнакомиłam - twój mąż Berni jest świętym człowiekiem! To twój pies nie wie, co robi! Nie masz najmniejszych powodów do zmartwień!

- Przekabacił cię tak szybko? - wściekła się Gośka.

- Nie przekabacił. Proszę cię, żebyś nie chwytala się wygodnych osądów. Czy ty, mówiąc między nami, byłaś wobec Beraie-go zawsze uczciwa? Każdy sądzi podług siebie!

Gośka odstawiła na pół opróżnioną szklaneczkę i napiła się z butelki.

- To jest przeszłość, Do - szepnęła ze łzami w oczach. - Zerwałam z tym życiem! Bo kocham Berniego, rozumiesz? Postanowiłam zwracać na niego większą uwagę, przyglądać mu się czulej niż dawniej, przenikać jego myśli, uprzedzać pragnienia. To niełatwe, ale postanowiłam się skupić. I co zobaczyłam? Że on mnie zdradza! Siedzi na górze z dawno zatopionym statkiem i pije, bo się gryzie. Ale to mu nie przeszkadza zdradzać mnie, szubrawcowi!

156

- Gośka - powiedziałałam uroczyście - znasz mnie nie od dzisiaj. Czyja kłamie?

- Tak - odpowiedziała Gośka. - Chociaż tylko gdy trzeba. Cóż, na każdym potrafi położyć się cieniem jego dawne życie. Westchnęłam ciężko.

- Tak. Bywało, że kłamałam, masz słusność. Ale to już przeszłość! Zrywam z tym. U progu mojego odrodzonego życia oświadczam ci z przekonaniem: zazdroszczę tobie i Berniemu! Kochacie się i dochowujecie sobie wierności. Chciałabym choć jeden dzień w życiu przeżyć tak jak wy! Ale dla mnie to już zamknięta karta. Nie mówmy o tym. Radość sprawia mi to, że wy oboje jesteście tacy piękni w blasku cnoty! Nie znacie zdrad i podłości, znacie jedynie miłość! Jeżeli mi nie uwierzysz, to znaczy, że nasza przyjaźń jest złudzeniem! A przecież nie jest, Gosiu, czyż nie? Jest najpiękniejszą rzeczą, jaka spotkała nas w życiu, Gosiu, czyż nie? Ona, bal maturalny, pierwszy pocałunek i więcej nic!

Gośka żarliwie kiwała głową, przyskajac łzami po całym pokoju. A potem padłyśmy sobie w ramiona i popłakałyśmy się wspólnie. To był zbawienny oczyszczający płacz nieuleczalnych optymistek. Gośka pochlipywała mi w ucho od czasu do czasu, czy jestem pewna, czy tak, czy daję słowo i że to cudowne. Nie musiałam odpowiadać. Dopiero po kwadransie się ocknęła. Kiedy właśnie zamierzała pobiec na górę wybaczyć Berniemu to, czego nie popełnił. A w każdym razie nie to, co popełnił.

- Boże, ja myślę tylko o sobie. Dlaczego mówisz o zamkniętej karcie, Do? Co z tym twoim facetem?

- On nie jest mój. Jest oddany większej sprawie, a ja to doceniam. Szanuję go.

- No a Sebek?

- Sebka też szanuję. I ciebie, i Berniego, i Alfa szanuję. A ja sama? Cóż, może wstąpię do klasztoru?

Oczy Gośki znów zrobiły się ponadnormatywnie wielkie.

- Co to za żarty, Do?

- To nie żarty. Myślę o takim rozwiązaniu od rana. Prawdę mówiąc, już rano bym wstąpiła, tylko nie wiem, jak to się robi. Ale dowiem się, Gosiu! Bóg mi świadkiem, że się dowiem! Jak najszybciej!

157

Kłopoty zakonnicy

Dałam Gośce słowo, że nie wstąpię do klasztoru, zanim nie naradzę się jeszcze raz z nią i z biskupem naszej diecezji. Z każdym z osobna, oczywiście. Dopiero wtedy puściła mnie do moich rodziców. Przekraczając bramę szczęśliwego domostwa

Gośki i Berniego, uznałam, że Alf wył na moją intencję, wcale nie nad uczuciami swoich państwa. Mądry pies!

Ojciec miał akurat godziny przyjęć. Na dole przed jego gabinetem uformowała się kolejka pacjentów z niezliczonymi tikami, nerwobólami, migrenami, nerwicami. Przechodząc obok kolejki, odniosłam wrażenie, że nie mam do tego prawa. Powinnam stanąć cierpliwie na jej końcu. Przecież mnie też wszystko teraz boli, miewam bezzasadne lęki, dopadają mnie tiki, o których jeszcze przedwczoraj nie podejrzewałam, że w ogóle istnieją na świecie.

- Ty byś to pewnie jakoś nazwał, tato, ale nazwij sobie, jak chcesz! -  
powiedziałam głośno sama do siebie.

- Moim zdaniem, niestety, wszystko zło, doprawdy, z jakim mamy do czynienia na świecie, doprawdy, siedzi w kręgosłupie, niestety, w stosie pacierzowym - odezwał się nagle któryś z pacjentów. Sądził, zdaje się, że chcę nawiązać rozmowę. - Tak właśnie, doprawdy, w samutkim kręgosłupie i to, niestety, akurat w moim!'

- Do widzenia - zgasiłam go, wchodząc na górę.

- Dzieńdoobryyy - zamruczała za mną reszta kolejki. Już nigdy z nikim się nie dogadam, niestety, doprawdy, pomyślałam. Koniec.

Mama miała gości. Przyjaciółka ze szkolnego harcerstwa socjalistycznego i sąsiadka z dawnego bloku. Mieszkalnego, nie socjalistycznego. Obie nie widziały mnie od roku co najmniej. I po raz pierwszy, odkąd sięgnę pamięcią, nie było sernika z galaretką, tylko jakiś paskudny beżowy tort. Czyżby moja droga z rodzicami także rozeszła się bezpowrotnie? Cóż mi więc pozostaje oprócz klasztornej furty?

- Biedactwo! - uzaliła się pani Ania z dawnego parteru. - Wcale nie tak źle wyglądasz, tylko zagryź zęby i jedz więcej, pamiętaj! Koniecznie!

158

Uprzytomniłam sobie, że one obie są jeszcze na etapie mojego rozwodu z Markiem. Stąd ta oryginalna rada, żebym jadła z zaciśniętymi zębami. Znaczyło to również, że nie wyjdą przede mną i że nie będę miała okazji porozmawiania z mamą na temat nieszczęsnego poranka, kiedy to tak bezceremonialnie potraktowałam ją i ojca.

- Och, jedzenie... - machnęłam ręką. - Ważniejsze są sprawy ducha.

- Naturalnie! A to kwestia gimnastyki porannej - zapewniła druhna Pelagia. - Mam nadzieję, że gimnastykujesz się na dywaniku jak mama, a nie tylko biegasz na siłownię albo do fitness klubów? To taki bezmyślny owczy pęd! Wszyscy robią to dziś na siłę! Co za świat! Za naszych czasów nie do pomyślenia! Myśmy jak jeden stosowali gimnastykę szwedzką!

- Jaki ja miałabym dzisiaj brzuch, gdybym za młodu nie robiła stu skłonów dziennie - przyłączyła się pani Ania. - Nie wyobrażam sobie tego! Studzińska, ta z przeciwka, Haniu, już ma brzuch, a teraz jeszcze zaczyna dostawać garbu. W naszym wieku jest! Tylko że u niej to z powodu tego męża pijanicy! Niepotrzebnie z nim pije!

Pani Ania ma brzuch, i to spory. Ale może istotnie miałyby większy. Gdyby go nie miała, z pewnością nie zastanawiałaby się nad zbawiennym wpływem gimnastyki sprzed dwudziestu lat. Nie przyszłoby jej to do głowy. Widocznie z tego, że nie ma się brzucha, można się naj szczerzej cieszyć wtedy, kiedy się go ma. Tak, ten świat jest straszliwie pokomplikowany, doprawdy. A wszak istnieje cudowna sfera zjawisk idealnych, uczuć metafizycznych!

- Kiedy nasz ksiądz ma godziny przyjęć na plebanii? - zapytałam mamę. Nie zamierzałam wstydić się moich zamiarów. Spróbowałam tego przyziemnego

doczesnego świata, nie sprawdził się. Czy to moja wina?

- Proszę? - zapytała z niedowierzaniem mama.

- Mam osobistą sprawę do księdza - wyjaśniłam.

- Gdybyś zaraz poszła, to on jest - odezwała się druhna Pelagia, nakładając sobie następny kawałek beżowego tortu. - Przygotowuje pielgrzymkę. O rozwód kościelny ty się starasz,

159

Dominiczko? Bo wiesz, póki mamy Ojca Świętego po naszej stronie...

- Chodź, Dominiko, pomożesz mi z kawą - zwróciła się do mnie oficjalnie mama.

- A dla kogo kawa?

- Dla ciebie! - powiedziała ostro mama i pociągnęła mnie za rękę do kuchni. -

Ani się waż! - zaprotestowała, gdyśmy się tam znalazły. - Zabraniam ci kontaktów z naszym księdzem! Chodzi o tamtego? Tego prawosławnego, który udaje katolika? Co ty knujesz? Pop czy nie, ślubował Bogu! Na popadnię się przymierzasz? Nie wódź go na pokuszenie, zabraniam!

- Bądź poważna, mamó! - oburzyłam się. - Od rana podejrzewasz mnie o najdziwniejsze sprawy. Nic z tych rzeczy! Postanowiłam zostać zakonnice! Chyba wolno?

- Jezus Maria! - powiedziała mama i usiadła ciężko na taborecie. - Jesteś w ciąży?

- Dlaczego w ciąży?

- A dlaczego chcesz zostać zakonnice?

- A od kiedy to zakonnice zostaje się dlatego, że jest się w ciąży?

- Posłuchaj, Do. - Mama podniosła się z taboretu. - Do niczego nie dojdziemy, jeżeli będziemy przerzucały się pytaniami. Dlaczego chcesz zostać zakonnice?

- Po prostu! Wydaje mi się, że odczuwam powołanie!

- Jakże ty możesz mieć powołanie, skoro od urodzenia do ślubu z Markiem nie spędziłaś jednego dnia bez chłopaka od serca. Bez przerwy mi opowiadałaś jak nie o tym, to o innym. Czasem miałam dosyć tych zwierzeń! Tak postępują zakonnice? Dziwię ci się!

- Może byłam kochliwa, ale to mi przeszło. Już od dawna ci się nie zwierzam, tak?

- To też mnie martwi!

- Zwierzenie cię martwi i brak zwierzeń cię martwi. Niestety, w życiu tak jest, że musimy się na coś zdecydować, mamó.

- Decyduję się, żebyś mi się zwierzała.

- Nie to miałam na myśli. Mówię o mojej decyzji. Mama złapała się za głowę. Zupełnie jak w kinie.

160

- Przecież to jest chore, żeby taką ważną decyzję podejmować w wakacje! Niedługo zaczynasz półkolonie! Powinnaś teraz odpocząć po całorocznej pracy, odprężyć się, wyjechać sobie do tego Paryża. Paryż to takie urocze, szalone miasto, że wybije ci zakon z głowy. Moulin Rouge, plac Pigalle, kankan!

- Tam już się nie tańczy kankana. Nie pojedę. W tym czasie pójdę do klasztoru.

Mama puściła głowę, jednakże nie wyglądała lepiej. Zdawałam sobie sprawę, że moja decyzja dla niej też nie jest łatwa. Ale najtrudniejsza była dla mnie, a poradziłam sobie.

- To ten ksiądz Pedro, tak? On cię do tego namówił?

- Nikt mnie do niczego nie namawiał. Jestem dorosła. Wybaczam ci posądzenia, ponieważ nie ma już we mnie negacji. Nawiasem mówiąc ty, mamó, prowadziłaś mnie od dziecka do kościoła, nie Pedro. Ty ukształtowałaś moje powołanie, nie on.

Więc nie irytuj mnie takim mówieniem! Cóż on miał za wpływ? Ciebie Kocham, nie jego. Z tobą się liczę.

- Wcale się ze mną nie liczysz! Gdybym przewidziała, że tak mało zrozumiesz z tamtych nabożeństw, nie brałabym cię ze sobą! W radiu byś słuchała mszy!

- Haniu, coś do ratowania bawełny, migiem!

Do kuchni wparowała druhna Pelagia. Kolejny kawał beżowego torciku zrzuciła sobie na spódnicę. Wykorzystałam okazję i wróciłam z nią do pokoju, pomagając czyścić bawełnę. Ale mama nie dała za wygraną.

- Czy wiecie, ilu teraz kręci się po świecie przebierańców? - powiedziała niby to do wszystkich, niemniej wiedziałam, że to do mnie. - Fałszywi politycy, fałszywi biznesmeni, nawet na fałszywego księdza co chwilę się natrafia. Macą ludziach w głowach. Dopuszczają się zdumiewających rzeczy, a niektórzy im wierzą. Zamiast Bogu! Czysta naiwność!

- Nie rozumiem takiego zepsucia - zgodziła się pani Ania z byłego parteru. - Niby wielki biznesmen, a nie ma pieniędzy. Mało to, że nie ma. Oddać musi, bo napożyczał! Pamiętasz, Haniu, Pata-tajczyka z pierwszej klatki? Tego od garnków i kosmetyków...

Przestałam ich słuchać. Nie uwierzyłam oczywiście mamie, że Pedro jest przebierańcem, ale nagle dotarło do mnie, że mo-

161

11. Mężczyzna...

głam się pomylić. Przecież był już precedens z Margaryną. Chryste, może nie wszystko stracone? Spokojnie! Jak mogę sprawdzić, że Pedro nie jest księdzem? Pożegnałam się i pognałam w skwar dnia, odprowadzana piorunującymi spojrzeniami mamy. Jeszcze zza płotu groziła mi palcem, jakbym wybierała się nie na plebanię, tylko do kasyna z ruletką i towarzystwem z półświatka. Przecież sama pchała mnie niedawno w objęcia kankana.

Chyba było już po południu, Kiedy ostatnio jadłam obiad? Bo co do śniadania, to najdalej przedwczoraj wieczorem robiłam sobie tosta i sok pomarańczowy. Czy wczoraj? Nie, wczoraj jadłam przedwczorajsze sałatki. Przed-przedwczorajsze. W sieni na plebanii jacyś ludzie pakowali plecaki i gospodyni księdza nie chciała mnie wpuścić, ponieważ nie miałam plecaka. Zdecydowała, że będę potrzebowała przynajmniej porządnej torby. Jak pójdę bez niczego do Lichenia? Skąd ja się wzięłam?

- Omnia mea mecum portol - wygarnęłam jej, gdyż przypomniała mi się piosenka z STS-u. Pisałam na trzecim roku referat o kabaretach. Rozumiecie czy przetłumaczyć? To znaczy, że wszystko, co posiadam, noszę przy sobie. Daleko od prawdy nie byłam. To jest chyba maksyma wymyślona przez starożytnych dla pracowników budżetówki.

- A to przepraszam - powiedziała gospodyni na dźwięk łaciny i otworzyła szeroko drzwi. - Myślałam, że ktoś obcy.

Ksiądz siedział za biurkiem w kusym sweterku i podliczał coś na kartce papieru. Zamierzałam go zapytać, jak zostaje się zakonnicą, czy wystarczy powołanie, czy są jakieś egzaminy i z czego? Tylko z dobrego charakteru, czy bardziej teoretyczne? Ale po drodze zmieniłam zamiar diametralnie.

- Niech mi ksiądz powie, proszę, jak można rozpoznać, że ktoś nie jest księdzem?

- Że nie jest mną? - zdumiał się.

- Nie księdzem. Każdym księdzem. W ogóle że nie jest duchownym.

- No cóż... - Ksiądz patrzył na mnie coraz bardziej podejrzliwie. - Przecież to łatwo rozpoznać, moje dziecko: nie nosi sutanny, prawda?

- Raczej wątpliwy dowód. Ksiądz też nie nosi w tej chwili sutanny.

- Ja? No ale to nie chodzi o mnie, powiadasz? Poza tym jestem księdzem i siedzę na plebanii. Dlaczego ktoś miałby mieć nie rozpoznać? Mogę założyć koloratkę, jeżeli to ci bardzo przeszkadza. A jaką to masz do mnie sprawę, moje dziecko?

Pielgrzy11^0^-

Już byłam pewna, że zaczęłam tę rozmowę najgorzej. Jak mogłam. Rozpoczęłam jeszcze raz, od początku. Powon' SP°" kojnie, po kolei.

- Mój znajomy stracił pamięć. W wypadku. Nie pamięta, że był księdzem.

-A był?

- Nie, nie był. To znaczy, nie wiadomo. On nie wie- Mysz> że nie był. Że był kimś innym, nie wiadomo kim. Ale ja PodeJ" rzewam, że był. Na podstawie pewnych przesłanek. Plateg° Jer stem ciekawa, jak mogę rozpoznać, że on nie był księdzem.

- Uważasz, że twój znajomy był księdzem, moje dziecko, zatem pragniesz ustalić, że nim nie był, tak?

- Właśnie tak! - ucieszyłam się.

- To będzie raczej niełatwe, moje dziecko.

- Dlaczego?

- Ponieważ jesteś w otwartym konflikcie z sarna, sobą, logicznym bądź psychologicznym, trudno na razie rozpoznać- Nie ma sposobu, żebyś potwierdziła obie te rzeczy naraz- Ze twój znajomy należy do stanu kapłańskiego i że zarazem me należy. Sądzę, że ów młodzieniec powinien stawić się przed swoim właściwym biskupem - tam się dowie, kim jest.

- Ale on tak samo nie pamięta swojego biskupa!

- Jak może nie pamięta swojego biskupa? W to nie uwierzę. W takiej sytuacji, moje dziecko, ja osobiście skłonny jestem uważać, że on nie jest kapłanem.

Wykluczone! Może podszywa się? Każdy z nas doskonale pamięta swojego biskupa i radę epi-skopalną, i prymasa, nie może być inaczej! Jak by to wyglądało. Nawet tak nie mów!

- Kiedy mój znajomy jest chory! Nie ponosi winy ?? sytuację.

- Chory tym bardziej nie otrzymał święceń. Nie wolno. Prawo kanoniczne zabrania.

- Z tym że gdy zostawał księdzem, był zdrowy.

- Został księdzem, kiedy był zdrowy, powiadasz? Dlaczego zatem uwzięłaś się udowodnić, że nim nie jest, dziecko? Nie rozumiem, do czego zdążasz, ale wydaje mi się, że w twoim wieku potrzeba więcej pokory. Łatwo zgubić kapłana, jednakże nikt nie ma z tego korzyści, dziecko.

Niestety, zniecierpliwiony ksiądz począł pomijać zaimek „moje”, ograniczając się do samego dziecka. Nierozgarniętej sierotki. Zaraz, zaraz... Prawo kościelne?

- Wiem! - olśniło mnie nagle. - Czy ksiądz mógłby się wytatuować? W skrzypce?

Ksiądz gwałtownie odsunął fotel i podniósł się zza biurka.

- Mnie jest dobrze tak jak jest - powiedział surowo. - A teraz wybacz, dziecko, spieszę się na mszę.

Chyba miał mnie dosyć. Nie chciałam mu udowadniać, że o tej porze żadnej mszy nie ma, żeby sobie nie pomyślał, że globalnie podważam fakty dotyczące Kościoła. Bo nie o to mi chodziło, na Boga!

Ksiądz zdjął z wieszaka za drzwiami sutannę i w mojej obecności nałożył ją demonstracyjnie przez głowę. Przed lustrem zapiął górne guziki, zamocowawszy wokół szyi koloratkę. A potem przeżegnał się. Żebym już nie miała żadnych wątpliwości. Dał mi święty obrazek i przekazał pod opiekę gospodyni, a ta

wyprowadziła mnie na schody przed plebanią. Tam zdążył tymczasem uzbierać się stos plecaków. Ksiądz w sutannie dreptał ścieżką w kierunku zakrystii. Ktoś śpiewał „Serdeczna Matko”. A ja już wiedziałam, co zrobić.

Atak księżnej

Podwoje księżnej willi otworzyła przede mną nieznajoma pokojówka. Ani Emilka, ani Pedro. Ta była łysa jak kolano i nosiła sumiaste wąsy. Zresztą może trafiłam na kamerdynera wieczornego? Kto ich rozróżni w tym dziwnym domu?

164

- Była pani umówiona z księżną? - zapytał, zanim zdążyłam otworzyć usta.

- Nie byłam. W życiu nie zamierzam umawiać się z księżną! - odpowiedziałam mu z przekonaniem. - Nie chcę jej widzieć. A teraz proszę mnie wypuścić!

Tak zdębiał na moje słowa, że dopiero w połowie schodów, już w środku, dopędził mnie i wyjąkał:

- Ale ale ale po co?

- Do Pedra!

- On w tej chwili jest zajęty u księżnej.

Wzruszył mnie, że tak bez namysłu powiedział o Pedrze „on”, a nie żadna „pokojówka dzienna” albo coś równie kretyńskiego, toteż złagodziłam ton.

- Proszę go zawołać. Niech pan mu powie, że siostra Pameli przybyła w niecierpiącej zwłoki sprawie.

Poszłam za nim i dyskretnie zajrzałam przez drzwi, które pozostawił uchylone. We wnętrzu księżna z Pedrem siedzieli przy oknie nad małym stolikiem z ustawioną na nim szachownicą. Księżna akurat przedstawiała białą królową.

- Szach i mat! - oznajmiła głosem uradowanej mumii. Naturalnie. Lojalna pokojówka daje się ogrywać swojej

ukochanej pani. Niczego innego nie mogłam się po Pedrze spodziewać. Ale widocznie nie znałam go do końca, mimo że mieliśmy wspólną ulubioną reklamę, choć on trochę inną, bo oto Pedro z kolei sięgnął na drugi koniec szachownicy po czarnego skoczka. Przetawił go z uśmiechem.

- Niezupenie. Teraz dopiero jest szach i mat.

- Sacrebkul - Księżna zamknęła oczy. - Idzie mi coraz gorzej!

- Pozwolę sobie być innego zdania: to mnie idzie coraz lepiej. Zdecydowanie podciągnąłem się w grze przy księżnej pani!

No proszę, jednak lojalna pokojówka. A może przemawia przez niego zacna grzeczność klechy? Pokojówka z wąsami nachyliła się nad Pedrem, zaszepotała mu do ucha. Zerknął ku drzwiom i dostrzegł mnie na korytarzu. Wstał, powiedział coś do księżnej, a ta bezczelna baba odwróciła się ku mnie, żeby pomachać mi ręką.

Pomachałam jej też, niech sobie nie myśli!

165

- Co takiego pilnego? - zapytał Pedro, całując mnie w policzek.

- Czy możemy gdzieś wejść, gdzie będziemy sami? Tylko szybko, błagam cię!

Mina mu zrzedła. Bez słowa uchylił drzwi obok. To była ciasna pakamera z meblami w pokrowcach. Otworzyłam wielką torbę, którą przytaszczyłam ze sobą.

- Pedro, chodzi o moje życie! - wyznałam. - Musisz choć na pół godziny przebrać się za Pamelę! Natychmiast! Koniecznie! Przyniosłam rzeczy!

- Za Pamelę? Znowu? Teraz? Co to za bzdura?

- Pedro, chodzi o moje życie! - wrzasnęłam z prawdziwymi łzami w oczach. - Masz pół minuty na przebranie się! Potem na wszystko ci odpowiem. Tylko nie zwlekaj, proszę!

Rzuciłam mu moją plażową sukienkę.

- To nie jest Pameli! - zaprotestował.

- Złapałam, co było pod ręką! Nie wybrzydzaj! Nie rób teraz rewii mody! Czy nie wszystko ci jedno? Byle szybko! - Niecierpliwie spojrzałam na zegarek. - Już pięć sekund minęło! Śpiesz się, Pedro! Czy w ogóle ci nie zależy na moim życiu? Wreszcie zrozumiał, że to nie żarty. Błyskawicznie ściągnął spodnie i chwycił sukienkę. Kiedyś kupiłam ją sobie na plażę. Na powrót z plaży. Przypominała kąpielowy szlafrok do ziemi, tylko nie miała kaptura i była rozpinana. Histerycznie popędzany przeze mnie Pedro borykał się z guzikami. Było ich ze trzydzieści na całej długości i wybierając się tutaj, wszystkie skrupulatnie pozapinałam.

- Pedro, masz jeszcze trzy sekundy! - krzyknęłam. - Ubierz-że się w końcu w nią bez bawienia się guzikami! Bo ja tu zwariuję ze strachu!

Naprawdę się bałam, chociaż nie tego, o czym myślał Pedro. Zresztą nie wiem, o czym myślał. Po rozpięciu guzików pod szyją sukienki włożył rękę w otwór u góry, potem zmienił zamiar, dobrał się od dołu, ale ręka wyszła mu tamtędy, którą powinna wyjść głowa. Wycofał się jeszcze raz i podejrzliwie obejrzał tkaninę, która w trakcie ubierania wywróciła się na lewą stronę. Już go nie popędzałam. Minęło czterdzieści sekund, pięćdziesiąt, a Pedro szamotał się bezradnie z moją najprostszą plażową sukienką. Trzasnął rozrywany szew.

166

- W porządku, daj już spokój, Pedro! - powiedziałam radośnie i teraz ja pocałowałam go w spocony z wysiłku policzek. -Przepraszam cię za ten eksperyment. Uwierz mi, że to było konieczne, żeby rozwikłały się splątane wątki. Nie potrafisz zagrać na tej trąbce, Pedro! Ani w ząb! Fałszujesz od początku do końca. A to znaczy, że w życiu nie wkładałeś na siebie sutanny! Nie jesteś księdzem, Pedro!

- Nie jestem kim?

- Ach, prawda, bo ty nic nie wiesz! Skąd masz wiedzieć?! Zdawało mi się przez pomyłkę, że jesteś księdzem - trajkotałam, gdyż rozpierała mnie radość i duma z własnej lisiej chytrości, a Pedro stał oszołomiony na środku pakamery z głową w otworze po urwanym rękawie mojej plażowej sukienki i z ręką wytkniętą pomiędzy jej dolnymi guzikami. - Teraz upewniłam się, że na szczęście się pomyliłam. Nie mam nic przeciwko księżom, ale wiesz... Książdz to książdz! Jak to mnie diabelnie cieszy, Pedro!

-Kazałaś mi przebrać się za Pamelę tylko po to, żebym udowodnił, że nie jestem księdzem? - zapytał z niedowierzaniem, wciągając na siebie spodnie.

- Dokładnie! - przytaknęłam. - Nie umiesz włożyć sukienki bez mojej pomocy!

- Pomysłowe - zgodził się z przekąsem Pedro. - Przy okazji ustaliliśmy, że nie jestem transwestytą, aktorem, kucharzem, projektantem mody. Nieźle. Nie wystarczy, że jestem przyzwoitym człowiekiem? To chyba widzisz gołym okiem?

-Nie musisz się obrażać. Każdy może być przyzwoitym człowiekiem i każdy może być łajdakiem. To o niczym nie świadczy. Jedynie o tym, czy ktoś jest przyzwoity, czy nie.

- Nic dodać, nic ująć. Zostaniesz na kawie z księżną i ze mną?

- Pijesz z nią kawę?

- Czemu nie? Po osiemnastej nie jestem już w pracy. A jest za pięć. Mam godzinę przerwy i potem zastępuję Emilkę za jej wczorajsze zastępstwo. Wykorzystajmy czas.

- Lepiej się zdrzemnij. Nie mam ochoty na kawę z księżną. Ona jest dziwna.

- Szkoda. Księżna cię lubi. W niedzielę wyprawia swój bal

urodzinowy. Pytała mnie, czy wypada jej wystosować do ciebie zaproszenie. Tu mnie zaskoczył po raz pierwszy, bo z tym księdzem to byłam raczej pewna, że się nim ostatecznie nie okaże.

- Serio? Tego się po niej nie spodziewałam. Zaproszenie? I co odpowiedziałeś?

- Że nie. Nie ma takiej potrzeby.

Tu mnie zaskoczył po raz drugi, niestety, ale zachowałam godność.

- Ach tak? Nie ma potrzeby? Właściwie masz rację, bo i tak bym nie przyszła. Nie chciałam patrzeć, jak nadskakujesz gościom z herbatnikami i z milutkim uśmiechem.

- W niedzielę mam wolne. Ale na balu będę, ponieważ jestem zaproszony. Mam zamiar wybawić się wreszcie do upadłego.

- Ach tak? - powiedziałam po raz drugi i zdałam sobie sprawę, że to po raz drugi, i zrobiło mi się głupio, a na domiar złego nie mogłam nic więcej wykrztusić, ponieważ w głowie znajdowałam wyjątkową pustkę.

Jak mógł lekkim tonem powiedzieć, że nie potrzeba? Nawet nie spytawszy mnie, czy mam ochotę? Zdawał sobie sprawę, że nie cierpię księżnej, ale w takim razie sam powinien zrezygnować. Zresztą ona okazała się całkiem do rzeczy. Chciała zaprosić, chociaż widziała mnie raz w życiu. Na dodatek byłam wtedy w fatalnej formie. A Pedro? „Nie ma takiej potrzeby”. Może to on ma na nią zły wpływ, a nie odwrotnie? I jeszcze nazywa sam siebie przyzwoitym człowiekiem. Wiedziała, że to o niczym nie świadczy! Nie wierzę, że mnie kocha. To mu się normalnie wyrwało dzisiaj rano, kiedy był jeszcze zaspany! Gdyby mnie kochał, odpowiedziałby księżnej, że koniecznie, a nie, że nie ma takiej potrzeby! Co on może wiedzieć o moich potrzebach? Nawet o swoich własnych zapomniał, wielki mi przyzwoity człowiek! Wiśnia i tyle! Jeszcze wczoraj bym nie pomyślała!

Na korytarzu ktoś krzyknął jego imię i Pedro uchylił drzwi. To był wąsata pokojówka z wystraszoną miną.

- Pedro, szybko! - zawołał. - Księżna ma ma ma znowu atak! Ale nie martw się!

- Czekaj tu na mnie! - krzyknął Pedro, wybiegając. Słyszałam jeszcze z daleka, jak wołał, żeby przygotować kataplazm i wezwać doktora Żmijewskiego. Za moment zajrzał do mnie wąsaty.

- Niech się pani nie martwi, Pedro już raz sobie z tym poradził, a zaraz będzie lekarz. Księżna ma kłopoty z błędnikiem, chociaż dotąd nie miewała takich dokuczliwych objawów.

Skinęłam mu głową, że rozumiałam, ale postanowiłam, że pójdę. Nie będę czekała na kogoś, kto nie widzi potrzeby, żeby zatańczyć ze mną na balu. Pakowałam rzeczy w torbę, gdy nagle oblał mnie zimny pot. Przypomniałam sobie, co powiedział wąsaty. Że Pedro już raz sobie z tym poradził. Przypomniałam sobie, jak spokojnie i fachowo opatrzył mojego guza. Po czym zażartował, że wypisuje mnie ze szpitala! I przypomniałam sobie, jak przed chwilą usiłował włożyć moją plażową sukienkę, gdy celowo wprowadzałam nerwowy nastrój. Obie ręce pchał najpierw w rękawy, jakby to był zapinany z tyłu kitel. Kitel chirurga!

Pedro był lekarzem! Jak mogłam wcześniej tego nie zauważyć? Ileż to razy po konsultacjach na chirurgii mój ojciec zakładał następnego dnia koszulę tyłem do przodu, bo najpierw wpychał ręce w rękawy!

Nareszcie odgadłam!

Lekarz! Chryste, lepiej niż ksiądz, ale gorzej niż biznesmen. Pół na pół.

Przynajmniej można o nim porozmawiać w towarzystwie. Co robi twój chłopak?

Akurat ma nocny dyżur. Co robi twój chłopak? Akurat jest dzienną pokojówką. Chyba sami słyszycie różnicę, prawda? Ale jak się upewnić? Tym razem już nie rzucę się głową w dół. Najpierw potrzebuję dowodów.

Odgarnęłam pokrowiec z jakiegoś szezlonga, usiadłam półgębkiem i zaczęłam się zastanawiać. Jak rozpoznać lekarza w człowieku?

Kiedy wróci, mogłabym stęknąć od niechcenia: „O Boże, jak mnie tutaj zabolęło, co tu jest?”. Wtedy on mi odpowie, że to jakiś, powiedzmy, lędźwiowy odcinek kości postrzałowej wstecznej czy jak oni to tam zwą. „A jak to byłoby po łacinie?” - zapytam. I zależnie od jego odpowiedzi będę w domu. No tak, tylko jak sprawdzę, czy stosuje prawidłowe nazewnictwo? Przecież nie powiem: „Poczekaj, zanotuję, co mówisz. W domu po-

169

równam z atlasem anatomicznym”. Może wystarczy, że w ogóle zabierze się za łacinę? Co z tego, że wymieni złą nazwę złej kości? Najwyżej lekarz, tylko że zły. Mało to takich? Tak samo liczy się za lekarza jak dobry.

Albo zemdleję i zobaczę, co zrobi.

Lepiej nie. Jeszcze chluśnie na mnie wodą i będę wyglądała jak zmokła kura.

Więcej już nie zamierzam się dla niego ośmieszać. Nie potrafi tego docenić. „Nie ma takiej potrzeby!”.

Albo dam mu receptę ojca do odczytania. Oni tylko nawzajem umieją siebie odczytać. Jak kapłani w starożytnym Egipcie. Nikt poza nimi nie opanował hieroglifów.

Najważniejsze, że ustaliłam, kim Pedro jest. Sposób na potwierdzenie zawsze się w końcu znajdzie. To mnie podnosiło na duchu. Oraz to, że jestem cierpliwą optymistką.

Wstałam. Poprawiłam na szezlongu biały pokrowiec, który odsunęłam, żeby usiąść. Jego kolor podsunął mi nowy pomysł. A gdybym narzuciła biały pokrowiec na siebie, weszła zniecka do tego pokoju, gdzie Pedro ratuje księżną, i zapytała:

„Doktorze, co z pacjentką?”. Może zasugerowany odpowie: „Stan jest taki i taki, siostrzo!”? Niegłupie. Chociaż jeżeli oglądał w przeszłości któryś ze szpitalnych seriali, też może zasugerowany odezwać się do mnie „siostrzo”. Nie, jednak bzdurne. A jeżeli zobaczywszy mnie w białym pokrowcu, zawoła zasugerowany: „A kysz, maro nieczysta!”? Czy to będzie znaczyło, że jest grabarzem, czy egzorcystą, czy scenarzystą horrorów? Całe to ryzyko chyba się nie opłaca. Nie podjęłam jeszcze ostatecznej decyzji, gdy znów zajął do mnie wystraszony łysy.

- Pedro! - wrzasnął. - Ale ale ale niech się pani nie martwi!

- Co z nim?

- Zemdłał! Ale oddycha!

- Chryste! Defibrylator, doktorze! - wrzasnęłam przerażona, ale ocknęłam się natychmiast. Co to za bezskuteczne metody, skoro ja pierwsza dałam się zasugerować, choć w życiu nie poszłabym w ślady ojca na medycynę. - Co mu jest? Zdiagnozowaliście?

- Księżnej poszła krew z ucha i nie nie nie wytrzymał widoku, biedak!

170

-Co?

- Zasłabło mu się, ale niech się pani nie martwi.

No to piękny z niego lekarz, pomyślałam ponuro. Chirurg jak się patrzy. Wstyd byłoby z nim nawet wejść na salę operacyjną. Mój ojciec sam sobie wyciął ropny czyrak z pośladka, chociaż jest po neurologii. W zasadzie bezkrwawy kierunek.

Jeżeli taki neurolog stępi jeden lancet w ciągu całej zawodowej kariery, to już jest dużo. Przepraszam, że opowiadam wam makabryczne rzeczy, ale chodzi o porównanie. Samemu sobie wyciąć czyrak, a zemdleć na widok cudzej krwi!

- No to na co czekamy? Ratujmy go! - zakrzyknęłam gromko, choć bez przekonania. Wybiegliśmy z pakamery. Czy kiedykolwiek przyszło mi do głowy, że mój ideał męzczyzny będzie tak daleki od ideału?

Ubranie dla Pedra

Pedro przyszedł do siebie pierwszy, po nim księżna, na końcu ja. Gdyż ja także zasłałam. Nie z nadmiernej wrażliwości, tylko z powodu książęcych parkietów. Zbyt prędko biegłam Pedro-wi z pomocą i wyłożyłam się jak długa. Otworzyłam oczy, delikatnie poklepywana po twarzy. To był Pedro. Cucił mnie tak fachowo, że gdybym przed momentem nie ustaliła, że nie jest lekarzem, podejrzewałabym go o to od nowa. Nawet podał mi sole trzeźwiące, które księżna nosiła w srebrnym flakoniku na szyi. Jakie romantyczne! Po raz ostatni zetknęłam się z czymś podobnym bodajże u Mickiewicza.

- Do! - nawoływał mnie. - Do, kochanie! Nic ci nie jest?

- Nieważne - szepnęłam. - Nie jesteś lekarzem.

- Oczywiście, że nie jestem, ale nie jesteś taka znowu chora. Spokojnie.

Poślizgnęłaś się z pośpiechu. Co dzisiaj wyprawia się w tym domu! Dzień Sądu nastał czy jak?

Sądu - pomyślałam w lekkim oszołomieniu. Dlaczego mu to przyszło do głowy? Skoro nie jest księdzem, może jest prawnikiem?

171

- Pedro - zapytałam podejrzliwie - jak to się nazywa, jeżeli ktoś ma siedzieć w więzieniu aż do śmierci?

- Co takiego? Dożywocie. Czemu pytasz?

Wiedział. Wiedział, jak to się nazywa. Mógł z powodzeniem być prawnikiem. Ale czy prawnikom wolno mdleć na widok krwi? Co z karą śmierci? I jak to jest po łacinie?

- Dlaczego zemdlałaś?

- To ty zemdlałaś, kochanie. Masz ostatnio za dużo wrażeń.

- Ty nie zemdlałaś?

-Mnie zemdliło. Od kamfory. Robiłem księżnej okład z kamforą. Nie cierpię tego zapachu, zawsze mnie rozłoży. Ale ktoś musiał. Teraz jest już przy księżnej doktor Żmijewski. Nic groźnego, twierdzi, ale ona musi kilka dni poleżeć w spokoju.

Mdli go od kamfory, zastanowiłam się. Więc kim może być? Chemikiem nie, farmaceutą nie, ale lotnikiem tak. Ponieważ kamfora błyskawicznie się ulatnia w powietrze. Mówi się, że ulotnił się jak kamfora. Albo że głupi jak sanki.

Księżna musi poleżeć kilka dni. Czyli balu nie będzie. Ale dlaczego on tak powiedział, Pedro, że nie ma takiej potrzeby? Nie kocha mnie? Kłamał tak samo jak Marek! Oni wszyscy kłamią!

Ta myśl otrzeźwiła mnie doszczętnie. Usiadłam na wybitej ałtarem kozetce, na którą przeniósł mnie Pedro. Nie lubiłam go na razie. Niech mnie nie cuci. Nie życzę sobie!

- W porządku? - zapytał. - Ten guz nigdy ci nie zniknie, jeżeli codziennie będziesz go poprawiała.

- Dlaczego tak powiedziałeś, Pedro?

- Żartuję. Już go prawie nie widać.

- Nie mówię o guzie, tylko o zaproszeniu. Dlaczego nie kazałeś mnie zaprosić?

- Nie potrzeba. Ja dostałem zaproszenie wraz z osobą towarzyszącą. Nie mam na świecie i nie chcę innej osoby towarzyszącej niż ty, Do! Więc po co nam dwa zaproszenia?

Po tym wyznaniu pobiegłam do domu cała w skowronkach. Głowa mnie nie bolała. Nie dręczyły mnie podejrzenia, że Pedro jest prawnikiem. Gdyby był, już dawno na któreś moje naj-niewinniejsze pytanie odpowiedziałby, że nie da się na nie odpo-  
172

wiedzieć jednoznacznie. Nie przepuściłby tylu okazji jako prawnik. Przed kinem zobaczyłam plakat do filmu „On i one” - zachwycił mnie. Na środku było zdjęcie Michała Żebrowskiego z plecionymi bokobrodami, a dookoła niego plejada gwiazd: Tyszkiewicz, Janda, Foremniak, Kożuchowska, Cielecka, Jun-gowska, Komorowska, Seniuk, Fraszyńska, wszystkie barwy kobiecości, a wśród nich, w największym formacie, Asia Robótek. Przeczytałam, że cała Polska czeka na debiut, więc, zdaje się, to ona była lokomotywą filmu. Pozostałe panie debiut miały przecież zaliczony. Czułam podziw dla Asi Robótek że wspięła się na takie szczyty.

Wydawało się, że nie ma szans a jednak.

Na moim stryżku przed wygasłym kominkiem spędziłam cudowny samotny wieczór z telewizorem i książką. Nie pamiętam, co oglądałam i czytałam, ale jedno i drugie było fascynujące. Ocknęłam się, gdy jakiś krytyk wyzywał się na roli położonej przez Asię Robótek w filmie „On i one”. Co najdziwniejsze jego wypowiedź też mi się ogromnie podobała. Potem zadzwonił Pedro i o czymś cudownie rozmawialiśmy, ale nie mogę sobie uprzytomnić, o czym. W każdym razie cudownie! A około dziewiątej wieczorem zadzwoniła mama.

- Do, przedyskutowaliśmy ten temat z ojcem. Tak nie może być! Nigdy niczego ci nie zabranialiśmy, ale zakonnica nie zostaniesz! Trudno i darmo!

- Dobrze, mam - zgodziłam się.

- Do, nie upieraj się, bo to nie ma sensu! Tym razem nie postawisz na swoim i nic mnie nie obchodzi, że jesteś dorosła. Ja też jestem. Jeszcze bardziej. I ojciec też.

- Nie zostanę zakonnica, daję ci słowo.

- Możesz to sobie powtarzać, ile dusza zapragnie, tylko uprzedzam cię, że ja też umiem się uprzeć, a wtedy... - Mama przerwała w pół zdania. - Co powiedziałaś, Do?

Mamie wyraźnie puściły nerwy, toteż machnęła ręką na wieloletni obyczaj nie pouczenia mnie, co mam robić. Zapewniłam ją solennie, że nie wybieram się do klasztoru, ale jeszcze dwa razy dzwoniła tego wieczora, żeby upewnić się, czy się nie przesłyszała. Po raz czwarty zadzwonił ojciec, żebym przestała matkę  
173

dręczyć, ponieważ on już nie może na to patrzeć. Mogę sobie zostać zakonnica, ale niech wreszcie będzie spokój i niech przyjdzie normalny rachunek za telefon. Powiedziałam mu, żeby mnie nie namawiał, bo nic z tego. Nie zostanę zakonnica. Zbyt wiele mam do stracenia. Zakochałam się.

- W kim? - zaniepokoił się ojciec.

- Pamiętasz jednorożca, o którym ci opowiadałam, tato? No więc w nim! Na świecie pozostał tylko jeden czarodziejski jednorożec i ja go odnalazłam!

- Proszę, żebyś przestała dręczyć mamę, a nie żebyś zaczęła dręczyć mnie! - powiedział tata i odłożył słuchawkę.

Następnego dnia pobiegłam do księżnej z bukietem kwiatów. Leżała w koronkowej bieli na uniesionych wysoko poduszkach, pod baldachimem koloru blansz, dumna jak zwykle. Na mój widok odłączyła się od wieży z płytą Black Sabbath i zapewniła,

że bal odbędzie się w terminie, a ja jestem oczekiwana u boku Pedra. Ona nie pozwoli sobie odebrać urodzin. Jednych z ostatnich. Mniejsza o to, których. Kobiety z jej sfery za życia mają tyle, na ile wyglądają, bezpośrednio zaś po śmierci osiągają wiek czcigodny. Reszta ich metryki jest ich osobistą sprawą. Nawet księżę w to nie wnika i umiera w nieświadomości.

Przykazałam Pedrowi, żeby pilnował księżnej jak oka w głowie. To skarb. Najlepiej niech się nie rusza od jej łóżka razem z Emilką i wąsatym. Zaoferowałam się, że sama kupię mu ubranie na bal, żeby już nie musiał przebierać się za kolej warszaw-sko-wiedeńską. On niech nie odstępuje łoża księżnej.

Uwierzycie, że miałam w oku miarę? W sklepie ledwie spojrzałam, a już wiedziałam bez pudła: to pasuje na Pedra, to pasuje, to nie, to za małe, to będzie pasowało, jeżeli przesunie się guzik... Daję słowo, tak mi się porobiło. Co to może być? Nazwijcie to jak chcecie, ale ja wiem swoje. Miłość! U Sebka patrzyłam na kurtkę, którą miał na sobie, i nie wiedziałam, czy jest dobra na niego, czy nie. W ogóle mnie to nie obchodziło, szczerze mówiąc. To znaczy Sebek troszeczkę, a kurtka wcale.

Z drugiej strony, przy Seбку mój umysł pozostawał cichy jak morze w bezwietrzny dzień. Przy Pedrze odczuwałam w gło-

174

wie bezustanny sztorm. Niekiedy w ciągu jednej i tej samej minuty los Pedra odmieniał ? trzy razy. Był windziarzem albo sportowcem wyczynowym, aiDO buchalterem. Daj sobie spokój z tymi szalejącymi wariantami! \_ błagałam sama siebie. - Zobaczysz, zostaniesz jakąś wariantką! Ale zakochana kobieta nie dowierza samej sobie, niestety. Nic więcej jej nie pozostaje, jak wierzyć w przeznaczenie, które musi się nad nią ulitować!

Przyniosłam zakupy do domu, zadzwoniłam do Pedra, wysprzątałam mieszkanie na błysk i oddałam się ćwiczeniom feeling teung. Mogłam wybrać pomiędzy doskonaleniem ducha lub ciała, ale ponieważ wczorajszy wieczór poświęciłam duchowi, ten oddałam ciału. Pedro miał przyjść do mnie dopiero jutro, więc jakoś musiałam przeżyć. Bardziej przydałby mi się survival niż feeling teung, ale tylko Azjaci mnie nie opuścili. Gośka przeżywała miodowy miesiąc z Bernim, Sebek zniknął z pola widzenia i prawdę powiedziawszy, nie szukałam go. Moje koleżanki ze szkoły powyjeżdżały ze swoimi facetami na letniska. Z dalszymi znajomymi nie chciałam się spotykać, bo zanudziłyby mnie rozmowy o niczym, kiedy cały czas myślałam o wielkich, cudownych sprawach. Zostałam sama z feeling teung.

Po kolacji rozłożyłam kupione ciuchy na meblach i wyobrażałam sobie, jak Pedro w nich wypadnie. Byłam jednak tak rozpalona, że sama wyobraźnia mi nie wystarczała. Postanowiłam ubrać się w jego ciuchy i odbyć próbę generalną przed lustrem.

Tylko tak, dla zabicia czasu. Nic zbrocznego, Chryste, nie myślcie sobie! Sami wiecie, jak rozkosznie jest ,czasem przymierzyć coś cudzego, nawet bez sensu. Spodnie podwinęłam, a buty wzięłam swoje własne, więc od dołu wyglądało to porządnie. Gorzej było z górą. Żółta koszula nie sprawiała problemu, ponieważ niewiele jej zostało na widoku. Za to marynarka wisiła na mnie jak na sankach, tyle że ginął w niej mój biust, co szczęśliwie odbierało mi aparycję obojnaka.

Rękawy też musiałam podwinąć. Kupiłam Pedrowi szpanerską marynarkę ze stójką, w pepitkę, ponieważ pasowała do willi sprzed wojny i urodzin księżnej jak żadna inna. Do tego krawat zawiązany na modłę fontazia na pamiątkę naszej pierwszej randki w Crime Scene. W lustrze wyglądało to zno-

175

śnie, tylko że wrażenie psuła moja twarz. Przylizalam włosy lakierem, a pastą od butów rozmasalam sobie cień na zuchwie i pod nosem, co od biedy wyglądało na jednodniowy zarost. No i tuszem do rzęs wymodelowałam brwi nad nosem. Ta zabawa dała mi dużo uciechy, a na koniec wyszedł Pedro jak malowany! W każdym razie zgrabny nieznamy facecik. Całkiem seksowny! Zwłaszcza gdy przyciemniłam światło na stryżku.

Co takiego jest w mężczyźnie, że on różni się od kobiety, zastanowiłam się. Przecież nie chodzi o jeden czy drugi szczegół anatomiczny. Przebrałam się za Pedra i oto mogę odmieniać się przed lustrem w niezliczonych pozach. Jedna noga do przodu, ręce splecione na wysokości przydatków - polityk. A gdybym tak samo stanęła jako kobieta, wciąż byłabym sobą. Nauczycielką języka polskiego Dominiką. Albo lekki rozkrok, ręce założone z tyłu, podbródek wysoko - wojskowy od kapitana wzwyż. Choćby założył dresy i sweter. A kobieta w tej samej pozie po prostu wypatruje przyjaciółki, choćby miała na sobie mundur generała. Siad na krześle z rozkraczonymi nogami, ręce w kieszeniach, wzrok wbity we własne buty - sprzedawca na bazarze. Jeszcze się dorobi i wszystkim pokaże. Kobieta w identycznej pozie jest już kobietą życiowo skończoną. Dogorywa na jakimś marnym stoisku. Nic nikomu nie pokaże i nikt nieciekaw. Kto by pomyślał, że nawet nasze ciało jest przeciwko nam? Dlatego modę adresuje się w lwiej części do kobiet. To nasza śmiertelna walka o życie!

Zadzwoił telefon. Przez dłuższą chwilę patrzyłam w zdjęcie na wyświetlaczu jak sroka w gnat, zanim zorientowałam się, że to naprawdę Sebek. Jego się nie spodziewałam.

- Jestem na dole, Dominiko. Czy mogę wejść na sekundę?

- Oczywiście, Sebku! - zawołałam radośnie, choć nie miałam ochoty, żeby wchodził i to jeszcze na dodatek teraz. - Bardzo się cieszę, że o mnie nie zapominasz.

Nie miałam pojęcia, po co Sebek chce do mnie przyjść. Może po salaterkę od tamtych minóg czy też minogów? Uwijałam się jak w reklamówkach telewizyjnych. Zanim Sebek wszedł na górę, zrzuciłam z siebie męskie rzeczy, zmyłam sztuczny zarost i rozczesałam przylizane włosy. Skakałam otworzyć drzwi na

176

jednej nodze, z mokrą twarzą i jednym papciem w dłoni, dopinając bluzkę.

Sebek stanął w drzwiach z taką miną, jakby zawział się już na parterze, że nie powie mi, że ładnie wyglądam. A patrzył tak, jakby nie mógł ucelować we mnie oczami.

- Zauważyłem, że jesteś sama, i pomyślałem, że wejdę - powiedział.

Jak to zauważył, że jestem sama? Przecież z ulicy w okna nie zajrzał. Czyżby pikietował pod moim domem od trzech godzin, kiedy to wróciłam ze sklepu? Śledził mnie, czy wrócę sama, sprawdził, że nikt mnie nie odwiedza, i dopiero zdecydował się wejść? I przez te trzy godziny nie skomputeryzował ani jednego obuwniczego? Chryste, dlaczego ja go tak dręcę, nawet o tym nie wiedząc? Czy nie mam serca? Czy ono jest zbyt małe, żeby pomieściło inne ludzkie uczucia, odkąd się zakochałam? Powinam uczciwie powiedzieć Sebkowi prawdę. Że z nami koniec. Nie wolno mi czekać, aż sam się zorientuje, bo skoro dotąd ma nadzieję, przeżyje szok. Muszę poinformować go o nieodwracalnych faktach delikatnie, żeby nie poczuł się odrzucony i niepełnowartościowy. Biedny Sebek jest taki delikatny. Nie mogę wziąć go na swoje sumienie. Powiem mu: „Sebku, pragnę na pewien czas zostać sama, przemyśleć moje życie, wartości, którym hołduję, moją przyszłość. Wiesz, jak cię cenię i jak będzie mi Ciebie brakowało!”. Albo: „Sebku, nie mogę zapomnieć o Marku! On zniszczył we mnie zdolność kochania! Rozstańmy się, zanim

ja zniszczę ją z kolei u ciebie! Jesteś zbyt wartościowy, żebyś mogła ci to zrobić. W przyszłości jakaś cudowna dziewczyna nie wybaczyłaby mi tego!". Wypijemy kieliszek wina na pożegnanie, ucałujemy się w policzek... Nie, wina nie ma. Całowaniem też nie ma co rozpałać go na ostatek.

- Wejdz, Sebku - zachęcałam. - Chciałam ci coś ważnego o nas powiedzieć. Cieszę się, że zajrzałeś.

- Znalazłaś kogoś? - zapytał Sebek bez ogródek. Ależ go wzięło. A jeszcze niedawno nie dzwonił do mnie przez okrągły tydzień i nie przeszkadzało mu to.

- Niezupełnie. Nie, to nie tak. Wejdz, proszę.

12. Mężczyzna.

177

Jejku, tylko delikatnie, spokojnie, owijając w bawełnę, zaklinałam się w duchu. Sebek minął mnie dostojnie, wszedł, okręcił się na pięcie i wybiegł. Czerwony jak burak. Słyszałam łomot kroków na schodach, potem trzaśnięcie drzwi na dole. To stało się tak szybko, że nie zdążyłam dopiąć bluzki ani włożyć papcia. Zerknęłam w głąb stryższku i włosy zjeżyły mi się na głowie. W przyćmionym świetle po podłodze walały się dziko skłębione, powywracane na lewą stronę męskie ciuchy. „Ostatnie tango w Paryżu” było przy tym widoku mdłe jak wino z papierówek Przy szampanie z Szampanii.

Mówię wam, że reklamy kłamią. Nigdy nie zdąży się ze Wszystkim. Zapewniam was, że żaden z moich chłopaków nie Potraktował tak brutalnie swojego poprzednika, jak uczyniło to Ubranie Pedra. I przysięgam wam, że jeżeli z Sebkim stanie się coś złego, znienawidzę tę cholerną miłość!

Spotkanie ze sztuką

liano nie wytrzymałam i zadzwoniłam do Sebka. Złapałam go ^v firmie, więc najwyraźniej przeżył tę noc. W każdym razie twierdził, że siedzi w firmie.

- Nie bądź niemądry, Sebku - zganiłam go. - Wczorajsze obranie było moje.

Zdjęłam je sekundę wcześniej. Nie chował się u mnie żaden mężczyzna, zapewniam cię.

- Teraz nosisz męskie krawaty i męskie marynarki za duże Q parę numerów?

Sebek usposobiony był sarkastycznie, ponadto najwidoczniej ?????? w oku moją miarkę, jak ja miałam w oku miarkę Pedra.

- Kupiłam ubranie na prośbę znajomego. Mierzyłam, czy będzie na niego pasowało.

- Masz niskie wyobrażenie o mojej inteligencji, Dominiko -Wyznał z goryczą Sebek.

- Uwierzyłem w spotkanie z wydawcą, Uwierzyłem, że musiałaś wyjść z kolacji po raz drugi, ale w to,

178

że zdjęłaś to ubranie z siebie, wybac, nie uwierzę. Miałbym się za kompletnego barana. Poza tym nie ma żadnego znaczenia, czyje ono jest. Wczoraj odwiedziłem cię powiedzieć, że musimy się rozstać. Przykro mi. Poznałem cudowną dziewczynę. Pogratulowałam i rozłączyłam się. Skoro ten pretekst pozwoli mu ocalić męską dumę, proszę bardzo. Najważniejsze, że rozstajemy się za obopólną zgodą. Choć drażniło mnie, że zarzuca mi takie bzdurne łgarstwo. Ale niech mu będzie!

Rekompensata za zerwanie.

Godzinę później zaliczyłam gorszą rozmowę. Zadzwonił Pe-dro, że nie przyjdzie wieczorem. Szykowanie wielkiego balu spadło na jego głowę, toteż uwija się jak w ukropie. Zajrzy w sobotę, gdy ze wszystkim się upora. Postara się o godziwe zadośćuczynienie.

Oczywiście przez resztę dnia myślałam o tym, że jednak mnie nie kocha. Albo kłamał od początku, albo odwiedziało mu się dzisiaj rano. I co teraz pocznę? Kto

wiedział o moich żenujących amorach? O bziku rozwódki, której życie niczego nie nauczyło! Gośka, tata, księżna na pewno się domyślała... No, niewielu. Nie będzie powszechnego wstydu. Ale co mi po tym, że nie będzie?! Zostanę bez ręki, bez nogi, bez oka, bez nadziei, jak ten biblijny Hiob, i mam się cieszyć, że wstydu nie ma? Niech będzie wstyd! Niech będzie wstyd wielki jak cały kulig sań, ale niech zostawią mi Pedra! Niech on będzie sobie czyścibutem z przytułku, niech będzie pokojówką całodobową, niech będzie przeorem klasztoru na Jasnej Górze, ale niech będzie! Bez niego własna pamięć zdmuchnie mnie jak zdmuchuje się płomyk świecy!

Jednakże przed zaśnięciem, patrząc na tonącego w mroku Johna R. Melga, uprzytomniłam sobie, że już tyle razy podejrzewałam Pedra, że przestał mnie kochać, a on wciąż mnie kochał, że mogę chyba zrobić dla niego choć tyle: poczekam do soboty.

Przyszedł w sobotę po południu i przyniósł dwa bilety na „Raport mniejszości”. Miałam Wprawdzie nadzieję na inne zadośćuczynienie, ale skoro przyszedł, ucieszyłyby mnie nawet bilety na pokaz białej i czarnej magii. Zresztą uwielbiam Toma Cruise'a. Pedro, jak się okazało, też uwielbia. A na przykład Marek do nieprzyzwoitości zachwycał się Nicole Kidman.

179

Najpiękniejsza, najbardziej utalentowana, najseksowniejsza, najlepiej dobierająca role, cud i miód. Nic dziwnego, że nasze małżeństwo rozleciało się tak samo jak małżeństwo tamtych obojga.

„Raport mniejszości” był prawdopodobnie świetny, Cruise był prawdopodobnie znakomity, ale trudno mi było się skupić. Wpadło mi do głowy, że Pedro może być kimś, na kogo zupełnie nie wygląda. Taki Sebek wygląda na artystę z głową w chmurach, a jest ścisłym komputerowcem. Jeśli z Pedrem, zupełnie niepodobnym do Sebka, więc i do artysty, jest na odwrót? Ale jaki artysta? Aktorem nie jest, bo coś by się o nim słyszało. Poetą też nie, bo to by się z kolei słyszało, gdy mówi. Pedro mówi prozą. Prozaik? Przez tyle czasu, od kiedy go znam, nie powstrzymałby się przed zapisaniem czegoś na skrawku papieru. Pisarz zawsze coś naskrobie, choćby nie pamiętał po co. Może malarz? Rozpoznał obraz Johna R. Melga, którego nikt przed nim nie rozpoznał. Nie, gdzie tam malarz! Wystarczyło popatrzeć, jak się maluje jako Pamela. Gdybym nie wyjęła mu kredki z ręki, mógłby się tylko przebrać za Edypa, wiecie, tego od własnej matki, co sobie oczy wydłubał. Ale z drugiej strony, kiedy już go ucharakteryzowałam, Pamelę udawał nieźle. Może jednak aktor? Nieodkryty aktor z prowincjonalnego teatru. Już wolałabym, żeby był powszechnie znaną gwiazdą.

- Pst - szepnęłam mu w ciemności kina do ucha - kto napisał „Szelmostwa Skapena”?

-Co to jest?

- Taka sztuka teatralna.

- Nie mam pojęcia.

Sami widzicie, jaki z niego aktor. Ja też nie wiem, kto to napisał, ale przynajmniej podejrzewam Moliера. Coś gdzieś miałam z tym wspólnego na studiach. Orkiestra zagrała ogłuszająco nad głową uciekającego Cruise'a i nagle pojaśniało mi przed oczami. Muzyk! Kto inny wytatuuje sobie skrzypce na plecach? Tatuuje się smoki, róże, winoroślą, kabalistyczne wzory, miecze i maski, ale nie instrumenty! Nigdy nie zetknęłam się z tym, żeby ktoś miał wytatuowane skrzypce, trąbki albo, nie daj Boże,

180

fortepian. Poza tym niektórzy muzycy miewają taką jakąś płeć nie do końca

sprecyzowaną. No, nie Pedro, ale ta pokojówka, ta Pamela... Wstrętu do kobiet w nim nie odkryłam. Znaczący nie do kobiet! Wiecie, o czym mówię.

- Wiesz co, Pedro? - oświadczyłam, gdy skończył się seans. - Przedstawię cię komuś przy okazji. Znajomej.

Byliśmy w domu kultury, a tutaj jako instruktorka pracowała Matylda, która w zeszłym roku uczyła muzyki w naszej szkole. Weszliśmy na pierwsze piętro. Matylda miała zajęcia. Właśnie kończyła, więc poprosiła, żebyśmy poczekali. Kiedy kocia muzyka za drzwiami umilkła i uczniowie wyszli, wprowadziła nas do swojej sali. Zobaczyłam dokładnie to, czego się spodziewałam. Na podwyższeniu stał fortepian, obok perkusja, na półkach pod ścianą leżały skrzypce, flety, takie blaszane klapki, na których gra się pałeczkami, bębny z dzwonkami, których nazwa wywierała mi z głowy, i mnóstwo różnych przeszkadzajek, których nie znam i nie wiem, czy w ogóle mają nazwy, a co dopiero jakie. Przedstawiłam sobie nawzajem Pedra i Matyldę dla przyzwoitości zamieniliśmy kilka słów, po czym przystąpiłam do natarcia. Wzięłam z półki niby to mimochodem pierwszy przedmiot z brzegu.

- Ależ fikuśna trąbka, prawda, Pedro? Jak ona się nazywa?

- Fagot - odpowiedziała za Pedra Matylda. Odczekałam chwilę, rozmawiając z nią o naszej pani dyrektor, a w tym czasie Pedro z nudów podniósł coś z półki.

- Interesują cię kastaniety? - skorzystałam bez namysłu ze sposobności.

- To okaryna - sprostowała Matylda. - Oryginalna, gliniana. W to się dmucha.

Pedro przyglądał mi się podejrzliwie. Zrozumiałam, że za moment wyjdę na idiotkę nie tylko przed Matyldą, ale i przed nim.

- Pewnie już pójdziemy? - zaproponował. - Film był długi, późno się zrobiło.

Widocznie chciał mnie uratować przed kompromitacją. Rozsiadłam się na krześle.

- Zagraj nam jeszcze na fortepianie i pójdziemy.

181

- Grasz na fortepianie? Serio? - zdziwiła się z uznaniem Matylda.

- Podejrzewam u niego ukryty talent! - Tym razem wtrąciłam sieja. - Zobaczymy.

- Nie gram na fortepianie - zapewnił Pedro.

- A próbowałaś kiedyś?

- Nie miałem fortepianu. Księżna w złości sprzedała Bech-steina, gdy ogłuchła.

- No to nie wiesz. Spróbuj, skoro masz okazję.

Pedro wzruszył ramionami, ale posłusznie zasiadł za klawiaturą. Zapytał Matyldę, czy może dać koncert, i podniósł klapę. Matylda roześmiała się, choć bez przekonania.

- Żartujecie sobie ze mnie, tak? Pedro oczywiście gra na fortepianie?

Nie odpowiedziałam. Pedro położył palce na klawiszach, zamknął oczy, uniósł raptownie dłonie, opuścił i... Możecie mi wierzyć albo nie, ale zagrał! Naprawdę zagrał! To był ragtime albo coś takiego, ale to zdecydowanie miało melodię, wymagało sprawnego przebiegania palcami i nie było jednym ze sławnych „kotletów”, których ludzie uczą się, żeby udawać, że grają. To, co robił Pedro, było prawdziwym graniem.

- Gram, jak Boga kocham, gram! - wrzasnął, odwracając się ku mnie ze zdumieniem.

Nawet w tym skrucie, obrócony bokiem do klawiatury, nie przestał przebiegać palcami. Nie pomylił się. Nutki fruwały jak motyle.

Matylda spoglądała to na niego, to na mnie z uśmiechem wyższości. Była zdaje się przekonana, że nie wyszedł nam jakiś psikus, którego chcieliśmy jej spleść.

Podeszła do fortepianu, wzięła sobie drugi okrągły stół, usiadła obok Pedra.

Położywszy dłonie na klawiaturze obok jego grających dłoni, wyczekała na

odpowiedni moment i dołączyła się.

Grali na cztery ręce. Pięknie, melodyjnie, radośnie. Ich dłonie skakały po klawiszach, jakby od dawna ćwiczyli wspólną grę. Uśmiechałam się wraz z nimi, porwana rytmem melodii. Ale uśmiechałam się niedługo. Dopóki nie zorientowałam się, że Pedro kieruje swój uśmiech szczęścia nie do mnie, tylko do Matyldy. Do grającej z nim Matyldy. Do Matyldy stykającej się

182

z nim poufale ramieniem. Do Matyldy patrzącej mu w twarz z uśmiechem. Do Matyldy zjednoczonej z nim melodią, która dla mnie była ładna, ale nie moja. Była ich!

Uświadomiłam sobie, że dotychczas Matylda była dla mnie zawsze „Matyldą, która w zeszłym roku uczyła w naszej szkole wychowania muzycznego”. A przecież ona była kimś zupełnie innym, jak teraz widziałam. Była śliczną, krótko ostrzyżoną brunetką. Była długonogą dziewczyną w bardzo kusym mini. Była Miss Sympatycznego Uśmiechu i posiadaczką śnieżnobiałych zębów. Była porywającą muzyką!

A ja byłam głupia jak sanki! Co mnie podkusiło, żeby przyprowadzić tu Pedra? Czy brakowało mi do szczęścia koncertu fortepianowego w jego wykonaniu? Sama wepchnęłam go w łapy Matyldy. Nie mogłam sobie przypomnieć, jak wyglądała jej życie uczuciowe, kiedy jeszcze u nas uczyła. Nie byliśmy zakolegowane. Miała wtedy kogoś, czy nie miała? Robiła słodkie oczy do facetów czy nie? Zakochiwała się na zawołanie, czy raczej była z tych, co długo przełamują lody? Jest poważną rywalką, czy może uległam atakowi dzikiej zazdrości o Pedra i o jego przeszłość, którą odkrywa oto ramię w ramię, ręka w rękę z inną?

- Podoba mi się! - oceńłam z wymuszonym uśmiechem, podnosząc się z krzesła pod ścianą. - Umiesz grać na fortepianie, Pedro. Możemy iść.

- Poczekaj, Do, poczekaj! - zachnął się Pedro, nie przerywając gry. - Mnie też się to podoba. Zobaczymy, co dalej.

W gruncie rzeczy nie irytowało mnie, że odpowiadając mi, nie przerwał. Irytowało mnie, że Matylda też nie przerwała. Grali w najlepsze. Jakbym w ogóle się do nich nie odezwała. Jakby mnie tu nie było! Ich zachowanie niewiele różniło się od jawnej zdrady! Bo cóż z tego, że instrument inny, skoro emocje te same?!

Matylda podobała się Pedrowi, nie mogła mu się nie podobać. Gdyby się nie podobała, nie grałby z nią. Imponowała mu swoimi umiejętnościami. A ja przed chwilą celowo zrobiłam z siebie taką muzyczną idiotkę.

Zaczęli grać inny utwór, liryczny i słodki. Oboje. Chryste, czy już teraz, za życia, pokutuję za to, co zrobiłam biednemu Sebkowi? Czy muzyka może zabić?

183

- Pedro! - krzyknęłam.

- Już, już, chwileczkę!

Wyjdę stąd, pomyślałam. Ale jeżeli wyjdę, Pedro nieodwracalnie pozostanie tu sam na sam z Matyldą. Więc lepiej nie wychodzić, póki nic się nie stało. Na razie przynajmniej oficjalnie jest w porządku. Dwoje miłośników fortepianu koncertuje sobie dla odprężenia.

A tuż obok ktoś umiera. To też normalne.

No i co z tego, że on jest wirtuozem i że przypadkiem to ustaliliśmy? Wcale nie przypadkiem zresztą, tylko dzięki mojej przenikliwości. Dzięki temu, że patrząc w serce Pedra, potrafiłam widzieć. Niewielu jest ludzi, którzy widzą naprawdę. Ale co to nam dało? Jakim jest wirtuozem, gdzie, skąd, po co? Będziemy go szukać we wszystkich polskich orkiestrach i pośród solistów? Czy też on sobie teraz przypomni całe swoje życie, grając?

Weszłam na estradkę i nachyliłam się do ucha grającego Pedra.

- Przypomniałeś sobie?

Przerwał granie. Matylda przez moment grała sama.

- Nie - odpowiedział Pedro.

Odetchnęłam. Jeszcze będę mu potrzebna. On chyba także to pojął, gdyż podniósł się od fortepianu. Pocałował w rękę Matyldę, podziękował jej. Była tak nieprzyzwoicie rozpromieniona, że nie pokazałabym jej w tym stanie dzieciom, gdyby jeszcze uczyła u nas wychowania muzycznego.

- No i jakie jest twoje zdanie? - zapytałam ją na odchodnym. Skoro zwyciężyłam, mogłam bez obawy dopytać się reszty. - Czy tak gra członek orkiestry, czy solista?

- Pedro? Gra trochę gorzej ode mnie, po amatorsku. Uczyłeś się jako dziecko, Pedro, zgadłam? Nie nabraliście mnie! Ale było miło. Pedro, jeżeli masz ochotę, mogę poprowadzić cię dalej. Jedna, dwie lekcje w tygodniu i sam będziesz zdziwiony rezultatami. Masz smykałkę, tylko zaniedbałeś się. Zajmę się tobą gratis. Po starej przyjaźni z Dominiką.

Nie czekałam, aż Pedro odpowie. Ja to rozpoczęłam, więc ja skończę.

- Bardzo ci dziękujemy, Matyldo, ale nie. Nie ma takiej po-  
184

trzeby. Dalej już sama Pedra poprowadzę. Żebyś wiedziała, jaką ja mam smykałkę! I wyprowadziłam go bez zwłoki z tej sali rozputy- Nawet nie zaprotestował. Myślę, że jeszcze przez całą drogę do domu przeżywał swoje ujawnione z nagłą umiejętności. Odkryłam w nim coś, o czym sam nie miał pojęcia. Mimo że szukał. Potem zjedliśmy razem kolację na moim stryszku. Już gdy ją szykowaliśmy, Pedro powiedział mi, że nie musi dziś wracać do księżnej. Wąsaty zostanie przy niej z Emilką do rana. Dopiero przed południem trzeba będzie dopilnować ostatnich przygotowań przed jutrzejszym balem urodzinowym. Dziś mamy czas tylko dla siebie. W związku z tym starannie przejrzałam produkty przygotowane na kolację i usunęłam cebulę oraz czosnek.

A potem widziałam obraz Johna R. Melga, który fruwał po moim stryszku. Powiem wam tylko jedno: to, co Pedro robił z Matyldą, to mały pikuś! Życie naprawdę może być o wiele piękniejsze, niż nam się wydaje jeszcze pięć minut wcześniej. Wielki bal u księżnej

Było pięknie jak w rajskim ogrodzie, mówię wam! Z drzew i sznurów przeciągniętych nad alejkami zwisały kolorowe lampiony, które przypominały rozświetlone od środka owoce. Ciepła, pachnąca noc z gwiazdzistym niebem. Między zaproszonymi gośćmi krążyli bez wytchnienia wynajęci kelnerzy, roznosząc na tacach wszystkie smakołyki, na które akurat mieliście apetyt, oraz parę innych. Nawet u Goški nie widziałam takich przyjęć. A ludzi przyszło po prostu mnóstwo, z prezydentem miasta na czele. Elegancy, uśmiechnięci, kłaniający się księżnej w pas. Wchodzili frontowymi drzwiami, przechodzili ku wyjściu do ogrodu, a księżna witała ich osobiście, siedząc na swoim wózku u szczytu tarasowych schodów. Gości anonsował służbiście wyprężony wąsaty i ani razu się nie zająknął. Ach, gdybym potrafiła to wszystko opisać tak pięknie, jak było! Wyszłoby lepsze fantasy niż o jednorożcu.

185

Mnie u boku Pedra księżna powitała serdeczniej niż zwykle, chociaż spóźniliśmy się trochę. Tym razem zrobiłam się na wampa od stóp do głów, nawet paznokcie u nóg pomalowałam bordowym lakierem i włożyłam buty bez palców. Tylko nie błyszczałam się jak wtedy w Krasce. Wydawało mi się, że u księżnej nie wypada się błyszczeć. Weszliśmy spóźnieni, ponieważ Pedro zabrał mnie jeszcze na

poddasze, żeby pokazać mi swój pokój. Nigdy tu nie byłam. Zwykła kawalerka. Gołe ściany i mnóstwo gazetowych wycinków na stoliku. Tam Pedro powiedział coś, co z początku nie przypadło mi do gustu.

- Księżna prosi mnie, żebym dopilnował jej spraw w byłym miejscu zamieszkania.

Sprzedaje dom i fabryczkę po mężu. Będę musiał wyjechać na trzy, cztery tygodnie.

- Teraz? - przestraszyłam się.

- W sierpniu. Ale jest też dobra wiadomość. Księżna pozwala mi zabrać ze sobą osobę towarzyszącą na jej koszt. Na koszt księżnej, rzecz jasna. Co ty na to?

- Tak, Pedro, o, tak! Zabierz mnie ze sobą! - rozrzewniłam się. - A gdzie księżna mieszkała, zanim tu wróciła?

- Nie mówiłem ci nigdy? W Paryżu.

Wyobrażacie sobie? Pogrzebałam Paryż z Sebkiem, a tu nagle Paryż trzy razy dłużej, za darmo i u boku Pedra! Czy nie bajka? A to był dopiero początek balu.

Kiedy dotarliśmy na dół, goście zeszli się już w ogrodzie. W całym wielkim domu przyciemniono światła i kolorowy blask wpadał z zewnątrz przez szyby. Po holu kręciła się samotna sprzątaczką z mopem, usuwająca ślady niezliczonych nóg, które tędy przeszły, w kuchni szczękały garnki, na piętrze jakaś kobieta nawoływała Romana. Słychać było jazz grany przez wynajęty zespół na obwieszonych girlandami estradce. Przed estradką oblegano niewyobrażalnie długi stół, na którym piętrzyły się potrawy w bajecznych kolorach.

- Minogi po karaibsku - powiedział Pedro. - Może się skusisz?

Skusiłam się, skoro minogi chodziły za mną od paru dni. Były pyszne, miękkie, lekko słonawe i choć pod grubą warstwą garmru nadal nie rozpoznałam, czym są, wiedziałam, że zostaną moją ulubioną potrawą.

186

A potem zadzwoniła mama, więc schowałam się w nocny cień krzewu forsycji, żeby z nią spokojnie porozmawiać.

- Gdzie jesteś, Do?

- Nie w klasztorze - zapewniłam ją. - Jestem ze znajomym na przyjęciu przy Topolowej. W tej przedwojennej willi.

- Jesteś na balu u księżnej? - Głos mamy wspiął się na szczyty zdumienia. - Skąd się tam wzięłaś?

- Zostałam zaproszona, mamó. A skąd wiesz, że księżna wydaje bal?

- Nie żartuj! Całe miasto o nim mówi. Podobno coś nadzwyczajnego? Słyszałam, że wszystkich można tam dzisiaj spotkać.

- Naprawdę? Nie mam pojęcia. Ja tu nie znam nikogo z wyjątkiem księżnej.

Ledwie to powiedziałam, wpadła na mnie Gośka, uwieszona Berniego.

- Do! Z kim tu jesteś?

- Z Pedrem! - odpowiedziałam dumnie, po czym zawołałam Pedra i wreszcie ich wszystkich ze sobą zapoznałam. Berni natychmiast zaprosił nas w przyszłym tygodniu do nich na grilla. Wyglądali na takich szczęśliwych. Gośka nie puszczała ramienia Berniego, on karmił ją specjałami ze stołu i z kelnerskich tac, jak karmi się wybredne dziecko. Ostatni raz widziałam ich w takiej komitywie przed siedmiu laty, na weselu. Pomyślałam, że świat jest jednak piękny, trzeba tylko cierpliwie poczekać, aż nam to okaże.

Przemówił prezydent z laudacją na cześć księżnej, wręczono jej jakiś medal za zasługi dla miasta. W odświętnym stroju z czasów powstania listopadowego księżna nadal wyglądała na mumię, ale na sympatyczną i niebywale ukontentowaną mumię. Wniesiono gigantyczne kosze kwiatów, jazzowy zespół zagrał tusz. Myśmy z Pedrem podarowali księżnej płytę Killersow.

Idąc z Pedrem pod rękę, wpadłam za estradką na naszą panią dyrektor. Zmierzyła Pedra uwodzicielskim spojrzeniem. Jej towarzyszył niski, łysiejący mężczyzna.

- To i pani tu, Dominiko? Cudowny bal, nieprawdaż? Zgodzisz się ze mną, Henryczku?

- Mhm, Marcysiu-potaknął lakonicznie jej towarzysza. Trzymał homara i usiłował jeść go tak, jak obgryza się kurze udko.

187

Zatem to był słynny Henryczek, o którym w naszej szkole wiele się słyszało, ale nikt go nie widział na oczy. Będę pierwsza. To zresztą nie zamykało listy zaszczytów, ponieważ dyrektorka nachyliła się ku mnie za plecami Pedra i szepnęła konfidencjonalnie:

- Jak pani się tu dostała? Bo ja mam zaproszenie szwagra. Musiał wyjechać. Kojarzy pani, Dominiko, ten z rady miejskiej, któremu nasz Błażej pisze przemówienia? A pani od kogo wzięła zaproszenie?

Chryste, do jakiej poufałości mnie dopuściła z sobą i szwagrem!

- Ja znam księżnę osobiście, pani dyrektor - wyjaśniłam nonszalancko.

Ukloniliśmy się z Pedrem i odeszliśmy pod rękę, zostawiając dyrektorkę z rozdziawionymi w zdumieniu ustami. Kto wie, może dostanę godziny nadliczbowe w nowym roku?

Przetańczyłam z Pedrem trzy kolejne tańce, kiedy na estradkę wyszedł konferansjer i zapowiedział specjalnie dla księżnej wieczny przebój „Miłość ci wszystko wybaczy”. Księżna wprawdzie nie usłyszała ani konferansjera, ani muzyki, ale powiedziano jej, co słyhać. Widocznie przeżyła w związku z tym napływ wspomnień, gdyż w jej oczach pojawiły się łzy wzruszenia. Zaśpiewa nam specjalnie zaproszona piosenkarka z absolutnego topu muzycznego, zapewnił konferansjer. Zdażyłam pomyśleć, że on niewiele różni się od Rapcuchowicza, kiedy mówi „specjalnie zaproszona”, jakby można też było piosenkarkę zaprosić niechcący, gdy wtem usłyszałam nazwisko i sparaliżowało mnie.

- Przed państwem niepowtarzalna Asia Robótek!

I to naprawdę była Asia Robótek na żywo. Piękna, uśmiechnięta, ubrana w stylu lat dwudziestych, to znaczy w długą suknię z cekinami (choć rozcięta nowocześnie aż po biodro) i w założony na bakier toczek z wielkim czarnym piórem. Chyba strusim.

- Śpiewa poprawnie, ale głosik niewielki - usłyszałam za plecami.

Odwróciłam się ze złością, żeby zobaczyć, kto też tak pobłażliwie traktuje sławną Asię Robótek. Za mną stała Matylda z długowłosym chłopakiem, który nosił za nią kieliszek szampana. Konkretnie mówiąc, nosił kieliszki w obu rękach, czyli swój i jej. Nie podjęłam zatem dyskusji, tylko zabrałam Pedra gdzieś dalej. Postanowiłam, że poszukamy Gośki z Bernim, ale

188

w tym tłumie trudno było kogokolwiek znaleźć. Więc znowu zatańczyliśmy, kiedy tylko Asia Robótek skończyła występy. A potem zobaczyłam ją nakładającą sobie kopiasty talerz jedzenia przy długim stole i postanowiłam, że muszę z nią zamienić choć dwa słowa. Bez Pedra. Wysłałam go na górę po narzutkę, bo po północy zrobiło się chłodniej. Chodząca po trawniku Asia wydawała się o wiele niższa niż na billboardach i fotosach.

- Cześć - zaryzykowałam rozmowę wprost, kiedy została na chwilę sama.

- Cześć - odpowiedziała mi i wyjęła z ust srebrny widelczyk, który gryzła w zamyśleniu. Wskazała nim coś na stole. - Nie wiesz, czy to jest zjadliwe?

- Nie mam pojęcia. Nawet nie wiem, co to jest - odpowiedziałam szczerze.

- Przepiórcze jaja w maladze. Kiedyś nacięłam się na takie przepiórcze jaja. Moi muzycy dalej rzygali, niż widzieli.

Chryste, rozmawiałam z Asią Robótek jakby nigdy nic. W życiu bym nie pomyślała. To jakbym rozmawiała z Tyszkiewicz, Stenką, Jungowską, Fraszyńską... Z nimi wszystkimi!

- Ładnie śpiewałaś - zapewniłam, skoro się zgadało.

- Eee, tak sobie. Naprawdę ci się podobało? Tenks. Ja, proszę cię, nie mam ambicji, żeby dostawać Złote Słowiki. Robię karierę medialną, więc zaśpiewać też muszę. Dla imydzu scenicznego. A jeśli przy tym da się jeszcze stłuc kasę, to czemu nie? O, to sobie zjem! Po tym mam boską przemianę materii.

Nałożyła sobie następny kopiasty talerz czegoś niezidentyfikowanego. Różowe plastry w białej galarecie ozdobione zielonymi kulkami.

- Nie dbasz o linię?

- A po jakie lichy? Ja taka jestem z natury, uwierzysz? Pewnie, że naokoło jestem zrobiona, ale środek jest całkowicie mój.

Nie narzekam.

- Trudno narzekać, kiedy ma się taką figurę jak ty. Pewnie dziewięćdziesiąt - sześćdziesiąt - dziewięćdziesiąt?

- Ale walnęłaś! Ja i DSD! - Asia Robótek roześmiała się głośno i szczerze, a potem zniżyła głos. - Powiedzieć ci, ile mam naprawdę? Osiemdziesiąt dziewięć - sześćdziesiąt jeden - osiemdziesiąt siedem!

189

- Chryste! - zdumiałam się. - To dokładnie tyle, co ja!

- Ty masz też świetną figurę - zapewniła mnie Asia Robótek. - Nawet się dziwię, co tu robisz. Na twoim miejscu stałabym teraz w kolejce do jakiegoś castingu! Może ja faktycznie jestem z tych, po których widać świetną figurę, pomimo że jej nie mają tak do końca? Może jestem lepsza, niż mi się zdaje? Może świat stoi przede mną otworem szerzej, niż sądzę, pomyślałam. Cóż to jednak za cudowny bal, ten wielki bal u księżnej! Za moimi plecami piskliwy kobiecy głos znów zawołał Romana, Asia Robótek zerknęła ciekawie w tamtą stronę i nagle podskoczyła w górę, machając ręką i strusim piórem.

- Roberta! Roberta! Tutaj, Roberta!

Zgadnijcie, kto wynurzył się na jej wezwanie z rozświetlonej lampionami alejki? Redaktorka w rajstopach. Ta od mojego jednorożca. Tym razem rajstopy miała różowe w spiralny złoty wzór. Zatkano mnie! Była sama, ale trzymała na rękę becik z niemowlęciem. Wyciąłowały się z Asią Robótek bez użycia ust, zbliżając policzek do policzka. Nie miałam pojęcia, że redaktor nosi imię Roberta. Ba, nie miałam pojęcia, że takie imię istnieje.

- To moja serdeczna koleżanka - przedstawiła mnie Asia Robótek i redaktorka ucałowała także mnie uróżowanym policzkiem, wydając głośny cmok.

Następnie zaczęły zachwycać się dzieckiem w beciku. Szczerze mówiąc, dziecko było naprawdę śliczne. Nie rozpoznałam, chłopiec czy dziewczynka, a krępowałam się zapytać wprost, ale sama widziałam, że śliczne. Wielkie czarne oczy i uśmiechnięta buźka, kiedy się budziło. Bo raz zasypiało, raz się budziło, ale bez płaczu, jakby rozgardiasz dookoła nie robił na nim wrażenia. Wyglądało na szczęśliwe, jak wszyscy tutaj.

- Co z moją autobiografią? Zdechła na czczo? - zagadnęła Asia Robótek, wołając kelnera z tacą pełną kieliszków. - Przecież to wasz największy hit!

Wypiłyśmy.

- Robi się, Asiu, spoko! - odpowiedziała Roberta. - Kończymy. W przyszłym

miesiącu dam ci do przeczytania.

- Nie mam czasu na czytanie. Opowiesz mi. W końcu ja to znam z życia, Roberta.  
190

Chryste, to była artystka całą gębą. Nie dość, że pisali za nią autobiografię, to jeszcze nie chciało jej się w nią zerknąć. A mnie gdyby kiedyś Roberta wydała tego jednorożca, czytałabym go codziennie od nowa, żeby się nazachwycać samą sobą.

- Ty nic nie piszesz? - zagadnęła mnie Roberta. - Szukamy dobrych piór.

- Ja już napisałam - przyznałam się. - Ale to było głupie jak sanki. Nie przeszło.

- Głupie jak co? - roześmiała się Roberta. - Jak sanki? Przynieś to do mnie, i to szybko. Jak mogło nie przejść, kiedy operujesz takim oryginalnym językiem? Pisz tak jak mówisz i wszędzie przejdzie. U mnie na pewno. Przynieś. O czym to?

- O jednorożcu.

- Gorzej. Wszyscy piszą o jednorożcach. Nie możesz napisać o miłości?

- Tego wszyscy nie piszą?

- To wszyscy czytają. Co cię obchodzi, kto pisze?

Wprawdzie przysięgłam sobie, że już nigdy nie napiszę żadnej książki, ale czytało o miłości to nie taka znowu książka. Tylko co ja wiem o miłości? Chyba że do Pedra.

- Rany! - powiedziała Asia Robótek. - Zobaczcie, co za men! Muszę go wyjąć, bo skonam! Nie wiecie, czyj on jest?

- On jest mój - odparłam. - Nie pozwolę go sobie wyjąć!

- Sorry\ - roześmiała się Aśka. - Malutkie nieporozumion-ko! Odwołujemy!

Ponieważ jednak przed chwilą wyglądała na bardziej szczerą niż teraz, wzięłam Pedra pod mankiet i poprowadziłam w drugi koniec ogrodu. Na estradce grali „Latin Silk”. W rytm tej melodii z zarośli wynurzyła się nieprawdopodobnie piękna dziewczyna, a u jej boku szczęśliwy Sebek. Mineliśmy się bez słowa, jakbyśmy się nie znali, ja z Pedrem za rękę i on za rękę z tą ślicznotką, ale zdążyłam jeszcze pokazać Sebkowi uniesiony kciuk. Że tamta jest naprawdę super. Sebek rozpromienił się, na pozór niewzruszony, i puścił mi dyskretnie oko, że Pedro też niczego sobie. To były nasze tajne znaki przebaczenia.

Tuż za Sebkim wynurzył się z tej samej alejki samotny mężczyzna i bezceremonialnie władował się między mnie a Pedra.

191

- Gdzie Pamelka? - zagadnął ciut nietrzeźwe - Po numerze rejestracyjnym doszłem aż tu, ale jej nie wyczajam! Nic do ciebie nie mam, Domeczka, tylko mów, gdzie Pamelka?

To był Maras Margaryna. Kiedy go zobaczyłam, zrozumiałam, że mama miała słusność. Na balu u księżnej rzeczywiście można spotkać wszystkich.

Pedro odgrodził Marasa ode mnie, ale ten nadal patrzył ku mnie zebrzącym wzrokiem.

- Daj Pamelki spokój, Maras - poprosiłam łagodnie. - Było, minęło. Nie chciała ci zrobić krzywdy, sam zacząłeś. Nie można całe życie chować urazy.

- Ja nie chowam urazy, Domeczka! Nie mogę żyć bez Pa-melki! Dam jej wszystko, co ukradłem w życiu, tylko niech wróci do mnie. Niech nie będzie wredna! Bo kiedyś tak jej kości porachuję, że się nie pozbiera, raszpla! Powiesz jej, że ją kocham?!

W tej chwili otoczyło nas w mgnieniu oka kilku mężczyzn z rękami odstającymi od tułowi. Znacie to, mięśnie albo kabury, albo jedno i drugie. Dwóch z nich

przydusiło Marasa do ziemi, trzeci machnął policyjną legitymacją w kierunku mnie i Pedra. Żebyśmy stąd szli.

- Koniec balu, Margaryna! - warknął któryś z nich, zatrzasnął kajdanki na przegubach Marasa. - Przemycasz, wymuszasz, strzelałeś i trzeba się było tego trzymać! Po cholere żęś rzucił kamieniem w samochód pana posła?! Do śmierci z pierdła nie wyjdiesz!

- On kłamie, Domeczka! - wrzasnął tragicznie Maras. - Powiedz Pamelce, niech na mnie czeka! Ten wredny pies łże! To będzie najwyżej dwadzieścia lat!

Odeszliśmy stamtąd czym prędzej w półmrok zarośli. W tym półmroku Pedro pocałował mnie z hiszpańskim temperamentem, a ja poprosiłam go o kieliszek wina. Dla otrzeźwienia. Cóż za bal! Kobięcy głos znowu wrzasnął za moimi plecami „Roman!”. Podpita, rozbawiona elegantka. Odwróciłam się ku niej z zaciekawieniem i zamarłam w pół ruchu.

Tuż przede mną stał Marek, mój były, a obok jego Marzenka, której nigdy nie widziałam na oczy. Znałam ją tylko z przypadkowego zdjęcia. Wyglądali na szczęśliwych, nieodmiennie sobie radnych. Zanim zdołałam wykrztusić słowo, Pedro wrócił

192

z dwoma kieliszkami wina. Wtedy uprzytomniłam sobie, że przecież ja też jestem szczęśliwa. Mam Pedra. Nie potrzebuję Marka do niczego. Cieszę się, że już go nie ma przy mnie na zawsze. I to nie jest żadna złośliwość z mojej strony.

- Cześć, co słyhać? - zapytałam.

- Wszystko po staremu - odpowiedział Marek ze swoim szczerym białozębnym uśmiechem. - To znaczy, chciałem powiedzieć, wszystko dobrze.

Ja też uśmiechnęłam się do niego. Czyżbym wciąż mu się podobała, że tak głupio się przejęzyczył? Jego Marzenka była ode mnie niższa i tęższa. Nie mogłam mieć kompleksów. Powinnam się zresztą od początku domyślić, że jeżeli spotkam Marzenkę na tym cudownym balu u księżnej, będzie ode mnie niższa i tęższa.

Niemniej ona też wyglądała na szczęśliwą i nie miałam jej tego za złe. Niech cały świat będzie dziś szczęśliwy. Ta podpita kobieta nawołująca Romana niech go wreszcie dogoni i niech też będą szczęśliwi. Raj na ziemi!

- No to cześć, Marku - powiedziałam, bo wreszcie nic nas nie powstrzymywało przed obojętnym pożegnaniem. - To jest mój Pedro. Miło było pogadać. Cześć, Marzenko.

-Cześć, Do, cześć, Dominiko - odpowiedzieli oboje. -Cześć, Pedro!

A ja wzięłam Pedra za rękę, poprowadziłam w krąg tańczących i zatańczyłam z nim walca, którego akurat zagrano, a na którego miałam ochotę od początku. Bo umiem tańczyć walca, co dziś nieczęste. Pedro też umiał. A Kilar jak umiał, kiedy go pisał dla Nehrebeckiej! To był właśnie cudowny walc z „Ziemi obiecanej”, walc mojego życia! Obracaliśmy się z Pe-drem, przytuleni do siebie, wirowaliśmy zapamiętałe w bladym świetle ogrodu, pod niebem z lampionów i nie było już nikogo oprócz nas. Pochyliłam się do ucha Pedra, żeby szepnąć mu to, co dawno chciałam mu szepnąć, ale wciąż brakowało mi odwagi:

- Kocham cię, Pedro!

- Ja też cię kocham, Do!

- Roman! - wrzasnęła kobieta z pijackim uporem i wpadła pomiędzy nas jak taran.

- Roman! Magda zaklinała się, że wi-

193

13. Mężczyzna...

działa cię w samochodzie jakiejś księżnej, a ja głupia nie chciałam jej wierzyć!  
Roman, tak cię szukałam!

Rzuciła się na szyję Pedra. Stałam jak sparaliżowana, wypchnięta z tego walca jak z ciepłego łóżka. Zbierałam myśli. Pe-dro wyglądał na jeszcze bardziej oszołomionego. Nie dziwię mu się. Trzy razy pytałam rozwrzeszczane babsko, czy go zna, zanim zareagowała pijackim wybuchem:

- No powiedzże jej coś, Roman! Czego mnie się w kółko czepia?! Mam nie znać własnego męża dla jej przyjemności?!

?

Ja na końcu

Już raz wypadłam jak szalona z willi księżnej, ale wtedy ochłonełam na przystanku autobusowym. Teraz biegłam dalej. Jak niesamowicie wygląda miasto o letnim brzasku! Jaskrawe słońce oświetla bezludne ulice, śpiące okna, puste ogródki. W zasięgu wzroku nie ma niczego. Jest tylko rozpacz, bezdenne rozpacz uleczonych optymistek!

Nie mogłam się zatrzymać, bo wtedy odzywała się w mojej głowie wciąż ta sama rozmowa z podpitą kobietą.

„Pani oszukuje! - mówiłam w kółko we własnej głowie. - To nie jest pani mąż! Pani nawet nie wie, co on ma wytatuowane na łopacie”.

A ona odpowiadała w kółko w mojej głowie tymi samymi słowami, które usłyszałam w ogrodzie pełnym smętnych lampionów na bladym tle porannego nieba:

„No zróbże jej coś, Roman! Przecież tam masz skrzypce, które sama ci wybrałam!”.

Dotarłam do domu, nie czekając na autobus, biegnąc co tchu, jakby w pustych ulicach gonił mnie stukot moich własnych obcasów. Na stryszku słońce wdzierало się brutalnie przez niezastłonięte wczoraj okna. Oświetlało to, co pozostało po naszych przygotowaniach do balu u księżnej. Bordowy lakier do paznokci. Metki odczepione od ubrań Pedra. Żelazko na desce

194

do prasowania. Otwarte drzwi szafy. Pastę do butów, którą Pe-dro czyścił nasze buty, a ja patrzyłam na to ze wzruszeniem, ponieważ w ten sposób wszystko się kiedyś zaczęło. Kiedy jeszcze Pedro od nowa oswajał się z ludźmi, straszącymi j^g0 opustoszałą pamięć swoją obcością. Rzucił się na głęboką wodę, a ja posądzałam go o brak ambicji. Aż zrozumieliśmy się i nagle nastał koniec. Dlaczego świat jest taki bezlitosny, że pozwala rozpoczynać się rzeczom, które muszą się skończyć?

Zadzwoił telefon. Pedro. Obcy, żałobny Pedro, z którym jeszcze pół godziny temu tańczyłam walca mojego życia.

- Dlaczego uciekłaś? Zostawiłaś mnie, Do!

- Dziwisz się?

- Daj mi trochę czasu. Pozwól mi się z tym uporać.

- Ty też pozwól mi się z tym uporać.

Przystanąłam przed obrazem Johna R. Melga, którego nigdy nie widziałam o tak wczesnej porze w tak koszmarnym nastroju. Może raz, kiedy jechałam z klasą w zastępstwie na wycieczkę do Krakowa, zamiast na wesele kuzynki Marka, ale wtedy nie zauważyłam, że o wpół do piątej rano obraz Johna R. Melga przypomina portret trumienny. W sam raz na moją trumnę.

- Umarł ostatni jednorożec na Ziemi, Johnie ^. Melgu! -powiedziałam, ale wydało mi się to zbyt górnolotne jak na poziom inteligencji zwykłego obrazu olejnego,

więc Wyraziłam się przystępniej: - Nie ma już jedynego człowieka, który umiał docenić nas oboje, ciebie i mnie!

Obraz Johna R. Melga pozostał niemy i martwy. Uzmysłowiłam sobie z bólem, że on w tym pustym mieszkaniu czeka na mnie jeszcze mniej, niż czekałaby rybka w szklanej kuli, która z kolei czeka przecież znacznie mniej od chomika, choć chomik ze swojej strony czeka minimalnie, tyle co nic.

Znajdowałam w głowie tylko jedno liczące się pytanie na pozostałą mi resztę życia: Co mam ze sobą począć dalej? I akurat na to jedno pytanie nie umiałam odpowiedzieć, mimo że ze wszystkimi innymi pytaniami na pewno bym się uporała. Ale inne się nie liczyły.

Usiadłam na pufie przed wygaszonym kominkiem, zapatrzyłam się w jego czarne palenisko.

195

Przecież nie po to Bóg dał mi rozum, żebym rozumiała tasiemcowe seriale, tylko żebym radziła sobie w paskudnych sytuacjach. Przecież nie po to przeczytałam stopy książek, żeby tłumaczyć Rapcuhowiczowi, że nie mówi się „specjalnie przygotowany”. Jak kobiety z tych książek borykały się z życiem? W końcu w ich losach zamyka się mądrość niezliczonych wieków. Jak sobie poradzić z zakichaną złą miłością?

Anna Karenina rzuciła się pod pociąg. Nie, to niemądre! Wtedy pociągi były szczytem techniki, nowoczesne, czyste, taka kolej warszawsko-wiedeńska - wielki świat - albo Orient Express - wschodni luksus, a dziś? Kupa zardzewiałego żelastwa, która się wiecznie spóźnia. Nie, współczesna kolej nie nadaje się do nieszczęśliwej miłości. Do szczęśliwej też średnio.

Julia się otruła. Czy przebiła się nożem? Wszystko jedno. Przecież większość pastylek zjadł mi Pedro, a nożem bym się brzydziła. To nie dla mnie.

Halka rzuciła się ze skały. Musiałabym kupić bilet, wsiąść w ten brudny pociąg i pojechać w góry. Akurat teraz, kiedy nie chce mi się nawet przebrać po balu.

Poza tym są wakacje. Trudno o zakątek, gdzie człowiek się rzuci i nie spadnie na innego turystę. Dla Halki to może nie był problem, bo jako rdzenna góralka miała o krok od chałupy, co potrzeba. Ale dla ludzi z nizin, jak ja, to żadne rozwiązanie. Jeszcze gdyby mnie nie odnaleźli. Całe samobójstwo na nic!

Ofelia utopiła się w napadzie szaleństwa. Ale w gruncie rzeczy utopić się można także na zdrowy rozum. W dodatku nie ruszając się z domu. Choćby w wannie.

Dobrze, żeśmy nie zdążyli przerobić na brodzik, jak chciał Marek. On zawsze miał poronione pomysły. Tylko że przy tym sposobie rodzą się problemy natury, powiedzmy, estetycznej. No bo jak? Wejść do wody w ubraniu? Idiotyczne! A znowu wejść goła? Naschodzi się policjantów, a ja tu leżę w wannie goła, makijaż mi się rozpuścił, fryzura mi pływa, coś paskudnego. Wstyd!

Dama Kameliowa umarła na suchoty. Kto to ma dzisiaj tyle czasu na miłość?

Ponadto medycyna poszła do przodu szybciej niż uczuciowość. Na suchoty można nie umrzeć.

196

Ewkę Nowowiejską z „Pana Wołodyjowskiego” Tatarzy wzięli w jasyr i zmarła ze zgrzyoty. Ale to już desperacja. Poza tym jaka wielka operacja logistyczna. Mnie w każdym razie nie stać finansowo.

Zresztą, czy te baby kompletnie powariowały?! Chryste! Umierają i umierają!

Jakby nic innego nie dało się zrobić! To nie miłość, tylko morowe powietrze!

Czy nie można uporać się z kłopotami zdrowo, bez targania się na swoje życie,

kulturalnie i miło? Na przykład gdybym zabiła tę koszmarną żonę Pedra?  
Tylko jak?

Najlepiej bez wydziwiania. Iść z nią na spacer w godzinie szczytu, leciutko popchnąć biodrem na jezdnię i już. Jeżdżą teraz jak wariaci.

Ale żeby z nią pójść na spacer, musiałabym się z nią zaprzyjaźnić. A na to mój honor nie pozwala. Już wolę, żeby żyła!

W rezultacie ustaliłam, że najlepiej będzie, jeśli wezmę teraz kąpiel. Ponieważ pierwszym objawem depresji jest to, że nie chce się człowiekowi jeść ani myć. Do jedzenia nie zamierzałam się przymuszać, ale kąpiel mi nie zaszkodzi. Chciało mi się jeszcze zatelefonować, ale o tej porze nie miałam do kogo. Komórka Gośki była wyłączona. Może wciąż baluje. Albo odsypia imprezę, o której całe miasto mówić będzie z zachwytem. Śnią się jej przytulane tańce w upojnych dźwiękach jazzu, bo Gośce właśnie to najbardziej zapadnie w pamięć z balu u księżnej.

Horror, Chryste, jaki horror!

Dlaczego dzisiaj nie upiłam się, jak kiedyś w Krasce? Wszystko byłoby o tyle prostsze. Tamta się upiła, chociaż akurat ona mogła być trzeźwa. Mogło jej w ogóle nie być. To byłoby najlepsze. Dlaczego Pedro zachował się jak jakiś bezwolny manekin? Obca baba rzuca mu się po pijanemu na szyję - i gotów! Rozumiem, że on nie wie, który klocek do czego pasuje, ale nie przesadzajmy. Co by się stało, gdyby powiedział: „Nie znam pani!”? Świat by się zawalił? Nie, teraz świat się zawalił. Mój.

Wlazłam do wanny z butelką ciociosanu, ale w tej butelce już pozostał jedynie zapach. Nalałam na dno wody z kranu, zamąciłam i wypiłam. Obrzydliwe. Każda rzecz dzisiejszego ran-

197

ka raz-dwa okazywała się obrzydliwa. Teraz oni tam siedzą w pokoiku Pedra... Mam nadzieję, że siedzą! I ona mu przypomina, kim on jest, głaszcząc go czule po głowie. Jeżeli już wytrzeźwiała, naturalnie. Bo inaczej on jej tłumaczy, kim ona jest.

Co tu tłumaczyć? Jest potworem, który zniszczył nasze szczęście!

Nie wiem, czy jest jego żoną, czy ciotką, czy kuzynem ze wsi, ale to pewne, że bez zająknięcia zgadła, co Pedro ma wytatuowane na plecach.

Więc może tam i siedzą, w tym pokoiku pełnym starych gazet. Może będą tak siedzieć przez cały dzień. Ale wcześniej czy później zmęczą się i się położą!

Może faktycznie zrobię sobie w tej wannie to, co Ofelia w strumieniu.

Czy zawsze należy pozostawić pożegnalny list? Do tego zupełnie nie mam dzisiaj nastroju. Wyjdzie mi coś w stylu Rapcu-chowicza. Że nikogo „nie obwiniam specjalnie”. Nie, nic nie będę pisała w ogóle. Chyba się domyśla? Z tym że oni tak niewiele wiedzieli. Choćby rodzicom należy się ode mnie drobny znak. Na przykład palcem umoczoną we krwi napiszę na ścianie „jednorożec”. Ojciec zrozumie. Tylko skąd wziąć krew, skoro topię się w wannie? Jeszcze się nie utopiłam, ale już zwariowałam jak Ofelia. Co za sanki!

A może sprawy rozwiążą się same w jakiś najzwyczajniejszy sposób? Może Pedro po prostu powie jej: „Posłuchaj...”. Posłuchaj kto? Przecież on nawet nie ma pojęcia, jak jej na imię! Obojętne. Powie jej: „Posłuchaj, ty taka i taka, zakochałem się i nie mogę już z tobą żyć! Dopiero teraz wiem, co to prawdziwa miłość! Odchodzę od ciebie, ty taka i taka!”.

Zadzwoił dzwonek u drzwi i wyskoczyłam z wanny jak oparzona, bo pomyślałam sobie, że Pedro. Ale zaraz wróciłam do łazienki i starannie wytarłam się ręcznikiem, bo pomyślałam, że skąd i po co teraz Pedro?

Potem włożyłam szlafrok i nastawiłam uszu, bo kto inny mógłby się do mnie dobijać o piątej rano?

Następnie pomyślałam, że niepotrzebnie wylażiłam z wanny. Gdybym zaczęła się topić, jak zaplanowałam, a to byłby rzeczywiście Pedro, i wszedłby, zobaczyłby mnie na pół utopioną,

198

odratowałby mnie metodą usta-usta i zrozumiałby, jak wielka jest moja miłość, i już by nie odszedł, a ja bym mu wybaczyła. Sama się wzruszyłam tą wizją, ale nie zapłakałam. Nie zapłakałam dzisiejszego ranka ani razu, toteż na serio obawiałam się, co to będzie, kiedy wreszcie zacznę i wypłaczę z siebie wszystkie zaległości naraz. Gdyż kiedyś zacznę.

Dzwonek nadal dzwonił, więc po prostu otworzyłam drzwi.

To był właśnie Pedro.

Nie wiem jak wy, ale ja nie czułam się zaskoczona.

- Do! - powiedział z wyrzutem. - Bałem się o ciebie! Śpisz czy co?

Odpowiedziałam, że nie śpię, ponieważ i tak sam zauważył, więc cóż tu ukrywać?

Ale nie dodałam jego imienia, bo jak to powiedzieć? Pedro czy Roman?

Wszedł do środka i nie siadając, wyrzucił z siebie:

- To jest naprawdę moja żona, Do, ale rozwodzę się z nią! No jasne! Każdy rozwodzi się z żoną, kiedy tylko pozna nową dziewczynę. Ale potem okazuje się, że znacznie łatwiej kochać się z doskoku, niż z doskoku prać skarpetki, gotować obiady, parzyć ziółka na niestrawność, zmywać naczynia, drzemać po obiedzie z gazetą, więc niech już lepiej żona zostanie na stałe, zamiast odwrotnie.

- To dobrze - powiedziałam chłodno. - Życzę szczęścia na nowej drodze życia.

- Do, mówię poważnie! Rozwódzimy się! Już dawno bylibyśmy po rozwodzie, gdyby nie mój wypadek. Nie pojawiłem się na rozprawie. Dlatego ona mnie szukała, rozumiesz? Jestem jej potrzebny do rozwodu! Za trzy tygodnie bierze ślub!

Stryzek zawirował przed moimi oczami.

- Nie kłamiesz, Pedro? - wykrztusiłam.

- Nigdy cię nie okłamię, Do!

Stryzek przestał wirować, ponieważ Pedro chwycił mnie w ramiona. Tylko że stało się to, czego się obawiałam. Zaczęłam ryczeć w głos. Ciekły mi z oczu zaległe łzy całego życia, wypłakiwałam wszystkie mężnie kiedyś zniesione tragedie. Ale ten płacz wypłukiwał ze mnie złogi cierpienia, zła, udręki i jak grudka złota na płuczce z piaskiem odkrywała się moja jasna twarz nieuleczalnej optymistki.

199

Przytuliłam się do Pedra.

- Powiedziała ci, kim jesteś?

- Do tej pory zlewałem ją lodowatą wodą i poilem wrzącą kawą.

- Ale powiedziała? Wiesz, kim jesteś?

-Wiem, Do! Usiądźmy, zjedzmy śniadanie, wszystko ci opowiem.

Przetarłam oczy rękawem szlafroka i z uśmiechem połaskotałam Pedra nosem w policzek. Golił się wczoraj, więc miał już rozkosznie kłujący jednodniowy zarost. Gdyż miłość nie powinna być nazbyt gładka i mdła.

- Nie, Pedro. Ja wcale nie chcę tego wiedzieć. Znam cię doskonale bez tego.

Roześmiał się głośno.

- To nowość! Nie ciekawi cię, nic a nic? Dlaczego?

- Nie potrzebuję tego do szczęścia, Pedro - odpowiedziałam i porozumiewawczo mrugnęłam do Johna R. Melga, którego werniks znów błyszczał pełnią optymizmu. -

Ani trochę nie potrzebuję. Już ja cię sama stworzę na obraz i podobieństwo swoje,  
Pedro!